ROZMOWA „DO RZECZY”

Dziś PiS uderza w polski kapitał – przestrzega Jarosław Gowin

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 37/442 13–19 WRZEŚNIA 2021

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Semka prześwietlił plan Hołowni

DODATEK SPECJALNY – POLSKA OFIARĄ AŻ DWÓCH TOTALITARYZMÓW: NAZIZMU I KOMUNIZMU

Jest COVID. A gdzie podziała się grypa?

ZMIERZCH PONTYFIKATU FRANCISZKA

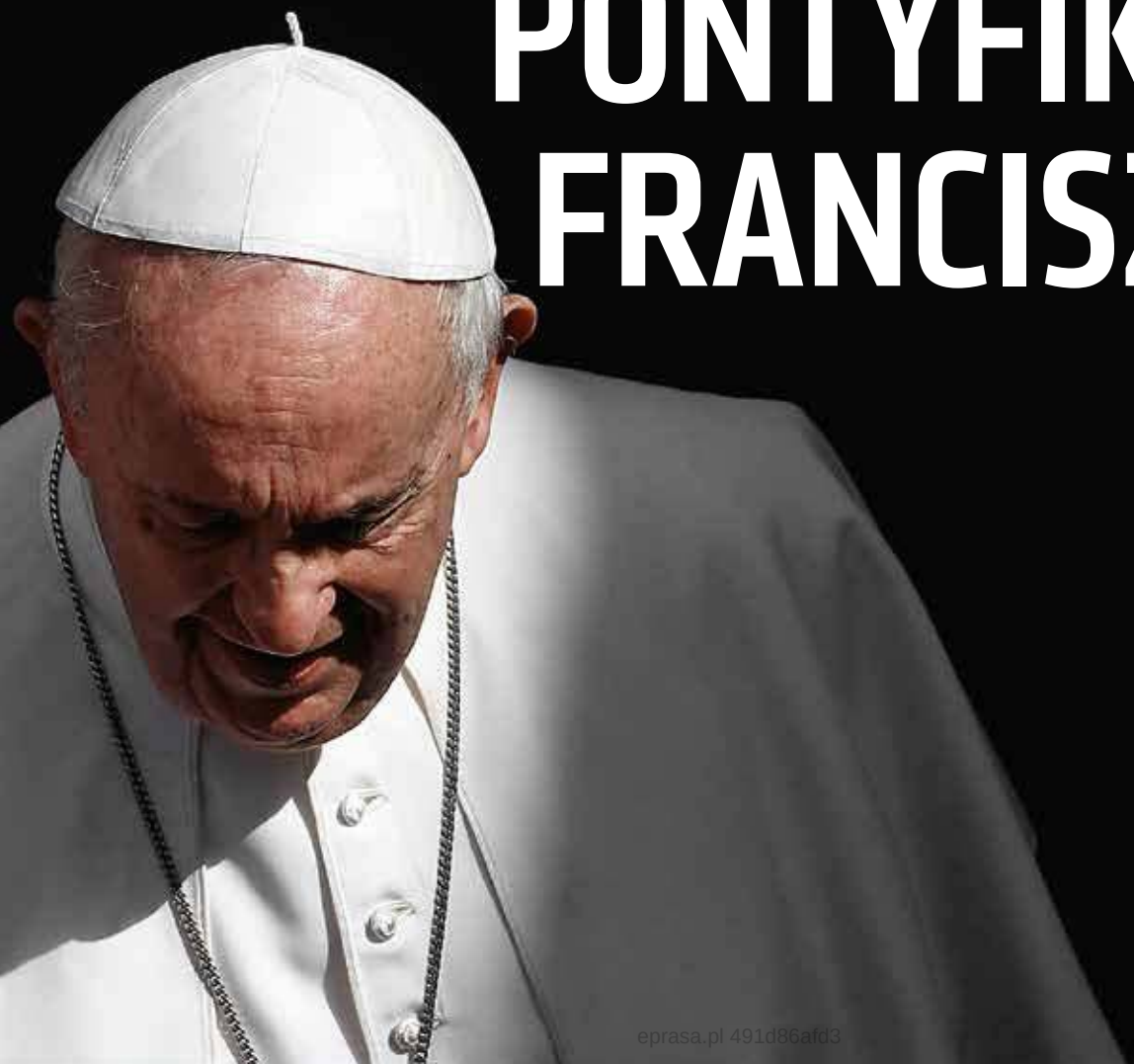

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

Nakład: 55,6 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 491d86afd3

Kongres Polska Wielki Projekt

Polska | Europa | Przemiany

17-19 września 2021

Warszawa, Arkady Kubickiego

Zapraszamy do rejestracji na stronie www.polskawielkiprojekt.pl

Partnerzy Strategiczni

Bank Polski · Fundacja · PZU · PZU FUNDACJA

Partnerzy Główni

Fundacja KGHM Polska Miedź · Totalizator Sportowy · 65 lat Totalizatora Sportowego · ORLEN · ORLEN Fundacja · Bank Pekao · 30 lat arp · fundacja arp

Partnerzy

LOTOS · NIW · Fundacja BGK · GPW 30 lat · PGE · PGNiG · Poczta Polska · REGENT

Partnerzy medialni

Polskie Radio · dwójka · Trójka · Polskie Radio 24 · Strefa Biznesu · Audytorium 17 · TVP · Polsat · WN Wszystko co najważniejsze · Radio wnet · SIECI · do Rzeczy · Tygodnik Solidarność · Polska nami nasze miasto · media PPG

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

POLSKA WIELKI PROJEKT

eprasa.pl 491d86afd3

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nieznośna ucieczka we frazesy

Na każdym większym przyjęciu pojawia się zwykle stetryczały wujek dobra rada, który usiłuje przekonać, że wszystko wie i wszystko przewidział. Reprezentuje on nieznośny dość typ charakteru i jeśli tylko się da, to staramy się kogoś takiego unikać. Cechą takiego przemądrzałego osobnika jest zwięzła, acz znacząca uwaga: „A nie mówiłem". Co zrobić, jeśli jednak sama rzeczywistość wymusza na człowieku posłużenie się tą niewdzięczną frazą? Bo to, że jedynym sensownym i racjonalnym wyjściem z obecnego konfliktu z Unią Europejską powinno być przygotowanie scenariusza opuszczenia wspólnoty, powtarzam (nie tylko ja zresztą w „Do Rzeczy") od miesięcy. Kiedy zatem dostrzegam, że ta oczywistość dociera do niektórych przynajmniej polityków PiS i że, nieśmiało, bo nieśmiało, potrafią ją wyrazić, pozostaje mi jedno. Powtórzyć: „A nie mówiłem".

Tak, zdaję sobie sprawę z różnicy znaczenia słów publicysty, który może sobie pozwolić na więcej, i polityka, który musi wypowiadać się znacznie ostrożniej. Tym bardziej ucieszyłem się ze słów wicemarszałka Sejmu Ryszarda Terleckiego, który na forum w Karpaczu powiedział: „Powinniśmy myśleć nad tym, jak najbardziej możemy współpracować, żebyśmy wszyscy byli w Unii, ale żeby ta Unia była taka, jaka jest dla nas do przyjęcia". I dodał: „Jeżeli pójdzie tak, jak się zanosi, że pójdzie, no to musimy szukać rozwiązań drastycznych. Brytyjczycy pokazali, że dyktatura brukselskiej biurokracji im nie odpowiada, i się odwrócili, i wyszli. My nie chcemy wychodzić […], ale nie możemy dać się zapędzić w coś, co ograniczy naszą wolność, i coś, co organiczny nasz rozwój". Nie są te słowa niczym odkrywczym, właściwie to stwierdzenie oczywistości.

To, że ledwo marszałek Terlecki zdążył je wypowiedzieć, został wielokrotnie potępiony i to nie tylko przez opozycję, lecz także – pośrednio przynajmniej – przez przedstawicieli rządu, stanowi smutny znak kryzysu polskiej myśli politycznej. Co gorsza, najwyraźniej nad marszałkiem odbyła się odpowiednia praca i już kilkanaście godzin później wszystko wróciło na swoje utarte, banalne tory. Marszałek ogłosił, że „polexit to wymyślona szopka", a Polska „była, jest i będzie członkiem UE". Doprawdy? Podziwiam tę pewność i wiedzę o przyszłości. Jest tak samo pewna, jak pewna była wieczysta przyjaźń ze Związkiem Sowieckim.

Pomysł, żeby uciekać przed problemami i lukrować rzeczywistość, ma jednak ograniczony sens. Niestety, najwyraźniej władze uważają inaczej (chyba że jest to wszystko pewną świadomie przygotowaną komedią i niezwykle wyrafinowaną grą) i szybko dały temu wyraz. Rzecznik rządu Piotr Mueller ogłosił, że Polska pozostanie w Unii. „Jesteśmy za tym, żeby Polska była członkiem UE, ale jednocześnie, żeby odgrywała podmiotową rolę". Brzmi dobrze, nieprawdaż? Tylko co z tego? To zgrabny frazes, który coraz bardziej odstaje od faktów. To tak, jakby opozycjoniści z czasów PRL ogłosili, że są za przyjaźnią i sojuszem ze Związkiem Sowieckim pod warunkiem, że Polskę będzie się traktować podmiotowo. Można się oczywiście bawić w ogłaszanie utopijnych pomysłów i klajstrowanie rzeczywistości. Tylko po co? Unia, o której tu mowa, nie istnieje i się nie pojawi. Prędzej czy później zatem kwestia przynależności Polski do UE wróci. Jeśli nie będzie się z nią w stanie zmierzyć obecny rząd, to zrobi to kto inny.

Gołym okiem widać, że w obecnej Unii o żadnej podmiotowej roli dla Polski nie ma mowy. Obecny unijny projekt zakłada federalizację, ograniczenie suwerenności państwowej i pełną realizację postulatów ideologii LGBT+. Wszystkie te punkty to swego rodzaju oficjalna doktryna Brukseli. Jej przyjęcie oznacza całkowitą metamorfozę (właściwie zniszczenie) polskiej tożsamości narodowej. Polska staje zatem przed wyborem: dać się złamać i przekupić, podporządkowując się, albo uznać, że koszty przynależności i posłuszeństwa są zbyt wysokie i rozpocząć poważną debatę nad opuszczeniem Unii. Ucieczka przed tym dylematem to dziecinada. Taka sama jak chwalenie się 770 mld z Unii, zanim się je dostało, co jedynie pozwoliło unijnym biurokratom wzmóc presję na Polskę.

Zamiast zaklęć i frazesów należałoby się zastanowić nad prawdziwymi instrumentami politycznymi, które pokazałyby podmiotowość Polski. Skoro już popełniono pierwszy błąd i nie wykorzystano w 2020 r. prawa weta, należałoby myśleć o innych sposobach zabezpieczenia naszych interesów. Jednym z nich mogłaby być groźba wstrzymania wpłaty polskiej składki do budżetu Unii. Innym zobowiązanie polskiego rządu, żeby raz do roku przedstawiał bilans zysków i strat wynikających z przynależności do UE – zarówno tych gospodarczych, jak i społecznych oraz kulturowych. Samo jego sporządzenie otwierałoby dyskusję nad polską przyszłością i byłoby swoistym impulsem suwerennościowym. ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

TEMAT TYGODNIA

18 TOMASZ ROWIŃSKI
ZMIERZCH PONTYFIKATU FRANCISZKA
Papież osamotniony

KRAJ

22 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZAPAD U BRAM
Niebezpieczne manewry na Białorusi

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WEWNĄTRZUNIJNA WOJNA Z POLSKĄ W TLE

28 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM GOWINEM
DZIŚ PIS UDERZA W POLSKI KAPITAŁ

32 PIOTR SEMKA
JAŚMINOWA DEMOKRACJA

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
POWTÓRKA SZKOLNEGO KOSZMARU

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
UROCZY ŁOBUZ
Jean-Paul Belmondo (1933–2021)

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

49 PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ
UNIKATOWOŚĆ POLSKI – OFIARY DWÓCH TOTALITARYZMÓW

OPINIE

66 ŁUKASZ WARZECHA
LUDZIE Z LEWICOWEJ KALKI
Socjalistyczne sentymenty młodych

68 PAWEŁ CHMIELEWSKI
JAKIE SĄ PRAWDZIWE MOTYWACJE DECYZJI PAPIEŻA?

HISTORIA

70 TOMASZ CUKIERNIK
INTERNOWANIE NA BIAŁOŁĘCE
Fragment książki „Michalkiewicz. Biografia"

ŚWIAT

74 ROZMOWA Z PÉTEREM SZIJJÁRTÓ
UE MUSI SIĘ ZMIENIĆ
Minister spraw zagranicznych i handlu Węgier: Huxit nikomu by się nie opłacał

78 GRZEGORZ KUCHARCZYK
POZORNA ZMIANA

82 PIOTR WŁOCZYK
TEKSAS NA WOJNIE Z BIDENEM

EKONOMIA

84 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
RZEMIOSŁO URATOWANE
Pomoc dla ginących fachów

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
PIĘKNE DZIELNICE
Hermetyczny świat najbogatszych

O ZDROWIU

92 KATARZYNA PINKOSZ
INTELIGENTNY LEK POTRAFI NISZCZYĆ CHŁONIAKA
Pokonać chłoniaka

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (12), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (72), PRZYBYLSKI (77), GABRYEL, WARZECHA (86), KARWELIS (95), ZALEWSKI, WOŁCZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 491d86afd3

PGNiG

FILM **BRACI SYKÓW**

WYSZYŃSKI

ZEMSTA CZY PRZEBACZENIE

MECENASEM FILMU JEST

POLSKIE GÓRNICTWO NAFTOWE I GAZOWNICTWO

Premiera 17 września 2021 r.

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Guglielmo Mangiapane/Reuters/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 55,6 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Szanowna Redakcjo,

jestem Waszym stałym czytelnikiem od pierwszego numeru. Chcę zwrócić uwagę na tekst pana T. Cukiernika „Ile kosztuje prowadzenie firmy?" („DRz" 30/2021). Jest to artykuł z tych pisanych pod z góry przyjętą tezę, gdzie na siłę próbuje się ją udowodnić. Dla wykazania, że w Polsce prowadzenie firmy więcej kosztuje niż w wybranych krajach Europy Środkowo-Wschodniej (w Czechach, na Węgrzech czy w Estonii), red. Cukiernik posłużył się licznymi danymi, ale nie wynikało z nich, że prowadzenie firmy lub jednoosobowej działalności gospodarczej jest w nich tańsze niż w Polsce. Nie dało się bowiem tych danych sprowadzić do wspólnego mianownika. Nie przeszkodziło to jednak red. Cukiernikowi twierdzić, że u nas jest drożej. [...]

Pisząc o klinie podatkowym, przytacza dane dotyczące Polski i podaje w ujęciu procentowym sumy poszczególnych składek ponoszonych przez pracodawcę i pracownika, uznając, że pomniejszają one wynagrodzenia pracownika, bo pisze, że są potrącane z jego wynagrodzenia. Przykładowo podana składka emerytalna w wysokości 19,52 proc. wynagrodzenia brutto nie pomniejsza o tyle tego wynagrodzenia, bo jest w rzeczywistości potrącana po równo przez pracownika (9,76 proc.) i pracodawcę (9,76 proc.).

Jeszcze większy błąd polega na podawaniu szczegółowych danych o klinie podatkowym w porównywanych krajach bez ustalenia ostatecznego poziomu tego klina w tych krajach. Gdyby to zrobił, to okazałoby się, że przeczą one temu, co chciał udowodnić pan Cukiernik. Otóż według „Rzeczpospolitej" w Polsce przy 167 proc. średniej krajowej (8,9 tys. zł brutto miesięcznie) osoba zarabiająca taką kwotę musi oddać z tego państwu w ramach podatków i składek 35,4 proc., ale wyższy klin mają pozostałe kraje naszego regionu, bo na Litwie wynosi on 39,9 proc., na Słowacji 43,2 proc., na Węgrzech 43,6 proc., a w Czechach 45,7 proc. [...]

Pozdrawiam
Krzysztof Postrach

Od autora

Szanowny Panie,
dziękuję za przesłanie swoich uwag do mojego artykułu. Wbrew temu, co Pan sugeruje, nie był to tekst pisany pod tezę i nic nie próbowałem udowadniać na siłę. Przedstawiłem konkrety, w tym przede wszystkim obiektywny i niezależny ranking Tax Foundation, w którym Polska wypadła najgorzej z opisywanych krajów. Nie napisałem też, że u nas jest najdrożej. Stwierdziłem natomiast, że żaden z opisanych krajów (miałem na myśli również Polskę) nie jest rajem podatkowym, i podkreśliłem, że obowiązują w nich nieco niższe lub nieco wyższe podatki dochodowe i składki na ubezpieczenie społeczne. Co więcej, napisałem, że o podjęciu decyzji o przeniesieniu firmy z Polski może zadecydować nie tyle wysokość stawki podatku czy składki, ile perspektywa możliwości skupienia się na spokojnym prowadzeniu działalności gospodarczej (u nas przeszkadzają skomplikowane i często zmieniające się przepisy oraz nieżyciowe podejście urzędników).

Kwestia składki emerytalnej: nie ma znaczenia, czy płaci ją pracodawca czy pracownik. Sam podział na składkę płaconą przez pracodawcę i pracownika jest sztuczny, bo i tak wszystko płaci pracodawca. Płaca brutto niewiele mówi, bo prawdziwym obciążeniem pracodawcy jest podwójne brutto, czyli to, co rzeczywiście płaci na pracownika. Przecież pracownik nawet nie widzi składki płaconej rzekomo przez siebie. Znaczenie ma efekt: pracownik dostaje niższe wynagrodzenie potrącone uprzednio zarówno o składkę pracodawcy, jak i pracownika.

Co do klina podatkowego: trudno go porównać choćby z uwagi na liczne oraz różne preferencje i ulgi podatkowe obowiązujące w omawianych krajach (także w Polsce) lub ich brak (Estonia), więc sprowadzenie do wspólnego mianownika niewiele by dało. Natomiast nie ma Pan racji, że coś chciałem udowodnić wbrew faktom, bo z podanych przeze mnie liczb nie wynika, iż w omawianych krajach klin podatkowy jest niższy niż w Polsce (poza Estonią).

Pozdrawiam
Tomasz Cukiernik

eprasa.pl 491d86afd3

Duże dotacje dla małych księgarni

Do 17 września trwa nabór wniosków do programu Instytutu Książki „Certyfikat dla małych księgarni". W ramach pilotażowej edycji do końca obecnego roku niewielkie księgarnie mogą otrzymać do 30 tys. zł dofinansowania m.in. na czynsz, wyposażenie i promocję. W sumie w pierwszej edycji do rozdania są aż 3 mln zł

Jest wreszcie szansa na to, że kolejne oddziały banków przestaną zajmować miejsce po upadających księgarniach. Dostrzeżono bowiem, że prowadzenie księgarni nie jest biznesem jak każdy inny, a działalność księgarzy poza funkcją biznesową ma również bardzo istotne walory kulturotwórcze. Niewielkie księgarnie stają się zaś często lokalnymi centrami kultury.

W ramach ogłoszonego w sierpniu przez ministra kultury prof. Piotra Glińskiego oraz zastępcę dyrektora Instytutu Książki prof. Krzysztofa Koehlera programu „Certyfikat dla małych księgarni" podmioty prowadzące małe, niezależne księgarnie mogą starać się o wsparcie finansowe.

– Księgarnie spełniające określone, jakościowe wymogi właśnie takiego centrum kulturowego, gdzie będzie pogłębiona oferta, związana z cechami polskiej kultury, będą otrzymywały państwowy pakiet: certyfikat. To 30 tys. zł na trzy różne cele, np. na czynsz. To będzie ta pierwsza pomoc, uruchomiona pilotażowo. Chcemy jednak, aby program był utrzymany, niezależnie od wyników pilotażu – zapowiedział wicepremier Piotr Gliński podczas konferencji prasowej zapowiadającej „Certyfikat dla małych księgarni". Pieniądze rozdysponuje Instytut Książki, który był inicjatorem powstania tego programu. Obecna pilotażowa edycja ma służyć sprawdzeniu faktycznego zainteresowania księgarzy udziałem w tego typu programie, a także zebraniu doświadczeń, które pomogą go w przyszłym roku udoskonalić.

Główne cele nowego programu to m.in. zahamowanie obserwowanego od dwóch dekad spadku liczby małych księgarni, zwiększenie roli niewielkich księgarni jako instytucji promujących kulturę i czytelnictwo wśród lokalnych społeczności, a także wsparcie ich bieżącej działalności oraz wydatków na promocję. Dzięki dotacjom niezależni księgarze – funkcjonujący poza krajowymi i międzynarodowymi sieciami handlowymi – będą mogli zwiększyć biblioróżnorodność swojej oferty, co będzie stanowić istotną pomoc dla polskich autorów, a także wydawców specjalizujących się w tematyce regionalnej.

W ramach programu księgarze mogą się ubiegać o pieniądze na pokrycie kosztów konsultingu i promocji księgarni, stałych kosztów utrzymania lokalu, a także na zakup niezbędnego sprzętu i wyposażenia. Co bardzo istotne, aby starać się o wsparcie, nie trzeba deklarować żadnego wkładu własnego.

Dotację mogą otrzymać działające od ponad dwóch lat kalendarzowych sklepy stacjonarne, które ponad połowę przychodów uzyskują ze sprzedaży książek i które oferują minimum tysiąc tytułów, w tym książki wydawnictw regionalnych. Liczba filii księgarni nie może być większa niż dwie. Poza tym, aby otrzymać certyfikat, księgarnia musi m.in. prowadzić działania proczytelnicze, zadeklarować zwiększenie liczby tytułów w ofercie o co najmniej 10 proc. w stosunku do danych podanych na etapie składania wniosku, a także co najmniej raz na dwa miesiące zmieniać witrynę ekspozycyjną, pamiętając, że udział w niej dzieł polskich autorów oraz dzieł promujących polską kulturę, literaturę, język, historię, naukę i dorobek różnych dziedzin nie może być mniejszy niż 30 proc.

Certyfikat dla danej księgarni jest przyznawany na dwa lata, ale wsparcie finansowe będzie udzielone tylko w pierwszym roku. Drugi rok ma służyć ocenie, czy pieniądze, które otrzymała księgarnia, przyniosły oczekiwany efekt.

Więcej szczegółów na stronie: instytutksiazki.pl.

eprasa.pl 491d86afd3

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Krzyk Gołasa

Zmarł Wiesław Gołas. Jednego z najwybitniejszych polskich aktorów żegnają liczne wspomnienia i komentarze. Gdy myślę o tym wspaniałym aktorze, przychodzi mi na myśl jego występ na festiwalu w Opolu w 1977 r. Gołas wystąpił tam ze wspaniałą interpretacją Wojciecha Młynarskiego „W Polskę idziemy". Pamiętam atmosferę tego wydarzenia. Większość widowni witała go śmiechem, traktując znaną piosenkę jako występ kabaretowy kpiący z polskiego przyzwyczajenia do kieliszka. A jednak w tej piosence moi rodzice, którzy oglądali razem ze mną transmisję telewizyjną, potrafili wychwycić mniej widoczny, ale głęboko wstrząsający sens. Przypomnijmy dwa fragmenty tej pozornie kpiarskiej piosenki.

W tygodniu to jesteśmy szarzy jak ten dym,
w tygodniu nic się nie przydarzy, bo i z kim?
I życie jak koszula ciasna – pije nas, aż poczujemy mus i raz na jakiś czas...

W Polskę idziemy, drodzy panowie,
w Polskę idziemy,
nim pierwsza seta zaszumi w głowie, do ludzi lgniemy.
Słuchaj rodaku,
Cicho!
Czerwone maki, serce, ojczyzna, trzaska koszula, tu szwabska kula, tu, popatrz blizna...

Wiesław Gołas podczas jubileuszu 45-lecia pracy scenicznej, 2001 r.

FOT. PIOTR KOWALSKI/PAP

To był fragment opisujący losy pokolenia Gołasa. Urodził się w 1930 r. Jego ojciec był ogniomistrzem w II Pułku Artylerii Lekkiej Legionów. Po katastrofie września 1939 r. ukrywał się, ale został schwytany przez Niemców i zginął w 1942 r. W 1943 r. Wiesław Gołas wstąpił do Szarych Szeregów i przyjął pseudonim Wilk. Brał udział w akcjach rozbrajania Niemców, a także uczestniczył w rozstrzelaniu po wyroku śmierci wydanym wobec konfidenta gestapo. Gdy w grudniu 1944 r. uczestniczył w akcji, został pojmany przez gestapo. Trafił do celi, w której wcześniej więziony był jego ojciec.

Dopiero wtedy, gdy dowiedziałem się o tych szczegółach jego życia, którymi Gołas nigdy specjalnie się nie chwalił – zrozumiałem, dlaczego tak dobrze rozumiał przytoczone wcześniej fragmenty piosenki „W Polskę idziemy". Pojąłem, że on sam musiał pamiętać z rozmaitych knajp i mordowni ludzi, którym UB po wojnie zniszczyło życie i którzy mogli wykrzyczeć całe swoje poczucie niesprawiedliwości jedynie w czasie wódczanych libacji, często z przypadkowymi kompanami.

Do Gołasa los się uśmiechnął i mógł zrobić karierę w teatrze i filmie. Ale poczucie wspólnoty z pokoleniem ciężko pokiereszowanym komunizmem dało o sobie znać w czasie tamtego wstrząsającego opolskiego występu. Gołas nie byłby sobą, gdyby nie przesłonił tamtego gorzkiego akcentu pozornie kabaretowym stylem piosenki. Ale gdzieś głęboko każdy mógł odczuć, że ta piosenka jest o czymś ważnym. Nawet jeśli nie zrozumiała tego spora część publiczności w opolskim amfiteatrze. Za ten jeden występ wspominać będę Wiesława Gołasa jeszcze długie lata. ©℗

FOT. ZBYSZEK KALCZMAREK/REPORTER

RATOWNICY PRZESTAJĄ PRACOWAĆ

W całym kraju protestują ratownicy medyczni. Masowo wypowiadają umowy. Z tego powodu w ubiegłym tygodniu aż jedna czwarta karetek pogotowia ratunkowego została uziemiona. Nie ma kto w nich jeździć.

Sytuacja robi się coraz bardziej dramatyczna, bo nie ma kto obsługiwać nagłych przypadków. Zdarzają się sytuacje – jak po kolizji w centrum Warszawy – że mimo bliskości stacji pogotowia do wypadków samochodowych lekarze transportowani są helikopterami LPR. W stolicy na ulicę mogła nie wyjeżdżać już nawet połowa ze wszystkich karetek.

Portal Wirtualna Polska opublikował wstrząsające nagrania dyspozytorów pogotowia. Wynika z nich, że nie ma kto przyjechać do ludzi potrzebujących pomocy. Nie doczekała się jej np. kobieta, która złamała rękę po upadku w autobusie. O pogotowie prosili obecni tam strażacy. W końcu po kilkudziesięciu minutach syn poszkodowanej sam zawiózł ją do szpitala.

Ratownicy protestują, bo uważają, że za swoją pracę otrzymują skandalicznie niskie wynagrodzenie – mają stawki np. 18 zł brutto za godzinę. Podkreślają, że ich prośby do tej pory były ignorowane.

Premier Mateusz Morawiecki zapewnił, że zobowiązał ministra zdrowia do rozmów negocjacyjnych z przedstawicielami tego zawodu. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

TYGODNIK POLSKI DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl 491d86afd3

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Lex Kurski

Opozycyjna większość w Senacie zadecydowała 53 głosami, że prezesem TVP ma być nadal Jacek Kurski, ocaliła także pensje i stanowiska Radzie Mediów Narodowych i pozostawiła w jej rękach kompetencję wybierania go na kolejne kadencje – jedyną, jaką Rada posiada i dla której w ogóle została powołana.

Jest to skutek odrzucenia ustawy, potocznie nazwanej „lex TVN", w całości, razem z poprawką zniesioną do niej i przegłosowaną przez Konfederację. Senat mógł wprowadzić do niej zmiany, a likwidację RMN i zmianę sposobu wyłaniania prezesów państwowych mediów pozostawić. Ale wolał tak.

„Demokratyczny Senat", jak nazywa go marszałkissimus Grodzki, swą demokratyczną misję widzi w odrzucaniu wszystkiego, co tylko przyśle im Sejm. Odrzucili przecież nawet tak niekontrowersyjną inicjatywę jak zabezpieczenie emerytalne dla pierwszej damy (czego raczej nie zrobiliby, gdyby nadal była nią Jolanta Kwaśniewska czy Anna Komorowska). Obserwując pracę „trzeciej osoby w państwie" i jego „demokratycznej" izby, można stwierdzić, że zamiast ponosić koszty jej utrzymania, moglibyśmy wytresować do naciskania guziczka „nie" byle małpę, zwłaszcza że te stworzenia – przy wystarczającej do senackiej pracy inteligencji – są też równie jak antypisowska opozycja złośliwe.

Nie wykluczam jednak, że poza prostym tropizmem „zawsze odwrotnie niż PiS" mogło tu zagrać pewne wyrachowanie. PO tak przyzwyczaiła się do obecnego sznytu TVP, tak zaangażowała się w straszenie Jackiem Kurskim i w robienie z niego i jego pracowników najgorszych wrogów, a nawet zgoła morderców, że bez Kurskiego nie wiedziałaby, co wykrzykiwać na swych wiecach.

Tak czy owak: jeśli chce to wykrzykiwać dalej, to niech wszyscy pamiętają, że od teraz Jacek Kurski – a także np. Joanna Lichocka czy Krzysztof Czabański – zawdzięczają swe stanowisko także PO.

Chyba że opozycyjna większość w Senacie to mit? W końcu, jeśli marszałkissimus od ponad 170 dni blokuje głosowanie nad wnioskiem o uchylenie mu immunitetu w sprawie o łapówkarstwo, to widać nie jest tak do końca pewny tego, jak „demokratyczny Senat" by zagłosował. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Przemoc utracona

Rafała Trzaskowskiego wielokrotnie spotykałem na posiedzeniach sejmowej Komisji ds. Unii Europejskiej. Nie zauważyłem, by był szczególnie zainteresowany poważną, rozumiejącą dyskusją z poglądami, które odrzuca. Reagował raczej typowym dla dulszczyzny-tuszczyzny świętym oburzeniem na każdy głos kwestionujący dogmaty euroortodoksji.

Z pewnym zdziwieniem więc przeczytałem jego żale, że na przykład balcerowiczowskie wezwania do przemocy (co najmniej psychicznej), do „stawiania pod pręgierzem" zwalczanych dziennikarzy, zostały „wyrwane z kontekstu". Społeczny kontekst tych przemocowych wypowiedzi dobrze ilustruje aborcjonistyczna wyjnia w Radomsku pod mieszkaniem poseł Milczanowskiej, matki niepełnosprawnego dziecka, kierowana nie przez jakąś weterankę „prawa do własnego ciała", ale przez dziewczynkę z liceum, lokalną Gretę Thunberg, liderkę Strajku Klimatycznego. Jakiż inny kontekst można znaleźć dla deprawacyjnych apeli Balcerowicza?

Znana liberalna bujda często przywołuje rzekomą deklarację Woltera, że gotów był umrzeć za wolność głoszenia poglądów, których sam nienawidził. Oczywiście nigdy nie słyszałem liberała, który tę rzekomą wolteriańską sentencję przywoływałby nie dla wylegitymowania własnych roszczeń, ale w obronie praw tych, których zwalcza. Takich liberalnych cudów nie ma!

I nie słyszałem, by Rafał Trzaskowski kiedykolwiek, w trosce o debatę publiczną, przeciwstawiał się „wyrywaniu z kontekstu" wypowiedzi liderów opinii prawicowej. A dziś jesteśmy już gdzie indziej, bo to, co wczoraj było jednostronną przemocą, zamieniło się w, owszem, brutalny, ale jednak standard. Chciałbym wierzyć, że ideałem prezydenta Trzaskowskiego nie jest powrót do tej dawnej, jednostronnej strukturalnej przemocy. Co dzień jednak widzimy, że na forum europejskim taki właśnie model modelowania opinii bardzo jemu i jego kolegom odpowiada. Cierpią tylko nad tym, że zmienił się u nas. ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

Enea zachęca do ruchu

Sport to zdrowie, niezależnie od wieku. Dlatego Grupa Enea, jedna z największych firm branży energetycznej w Polsce, nie tylko zapewnia bezpieczeństwo energetyczne milionom Polaków, lecz także dba o ich kondycję fizyczną. Koncern zaprasza do udziału w sportowej akcji „Razem ruszamy do stołu". Mogą w niej wziąć udział wszyscy, którzy chcą aktywnie spędzać czas i zmieniać na lepsze swoje najbliższe otoczenie

Enea od lat angażuje się w polski sport. Z jednej strony wspiera poszczególne dyscypliny i reprezentacje narodowe, sponsoruje sportowców, m.in. wioślarzy, tenisistów stołowych i zapaśników, oraz drużyny siatkarskie i koszykarskie, współorganizuje imprezy sportowe. Z drugiej – pomaga młodym sportowcom i zachęca Polaków do aktywnego stylu życia, tak jak teraz kampanią społeczną „Razem ruszamy do stołu".

JAK DOŁĄCZYĆ DO RYWALIZACJI?

Aby dołączyć do akcji „Razem ruszamy do stołu", nie trzeba być sportowcem startującym w profesjonalnych zawodach. Wystarczy się ruszać, bo w rywalizacji liczy się każda aktywność na nogach lub na kołach: spacerowanie, wędrówki, bieganie, nordic walking, jazda na rowerze, rolkach czy hulajnodze. Co ważne, w akcji może wziąć udział każdy w wieku powyżej 16 lat.

Zebrane kilometry będą przeliczane na punkty w aplikacji mobilnej Activy (dostępnej na platformach Google Play oraz App Store). Uczestnicy powinni również wskazać gminę lub miasto, dla którego będą gromadzić kilometry. A jest o co powalczyć! Do wygrania jest 10 profesjonalnych stołów do tenisa, które będą dostępne dla mieszkańców zwycięskiej gminy lub miasta, oraz ponad sto indywidualnych nagród sportowych, wśród nich hulajnogi elektryczne i zestawy do gry w tenisa stołowego. Akcja trwa do 24 września.

Do zorganizowania przedsięwzięcia zainspirowała koncern ambasadorka marki – Natalia Partyka, która jest znaną i utytułowaną zawodniczką. Mimo swojej niepełnosprawności rywalizuje i wygrywa z rywalkami w pełni sprawnymi. Poza licznymi tytułami w polskim sporcie jest też wielokrotną złotą medalistką igrzysk paraolimpijskich. Wystarczy wspomnieć ostatni występ w Tokio, z którego Natalia przywiozła dwa medale: złoty zdobyty w turnieju drużynowym i brązowy z gry singlowej.

PROMOCJA TENISA STOŁOWEGO

Rozpoczęcie działań z Natalią Partyką jako ambasadorką marki Enea zainicjowało wyjątkową współpracę promującą tenis stołowy przez koncern. Od tego roku spółka energetyczna jest sponsorem generalnym Polskiego Związku Tenisa Stołowego. Celem współpracy jest nie tylko pomoc zawodnikom w przygotowaniach do najważniejszych wydarzeń sportowych na arenie krajowej i międzynarodowej, lecz także popularyzacja tej dyscypliny sportowej, szczególnie wśród młodych Polaków.

– Bardzo ważna dla Enei, jako firmy odpowiedzialnej społecznie, jest rola PZTS w promocji tenisa stołowego wśród dzieci i młodzieży. Od wielu lat angażujemy się w edukację sportową juniorów, opartą na długoterminowym rozwoju, łącząc wsparcie sportu zawodowego i szkolenie młodzieży – powiedział Paweł Szczeszek, prezes Enei.

Będzie to istotne wsparcie Związku w realizacji trwającego od trzech lat Narodowego Programu Rozwoju Tenisa Stołowego na lata 2018–2033. – Program jest bardzo szeroki, bo rozpoczyna się od naboru dzieci w wieku pięciu–sześciu lat i później staramy się realizować kolejne etapy szkolenia. Szczególnie tak techniczna dyscyplina, jaką jest tenis stołowy, potrzebuje czasu, żeby wyszkolić mistrza olimpijskiego. Chcielibyśmy w 2033 r. na podsumowaniu programu powiedzieć, że mamy medale igrzysk olimpijskich – mówi Dariusz Szumacher, prezes Polskiego Związku Tenisa Stołowego.

Cieszy więc, że dzięki zaangażowaniu i wsparciu Klubu Tenisa Stołowego Enea Siarkopol Tarnobrzeg powstała w Tarnobrzegu pierwsza klasa sportowa o profilu tenis stołowy. Jest to jedyna taka klasa w regionie, która będzie szkolić przyszłych adeptów tej dyscypliny już od siódmego roku życia.

– Liczymy na to, że dzieci uczęszczające do klasy o profilu tenis stołowy osiągną korzyści ogólnorozwojowe, ale też na to, że staniemy się kuźnią tenisowych talentów – powiedział Paweł Paradowski, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 10.

– W Enei kochamy sport, razem z Polskim Związkiem Tenisa Stołowego i KTS Enea Siarkopol Tarnobrzeg dbamy o edukację sportową dzieci i młodzieży. Patrząc na energię i entuzjazm uczniów rozpoczynających naukę w klasie sportowej, jestem przekonana, że nasza współpraca doprowadzi do tego, że ten popularny sport będzie się jeszcze dynamiczniej rozwijał – podsumowała Anna Lutek, dyrektor Departamentu Public Relations i Komunikacji w Enei.

Działania Grupy Enea to dobry przykład kompleksowego wsparcia dyscypliny sportowej, z uwzględnieniem szkolenia od najmłodszych lat, ale także sponsorowaniem profesjonalnych sportowców.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 491d86afd3

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O wierzeniach ludu włoskiego

Dziennikarze gazety „Libero" zadali sobie trud przejrzenia licznych włoskich stron internetowych i czatów przysięgłych wrogów szczepień przeciw koronawirusowi. Potem opublikowali co ciekawsze wierzenia i dogmaty nowej antyszczepionkowej religii, czasem ze sobą sprzeczne, którą w Italii wyznaje kilka milionów osób. Lektura skłania do refleksji nad rozmiarem ludzkiej ignorancji, ale i zachwytu nad nieznającą granic ludzką wyobraźnią. Oto garść rojeń zniewalających:

Wraz ze szczepionką wszczepiane są mikroczipy, dzięki którym organizatorzy sprytnego, globalnego oszustwa, czyli pandemii koronawirusa, przemienią zaszczepionych w posłuszne sobie roboty. W innej wersji tej samej bajki czytamy, że szczepią nas rtęcią, by potem kontrolować dzięki technologii mobilnej 5G. Mrozi krew w żyłach inna, pokrewna teoria, o której wspomniałem dwa tygodnie temu: spiskowcy będą mogli uśmiercać zaszczepionych i w ten sposób pozostawić przy życiu jedynie osobniki inteligentne, zdrowe i przydatne. Ba! Ponoć wystarczy jeden klik, by zdalnie wysterylizować kobiety, które – zdaniem spiskowców – nie powinny mieć dzieci. Inna grupa wyznawców jest przekonana, że w szczepionkach znajduje się tlenek grafenu, co ma nas przekształcić w chodzące magnesy – im bliżej miejsca szczepienia, tym przyciąganie metali będzie silniejsze. Zapewne chodzi o ułatwienie życia poszukującym igły w stogu siana.

Natomiast włoska aktorka Eleonora Brigliadori szerzy wieści o tym, że szczepionki zmieniają nasze DNA tak, byśmy byli bardziej inteligentni, silniejsi, ale mniej ludzcy. Ma to służyć zintegrowaniu naszej inteligencji ze sztuczną.

Prawdziwą bombę schowałem na koniec: szczepionki, za sprawą użycia przy ich produkcji materiału pobranego z ludzkich embrionów, przemieniają ludzi heteroseksualnych w homoseksualnych, ale dla jakichś powodów nie odwrotnie.

Czego to ludzie dziś nie wymyślą... ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Rasiści i to nieszczepieni

Dobra tam wynik. Kto będzie pamiętać wynik meczu Polska–Anglia, skoro wszyscy pamiętają i zapamiętają coś innego. Cały Twitter tym żył. Że najpierw oni, ci Anglicy, klękają na tej naszej murawie, na tym naszym Stadionie Narodowym. W sumie to tak bez sensu klękają. No niby jest w tym jakiś sens, ale nie ma żadnego. Że Black Lives Matter. Ale czy jakiekolwiek życie czarne, białe czy żółte od tego klękania uratowane będzie? No nie. I Polacy dali wyraz pewnej takiej bezsensowności klękania na swój sposób emocjonalny. No wygwizdali tych Anglików i oni się wtedy poczuli nieswojo. Bardzo dużo było komentarzy na temat tych gwizdów nie tylko na polskim Twitterze. I ja tak sobie myślę, że ci piłkarze z Wysp nosili w sobie pewną taką niechęć i to dlatego oskarżyli nam Kamila Glika o jakiś tam rasizm, że niby nie wiadomo czemu. Ale oskarżenie zostało. I teraz będą to sprawdzać komisyjnie. A ja się pytam: Ale jak? Ale co sprawdzą komisyjnie? Przecież chyba nie wezmą rasistomierza i nie będą go przykładać Glikowi? Ja się patrzyłem na zachowanie Kamila i wszyscy się patrzyli i nic. Normalnie nic a nic. Ale komisja badać będzie. Dziwne to bardzo. Ale wtedy Maciej Stuhr, z zawodu aktor, postanowił w związku z tym zabrać głos. „Polscy kibice wygwizdali antyrasistowską akcję. Nie, nie poparli. Wygwizdali. [...] Nienawidzimy czarnych, Żydów i pedałów". Było jeszcze trochę więcej narzekania na Polaków, że się nie szczepimy też, chociaż moim zdaniem akurat tutaj szczepienie trochę nie pasowało. W każdym razie ten komentarz Macieja Stuhra okrążył Internet kilka razy i doczekał się wielu komentarzy. Z moich wyliczeń wynika, że Polacy raczej bronili Polaków, chociaż były też wyjątki. W sumie tak czasem to mi się wydaje, że każdy pretekst jest dla niektórych dobry, żeby wyrazić oburzenie na tych Polaków, a dla innych właśnie, że wcale nie. „Kamil Glik jest szefem, który nap..... wszystkich jak leci, więc i Murzyn może oberwać, jak stanie na drodze. To nie rasizm, tylko równouprawnienie" – napisał na TT dziennikarz sportowy Krzysztof Stanowski. I to właśnie wyczerpuje moim zdaniem temat. Aczkolwiek powód do przywalenia Polakom dobry jak każdy inny. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

eprasa.pl 491d86afd3

Enea

ENERGIA+
Fotowoltaika

Ty też wybierz fotowoltaikę od Enei do domu lub firmy!

Prywatnie i zawodowo postaw na fotowoltaikę od Enei.
Podnieś wartość nieruchomości i zyskaj oszczędności na lata wraz z kompleksową obsługą inwestycji. W ramach oferty otrzymasz od naszego Partnera profesjonalne doradztwo, wycenę i montaż paneli, a także pomoc w pozyskaniu dofinansowania i ulg podatkowych oraz pełny serwis gwarancyjny i pogwarancyjny.

enea.pl/fotowoltaika **infolinia 611 111 111**

eprasa.pl 491d86afd3

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, czytamy, iż według nowych przepisów sanepid ma uzyskać prawo do nakładania kwarantanny nawet na 30 dni. Naszym zdaniem to znów niezły pomysł, ale źle zrealizowany.

Sanepid bowiem powinien mieć prawo nakładać kwarantannę dożywotnią dla każdego, kto mógł mieć jakikolwiek kontakt z koronawirusoosobą. W ten sposób nie tylko radykalnie zmniejszylibyśmy ryzyko nadejścia czwartej, piątej i każdej kolejnej fali, lecz także poprawilibyśmy estetykę polskich ulic za sprawą pozamykania Polaków w domach.

Obawiamy się tylko, iż mogą się w związku z tym pojawić jakieś getta, takie strefy szuriatu wyjęte spod kwarantanny, które nie będą respektować wspólnotowych zasad. W ten sposób możemy się doczekać tych mitycznych „no go zone" także i w tym kraju, ale taka widocznie jest cena postępu.

Skandal na arenie europejskiej. Reprezentacja tego kraju nie dość, iż nie klęknęła przed meczem z Anglią, iżby potępić rasizm, to jeszcze w samej końcówce strzeliła gola i doprowadziła tym samym do remisu 1:1. Teoretycznie remis jest rezultatem najbardziej neutralnym w piłce nożnej, iż nikt nie wygrał, nikt nie przegrał, wszyscy powinni być zadowoleni. Jednak w tym konkretnym przypadku możemy przypuszczać, iż Anglikom było smutno.

Z drugiej strony – Anglicy sami wycofali się z wielkiej europejskiej wspólnoty i nie jesteśmy już rodziną, a więc nie mamy pewności, czy powinniśmy się nimi przejmować.

A jeszcze z innej strony – widzieliśmy euforię Polaków na Stadionie Narodowym po strzeleniu tego gola. Czego jak czego, ale euforii Polaków to my się jednak boimy i wolelibyśmy jej nie oglądać, dlatego pomimo wszelkich wątpliwości jednak uznajemy, iż to Anglia powinna wygrać mecz.

A w ogóle to mówi się Anglia czy Angola? Jak to w końcu jest?

Wogóle to musimy rozwinąć temat, iż mecz Polski z Anglią odbywał się w ramach eliminacji do mistrzostw świata. Dlatego rodzi nam się pytanie (to nasz wybór, skorzystaliśmy z prawa do niego), czy na pewno Europa chciałaby, iżby to właśnie reprezentacja tego kraju reprezentowała ją na tej piłkarskiej imprezie.

Pokładamy nadzieję w Komisji Europejskiej, iż z uwagi na liczne pogwałcenia praworządności i praw człowieka Polska zostanie wykluczona ze struktur FIFA. Mamy nadzieję, iż unijne organa zajmą odpowiednie stanowisko.

Dla przeciętnego janusza w tym kraju byłoby to o wiele bardziej dotkliwe niż potencjalne kary finansowe czy wstrzymanie finansowania inwestycji. A ponadto jest to ofiara, którą my sami gotowi jesteśmy ponieść. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

A jak nie drgnie…

Dobrze, Rysiu, dobrze. O to właśnie chodziło, kij w mrowisko wsadzony.
Ale widziałeś, Jarku, jak ładnie zaczęli od razu podskakiwać? Schetyna, Lewica, wszyscy – jak na sznureczkach.

No wiesz, taka jest w sumie umowa, niepisana oczywiście: my coś rzucamy, oni podskakują, gawiedź się cieszy i tak się to toczy. A jak tam sondaże Konfederacji? Drgnęło coś?
Na razie nie, ale trochę musimy poczekać. A jak nie drgnie, to mam kilka kolejnych pomysłów, co można wrzucić.

Na przykład?
Na przykład będę przypadkiem przejeżdżał koło strzelnicy i wstąpię postrzelać. I przypadkiem pojawią się jacyś dziennikarze i ja im powiem, że rozważamy kupno broni po prostu na dowód.

Ale nie rozważamy, mam nadzieję? Nawet ta głupia Siarkowska?
Nie, no spoko. Przecież to tylko będzie takie gadanie, jak z tym polexitem.

A ty umiesz w ogóle strzelać?
No a co to za filozofia? Bierzesz, ładujesz, naciskasz i leci. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Czasem mam wrażenie, że Polską rządzą nieznośne bachory, które są w stanie wypowiedzieć każdą polityczną herezję".

DONALD TUSK, *przewodniczący Platformy Obywatelskiej, w TVN24*

eprasa.pl 491d86afd3

Uczestnicy panelu „Miasta – wielkie wyzwania – odważne decyzje" FOT. XXX FORUM EKONOMICZNE W KARPACZU

Veolia liderem energetycznej transformacji

Wyzwania, które stoją przed inteligentnymi miastami przyszłości, zarówno klimatyczne, infrastrukturalne, jak i polityczne, wymagają już nie tylko długoletnich strategii, lecz także odważnych decyzji. – Stoimy przed olbrzymią transformacją – zauważył Krzysztof Zamasz, dyrektor handlowy, członek zarządu Grupy Veolia w Polsce, która jako jeden z liderów zielonej transformacji blisko współpracuje z polskimi samorządami

Coraz częściej myśląc o zielonej transformacji miast, mówimy o jakości życia mieszkańców. Nie tylko w kontekście zmian klimatu, lecz także w kontekście zdrowia psychicznego, możliwości dobrego funkcjonowania czy wręcz tworzenia przyjaznej przestrzeni do życia – zauważyła podczas debaty „Miasta – wielkie wyzwania – odważne decyzje" Maria Andrzejewska, dyrektor generalna UNEP/GRID-Warszawa, zwracając uwagę na fakt, że w Polsce z ciepła systemowego korzysta ok. 15 mln osób.

Bartłomiej Pawlak, wiceprezes zarządu Polskiego Funduszu Rozwoju, w czasie panelu odbywającego się w ramach XXX Forum Ekonomicznego w Karpaczu zwrócił uwagę, że zielona transformacja będzie dotyczyć nie tylko systemu elektroenergetycznego, lecz także ciepłowniczego i transportowego. Inaczej trzeba będzie też podchodzić do odpadów. – Chcemy budować sojusze z innymi partnerami, aby uspójniać strategie działania – podkreślił Bartłomiej Pawlak.

– Cieszę się, że mówimy o współpracy – stwierdził Krzysztof Zamasz, dyrektor handlowy, członek zarządu Grupy Veolia w Polsce. Powołując się na ideę współpracy w ramach tzw. złotego trójkąta: samorząd – nauka – biznes, zauważa, że często do współpracy brakowało wspólnego mianownika. – Ten wspólny mianownik się pojawił. Jest nim środowisko i dbałość o zasoby, które mamy. My jako Veolia bardzo dobrze to rozumiemy. Veolia na świecie odpowiada nie tylko za zarządzanie energią. Veolia to jeden z czołowych dostawców usług w zakresie gospodarki wodnej i gospodarki odpadami. Na świecie i w Polsce prowadzimy tę działalność przy zachowaniu szczególnej dbałości o ochronę środowiska i w ramach gospodarki obiegu zamkniętego – dodał dyrektor Zamasz, zapowiadając, że celem Veolii w Polsce jest osiągnięcie zerowej emisji CO_2 do 2050 roku.

Do 2030 r. realizowany będzie projekt całkowitej rezygnacji z węgla całej Grupy Veolia, w szczególności dwóch ośrodków metropolitalnych, którymi są Łódź oraz Poznań. – Największym wyzwaniem stojącym przed Grupą jest dekarbonizacja naszych miast powiatowych. Veolia jest obecna w 66 takich miastach i dostarcza ciepło i wodę prawie 3 mln osób. To pokazuje skalę działania – zaznaczył Krzysztof Zamasz. Veolia jest częścią ekosystemu miejskiego i partnerem 123 samorządów w Polsce. Jako lider transformacji energetycznej kraju, blisko współpracujemy z instytucjami krajowymi, a w szczególności z Polskim Funduszem Rozwoju – dodał Krzysztof Zamasz.

Członek zarządu Grupy Veolia w Polsce zauważył również, że Veolia jest naturalnym parterem w projektach rozwoju miast, którym poza ciepłem oferuje również nowoczesne rozwiązania technologiczne, wykorzystujące cyfryzację i digitalizację w procesie obsługi Klienta.

FUNDACJA VEOLIA POLSKA

– Kluczy do sukcesu we współpracy z samorządami jest wiele. Jednym z nich jest Fundacja Veolia – zauważył dyrektor Krzysztof Zamasz i jako przykład udanej współpracy z samorządami podał projekty związane z ochroną środowiska naturalnego. – Takie projekty realizujemy we wszystkim naszych miastach. Ciekawe inicjatywy w tym zakresie są też podejmowane w Warszawie – zaznaczył, zwracając uwagę na to, że do realizacji marzeń o dekarbonizacji kluczowe jest odpowiednie finansowanie.

– Bardzo sobie cenię współpracę z Fundacją Veolia, bo dzięki niej – a zwłaszcza dzięki otwartości fundacji na innowacyjne podejście do podnoszenia ekologicznej świadomości mieszkańców – możemy realizować szereg naszych działań – zauważyła Maria Andrzejewska, dyrektor generalna UNEP/GRID-Warszawa.

eprasa.pl 491d86afd3

Za kulisami koalicji. Adam Bielan poszedł grubo. Republikanie oczekują w zamian za podpisanie umowy koalicyjnej sutego wynagrodzenia w stanowiskach: wicepremier i czterech ministrów. Wiewiórki z Nowogrodzkiej śmieją się, że gdyby spełnić te życzenia, to Zizou Ziobro zażądałby ośmiu ministrów. A przecież są jeszcze żądni ministrów ociepowcy.

W związku z tym żarcik. Co to jest rząd mniejszościowy? Taki, który ma mniejszość w parlamencie. A polski rząd mniejszościowy? Taki, który ma większość w parlamencie, ale w samym rządzie mniejszość to PiS. Mało śmieszne? Zapewniamy, że w PiS nikomu nie jest do śmiechu.

Wszyscy dementują wieści o rekonstrukcji rządu, ale zmiany będą. Przed miesiącami zapowiadaliśmy wymianę ministra rolnictwa i taka się szykuje. Premier Mateusz na własne oczy zobaczył, jak na Grzegorza Pudę cięci są Polacy. Na spotkaniu pod Łodzią premier zahipnotyzował wrogą salę opowieściami o tym, jak ważni są rolnicy. I wszystko skończyłoby się dobrze, ale dojechał też Puda. Na jego widok rozpoczęła się orgia tupania, buczenia i wycia. To jedna z tych chwil, kiedy szef rządu zrozumiał, jak wielki jest z Pudą problem.

Tymczasem w pałacu Andrzeja Sebastiana. Nowy spec od dyplomacji, znaczy Jakub Kumoch, dostał szału, kiedy przeczytał „newsa" niejakiego Żuchowskiego, jakoby kancelaria usilnie zabiegała o spotkanie z Joe Bidenem podczas wizyty prezydenta w ONZ w Nowym Jorku. Zaledwie kilka dni wcześniej Kumoch wydał bowiem stanowczą dyspozycję – żadnych niepoważnych, kilkuminutowych spotkań głowy państwa, których jedynym rezultatem jest fotka.

Podobnie było z nadchodzącą pożegnalną wizytą Angeli Merkel w Polsce. Kanclerz wyraziła życzenie spotkania się nie tylko z premierem, lecz także z prezydentem. Kumoch kazał odpowiedzieć, że niestety w tym terminie prezydent ma już zaplanowaną wizytę w Katowicach. Między Bogiem a prawdą dałoby się obie rzeczy połączyć. Gdyby chcieć. Rzecz w tym, że zarówno w przypadku Białego Domu, jak i Kanzleramtu zadecydował jeden czynnik. Nazywa się Nord Stream 2.

Jak informowaliśmy tydzień temu, Adam Kwiatkowski zamienić ma Kancelarię Prezydenta Andrzeja Sebastiana na fuchę ambasadora w Watykanie. Są w tej sprawie nowe wieści. Brzmią one: „… tylko że Watykan ma jeszcze w tej kwestii coś do powiedzenia". Tymczasem szeregi hierarchów polskich wspierających Adama mocno się ostatnio przerzedziły.

Zapowiadaliśmy też odpowiedź na palące pytanie: „Kto zastąpi Adama w kancelarii?". Otóż odpowiedź brzmi: „Nikt". Nie dlatego, że jest on niezastąpiony, lecz wręcz przeciwnie. W związku z tym część obowiązków ma przejąć Grażyna Ignaczak-Bandych, szefowa kancelarii. A resztę – ktoś tam, ktoś tam. Dosłownie.

À propos Grażyny – ktoś łazi po mieście i znowu rozpuszcza plotki, że Ignaczak-Bandych miałaby zostać przez Andrzeja Sebastiana zdymisjonowana i zastąpiona nowym szefem kancelarii, czyli Marcinem Mastalerkiem, pseudo Masta, ksywa Breivik. Ale to rozwiązanie nie wydaje nam się bardzo prawdopodobne. Bardziej interesują nas postacie plotkarzy. W końcu każdy komuś służy.

Tymczasem chryja w Parlamencie Europejskim. Przewodniczący David Maria Sassoli postanowił zerwać wielką koalicję i w imieniu socjalistów poinformował Europejską Partię Ludową, że wcale nie chce oddać – taka była umowa – stanowiska chadekowi Manfredowi Weberowi, który jest szefem frakcji EPL w europarlamencie (sojusznicy wymieniają się stanowiskami w połowie kadencji). Jest to bardzo ważna wiadomość dla polskiej polityki.

Już wyjaśniamy. Otóż eurochadecy się wściekli i dla wzmocnienia pozycji Webera chcą połączyć stanowiska szefa frakcji w europarlamencie oraz szefa samej Europejskiej Partii Ludowej. Widzą w tej roli właśnie Manfreda Webera. Oznaczałoby to, że Donald Tusk szybko straci swą obecną synekurę i zamiast grubych ojro zostanie mu jedynie zabawa w polską politykę. Kupujemy popcorn.

Niektórzy pytają, dlaczego tak mało piszemy o epokowym wydarzeniu: odejściu Gowina ze Zjednoczonej Prawicy. Cóż, może dlatego, że mamy niewiele do powiedzenia. Lepiej to zrobił Kaczmarski w „Piosence pewnego emigranta". Jej bohater wyznaje „A ja przecież nie umiem nawet ująć w słowa / Jak wygląda to, com – niszcząc – budował".

dwaj panowie g

FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

Ciąg dalszy kłopotów prokuratorów IPN. Mimo cudownego ozdrowienia Lech Wałęsa nadal starannie unika stawiennictwa w charakterze podejrzanego o składanie fałszywych zeznań. Przypominamy, że nie tak znowu dawno prokuratorzy wjechali Czesławowi Kiszczakowi na chałupę, załadowali go do karetki i zawieźli do lekarza. I w rezultacie Kiszczak opuścił ten padół łez jako jeden z nielicznych komuchów skazanych prawomocnym wyrokiem. W sumie marzy nam się powtórka.

Ważna poprawka do notki sprzed tygodnia. Bart, który obsobaczał przy świadkach w Bistro Wiejska niejakiego Nitrasa za słowa o piłowaniu katolików, to nie Bart Staszewski od stref LGBT, tylko Bart Sienkiewicz. Naszej wiewiórce się pokićkało, chyba zmylił ją fular. My to rozumiemy. Nasza rubryka jest o ludziach, którzy są w jakiś sposób interesujący. Tych rozróżniamy. Pozostali zlewają się w jedną masę. ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia, kiedy mamy wyzwania na skalę światową, dzięki współpracy z wieloma partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki pacjentom na całym świecie

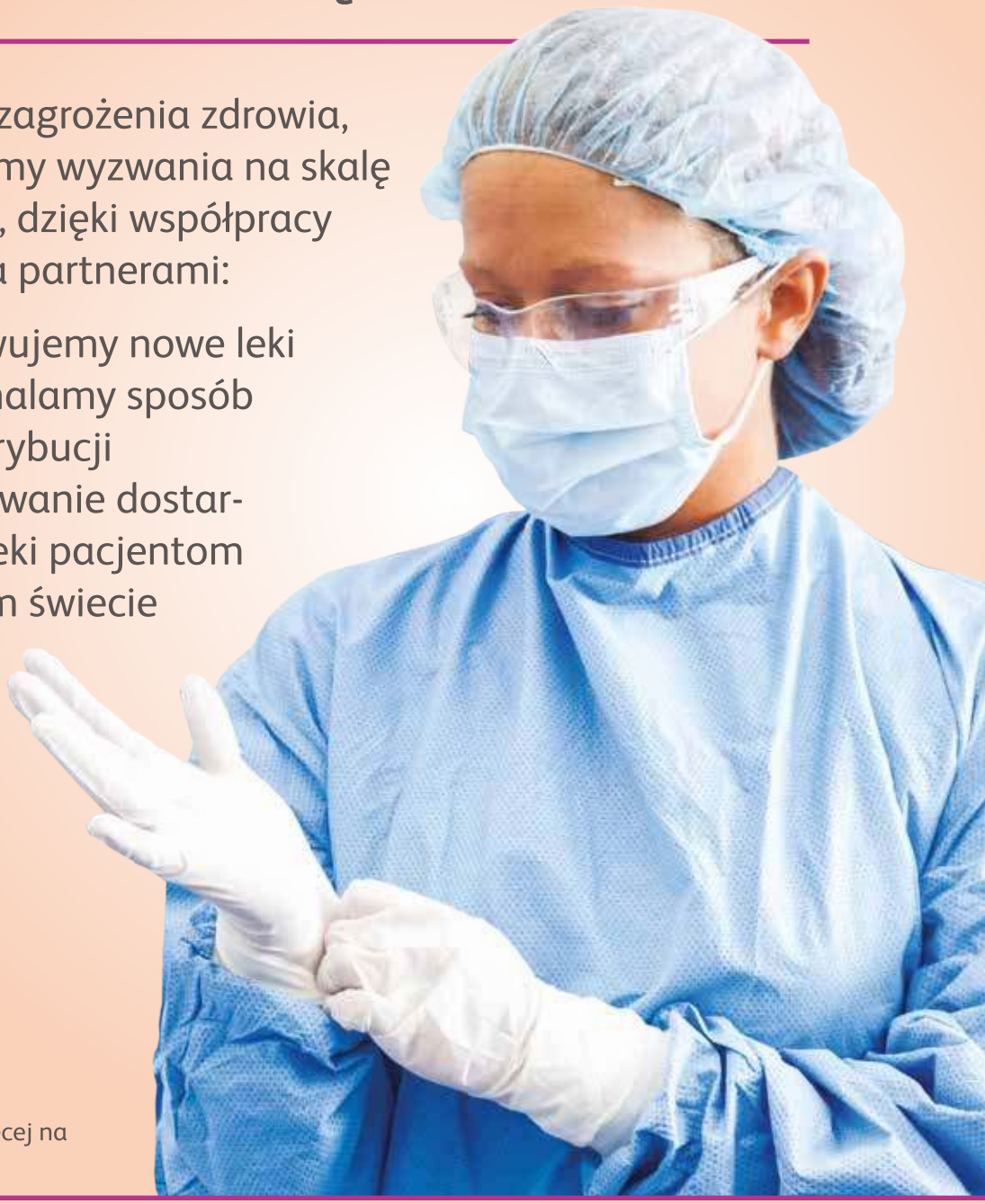

Dowiedz się więcej na
bms.com

ONCPL2011661-01,12.2020

Bristol Myers Squibb™

eprasa.pl 491d86afd3

Zmierzch pontyfikatu Franciszka

Tomasz Rowiński

Kościół zaczyna być zmęczony Franciszkiem. Zmęczeni są ortodoksi – ciągłymi szturmami papieża na doktrynę, tradycję, a teraz liturgię. Zmęczeni są też progresiści, których oczekiwań papież nie spełnia

Od czasu lipcowej wizyty papieża Franciszka w szpitalu i przebytej tam przez biskupa Rzymu operacji nie cichły spekulacje o – być może – rychłym końcu pontyfikatu. Część publicystów pisała o „prekonklawe", czyli zakulisowych poszukiwaniu kandydatów na następców Franciszka. Sam papież odciął się od sugestii o swojej abdykacji i ciężkim stanie zdrowia. Nie znaczy to jednak wcale, że schyłkowy nastrój, który objął w ostatnim czasie pontyfikat Argentyńczyka, nie ma żadnych podstaw i teraz łatwo się ulotni. Zmianę kościelnego klimatu można było bowiem zauważyć już jakiś czas temu. Nastrój ten rzeczywiście kulminował w związku ze szpitalnym epizodem papieża. Istotniejsze wydaje się jednak to, że pojawił się pewien rodzaj zgody ponad podziałami, łączącej konserwatystów i progresywistów, co do tego, że formuła argentyńskiego pontyfikatu się wyczerpuje. To poczucie wydaje się coraz silniejsze, nawet jeśli nie zawsze jest wyrażane wprost.

Warto pamiętać, że okres zmierzchu władzy konkretnego papieża może trwać długo. W przypadku Pawła VI mówi się nawet o 10 latach, czyli o większości pontyfikatu. Przyczyną, dla której w tamtych czasach zaszła tego typu zmiana, była encyklika „Humanae vitae" – o zasadach moralnych w dziedzinie

eprasa.pl 491d86afd3

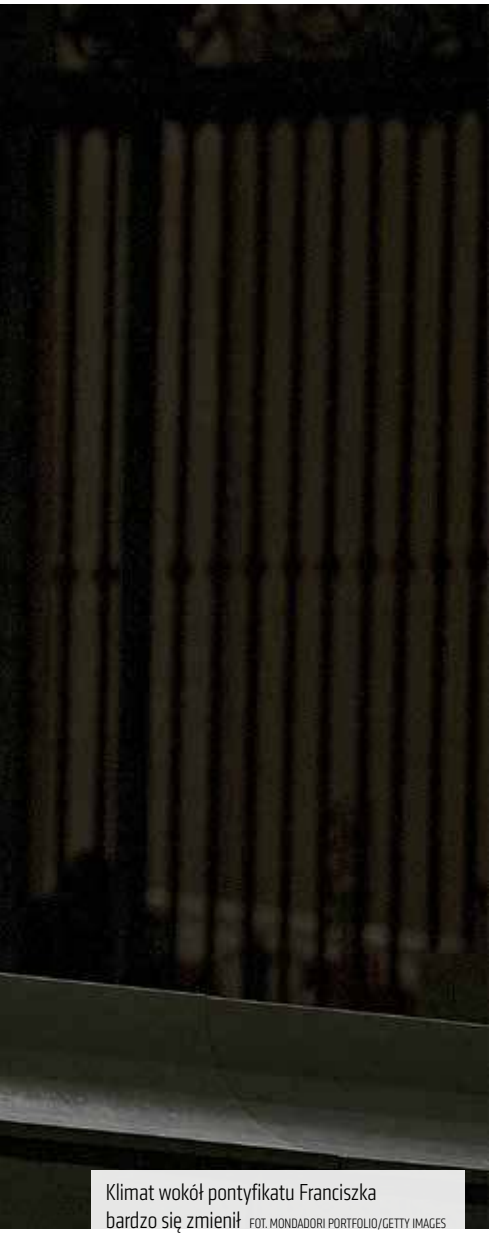

Klimat wokół pontyfikatu Franciszka bardzo się zmienił FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

przekazywania życia ludzkiego – ogłoszona w lipcu 1968 r. Wywołała ona bunt episkopatów świata zachodniego. Paweł VI zmarł dopiero w roku 1978, ale przez wszystkie kolejne lata nie opublikował już żadnej encykliki, choć od roku 1963 do opublikowania „HV", gdy objął rządy nad Kościołem, ogłosił ich aż siedem i były to w większości dokumenty ważne.

„WCIĄŻ ŻYJĘ"

4 lipca papież Franciszek przeszedł operację. Według oficjalnych komunikatów miała ona charakter planowy i związana była z chorobą uchyłkową okrężnicy. „Definitywne badanie histopatologiczne potwierdziło poważne zwężenie uchyłka jelita grubego z oznakami stwardniającego zapalenia" – mówił Mateo Bruni, dyrektor biura prasowego Stolicy Apostolskiej. Jednak zapewnienia o szybkim powrocie do zdrowia papieża nie uciszyły głosów, że tak naprawdę Franciszek cierpi na nowotwór i zostało mu prawdopodobnie zaledwie kilka miesięcy życia. Do wzmocnienia tego przekonania przyczyniła się także publikacja dokumentu „Traditionis custodes", który w intencji ma zlikwidować, przywróconą Kościołowi w szerszym zakresie przez Benedykta XVI, liturgię trydencką. Tekst motu proprio od pierwszych chwil był krytykowany jako niechlujny, tak jakby był przygotowany pospiesznie. W dodatku ogłoszono go dwa dni po tym, jak papież opuścił szpital. Nie bez powodu pytano zatem, kto i dlaczego się spieszył.

Nie wydaje się jednak, by stan zdrowia Franciszka był aż tak zły, jak mówiło się o tym w czasie wakacji. Papież nie odwołał zaplanowanej od 12 do 15 września pielgrzymki na Węgry i na Słowację. W Budapeszcie biskup Rzymu weźmie udział we Mszy św. kończącej Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny. Na Słowacji Franciszek odwiedzi Bratysławę, a także Preszów, który jest stolicą metropolii greckokatolickiej. Tam ma przewodniczyć bizantyjskiej Boskiej Liturgii. Nie są to zadania dla kogoś, kto stoi nad grobem. A jednak czasem od faktów ważniejszy okazuje się nastrój, nawet jeśli kształtuje go plotka czy też skutecznie podsuwana sugestia.

Głównym podającym, jeśli chodzi o spekulacje na temat odejścia Franciszka, w ostatnim czasie okazał się watykanista Antonio Socci, który zajmuje najskrajniejsze skrzydło w obozie krytyków papieża. Zasłynął m.in. promowaniem tezy o nieprawomocności wyboru kard. Bergoglia. Co warte uwagi, Socci nie był nigdy łączony ze środowiskami tradycjonalistycznymi, które właściwie od początku pozostają w opozycji do linii trwającego pontyfikatu. Wiąże się go raczej z powstałym w latach 50. XX w. ruchem Comunione e Liberazione (polska nazwa to Komunia i Wyzwolenie), pamięta się go jako apologetę Jana Pawła II.

To właśnie Socci w swoim artykule z 23 sierpnia opublikowanym na łamach „Libero Quotidiana" i zatytułowanym „Szepty w Watykanie: Konklawe wisi w powietrzu" stwierdził, że narracja o dobrym zdrowiu Franciszka jest tylko zasłoną dymną dla rzeczywistych planów papieża. Watykanista uważa, że czeka nas kolejna papieska abdykacja. Papież Bergoglio kończy w grudniu 85 lat – w tym wieku z władzy w Kościele zrezygnował Benedykt XVI, a św. Jan Paweł II po prostu zmarł. Zdaniem Socciego to znacznie gorszy, niż się oficjalnie mówi, stan zdrowia papieża Franciszka doprowadzi do zmiany władzy w Kościele. Komu teraz wierzyć?

Chociaż sam papież postarał się, by możliwie najbardziej wiarygodnie zdementować pogłoski dotyczące swojego rzekomego odejścia – zrobił to, udzielając na początku września wywiadu dla hiszpańskojęzycznej katolickiej rozgłośni radiowej COPE – nastrój napięcia wcale nie opada. Pytany o zdrowie Franciszek odparł: „Wciąż żyję". I dodał: „Kiedy papież jest chory, podnosi się wiatr albo huragan konklawe". Na pytanie bezpośrednio dotyczące możliwej abdykacji Franciszek odparł: „Nawet nie przyszło mi [to] do głowy. Nie wiem, skąd wziął się taki pomysł, że miałem złożyć rezygnację!". Czy rzeczywiście ta deklaracja rozwiewa wszystkie podejrzenia?

PAPIEŻE EMERYCI

Warto przypomnieć, że w roku 2015 Franciszek sam sugerował możliwość opuszczenia watykańskiej stolicy: „Sądzę, że Benedykt XVI otworzył drzwi. Ścieżka instytucjonalna jest otwarta. Dzisiaj papież emeryt nie jest dziwną rzeczą". Na ten temat wypowiedział się także rok wcześniej: „Ciągle wracam do tego pomysłu, który może nie podobać się niektórym teologom (a nie jestem teologiem)… Myślę, że papież emeryt nie powinien być wyjątkiem". W wywiadzie, którego niedawno udzielił argentyńskiemu dziennikarzowi Nelsonowi Castro Franciszek tak mówił pytany o swoją śmierć: „[Umrę] jako papież, urzędujący albo emerytowany. Tutaj, w Rzymie. Nie wrócę do Argentyny". Znów, jak w wielu innym sprawach, trudno uchwycić, co rzeczywiście myśli papież.

Na kwestie zdrowotne nakłada się jeszcze jeden wątek, a mianowicie powracające doniesienia o tym, że przygotowywany jest dokument, który określi sytuację papieży emerytów. Część głosów wiąże ewentualną publikację takich regulacji z odejściem Franciszka. Nie ma specjalnych podstaw, by twierdzić, że pojawienie się takiego dokumentu wymusi na obecnym papieżu abdykację. Problem tkwi gdzie indziej i wskazał na niego

eprasa.pl 491d86afd3

m.in. Paweł Lisicki: „Wszystkie wcześniejsze przypadki abdykacji papieskich, zresztą niezwykle rzadkich, łączyły się po prostu z powrotem do poprzedniego statusu. Papież, który przestaje być papieżem, pozostaje biskupem, a nie papieżem emerytem, być może biskupem emerytem. Papiestwo nie jest stopniem sakramentalnym kapłaństwa, tak jak diakonat, prezbiterat czy episkopat. Tymczasem Benedykt wprowadził nowy tytuł, zachował prawo błogosławieństwa apostolskiego i pewne inne atrybuty kojarzone z Urzędem Piotrowym, jak choćby białą sutannę" – pisał redaktor naczelny naszego tygodnika w tekście „Franciszek realizuje testament Benedykta".

Bez wątpienia brak regulacji dotyczących sytuacji papieża po abdykacji doprowadził do znacznego zamieszania w Kościele. Kontrowersyjne działania Franciszka spowodowały, że wielu wiernych katolików jest przekonanych, iż być może Ratzinger pozostaje prawdziwym papieżem, a Bergoglio jest kimś w rodzaju uzurpatora. Niewątpliwie te pomysły – podsuwane m.in. przez wspomnianego już Antonia Socciego – nie wzmacniają Kościoła w czasie, gdy jest on rozrywany przez kryzysy spowodowane naprawdę poważnymi problemami (od sporów doktrynalnych, przez kwestie dotyczące zarządzania finansami, do skandali seksualnych). Rzeczywiście, sposób, w jaki dziś w Kościele funkcjonuje Benedykt XVI, nie ma wiele wspólnego z tradycyjnym podejściem do papieskiej abdykacji. Gdy Pius XII przygotowywał się do ewentualnego aresztowania przez nazistów, miał powiedzieć, że ci wprawdzie przyjdą po papieża Piusa, zabiorą tylko kard. Pacellego. Dał w ten sposób do zrozumienia, że pojmanie go przez Niemców będzie równoznaczne z abdykacją, a po jej dokonaniu wróci on do swojego stanu sprzed wyboru.

Na razie nie jest łatwo rozsądzić, które ze spekulacji zawierają w sobie choć cząstkę prawdy, a które są mniej lub bardziej świadomą grą na osłabienie autorytetu Franciszka. Niezależnie jednak od tego można sądzić, że to właśnie trwający w kręgach postępowych upadek nadziei na dalsze bezpośrednie posługiwanie się papieżem sprawił, że mówi się dzisiaj o prekonklawe czy tzw. fine papato. Trzeba bowiem zauważyć, że Franciszek zaczął od pewnego czasu kontestować przynajmniej część najbardziej progresywnych projektów prowadzących do demontażu katolickości. Za moment zwrotny można uznać dzień 12 lutego 2020 r., kiedy to opublikowano adhortację „Querida Amazonia".

ROZCZAROWANI PROGRESIŚCI

Dzień przed publikacją dokumentu rezygnację z przewodzenia niemieckiemu Kościołowi ogłosił jeden z najbliższych współpracowników Franciszka – kard. Reinhard Marx. Można się spodziewać, że znał on już wtedy treść papieskiego dokumentu. Kardynał tłumaczył swoją decyzję tym, że czas oddać pole młodszym. Tyle że jak na kościelne standardy on sam był wtedy dość młodym (66-letnim) hierarchą u szczytu władzy. Dymisję należy raczej powiązać z treścią adhortacji podważającą plany niemieckiego Kościoła. Chodziło przede wszystkim o rozszerzenie święceń kapłańskich na żonatych mężczyzn i – w jakiejś formie – na kobiety.

Jak relacjonował 13 lutego 2020 r. dobrze znający Kościół w Niemczech Tomasz Kycia: „Thomas Sternberg, przewodniczący Komitetu Centralnego Katolików Niemieckich, napisał, że papież Franciszek »nie ma odwagi do przeprowadzenia rzeczywistych reform w omawianych od 50 lat kwestiach święceń żonatych mężczyzn i kompetencji liturgicznych kobiet«". Również przewodnicząca Niemieckiego Katolickiego Związku Kobiet Maria Flachsbarth powiedziała, że w adhortacji papież o kobiecie pisze »niezwykle paternalistycznie i rozczarowująco«, a przewodnicząca niemieckiej Katolickiej Wspólnoty Kobiet Agnes Wuckelt stwierdziła, że dokument jest »gorzkim ciosem dla wszystkich kobiet mających nadzieję na wyraźny sygnał równouprawnienia w Kościele«. Jej zdaniem jest »nie do przyjęcia, że Kościół hierarchiczny nadal odmawia kobietom równych praw i na podstawie argumentów biologicznych degraduje je do funkcji usługodawczych«".

Dziś wydaje się, że rozczarowanie progresistów, które pojawiło się w tamtych dniach, mogło być decydujące dla zmiany klimatu wokół Franciszka. Okazało się bowiem, że krytyka, której papież poddał w czerwcu 2019 r. tzw. drogę synodalną, czyli projekt Kościoła w Niemczech prowadzący m.in. do definitywnego odrzucenia katolickiego nauczania moralnego, a także dyscypliny sakramentalnej, była reakcją poważną. W niedawnym wywiadzie dla Radia COPE Franciszek przyznał, że nad tekstem tego listu pracował miesiąc i zawarte w nim stanowisko pozostaje aktualne.

W czerwcu tego roku kard. Reinhard Marx wykonał kolejny krok, który został przyjęty także jako wymówienie zaufania wobec papieża – zrezygnował z kierowania metropolią Monachium i Fryzyngi. Niedługo potem wydawany w Konstancji „Suedkurier" pisał, że Marx odpowiedzialność za kryzys moralny wielu duchownych przerzuca „na Rzym, ponieważ papież Franciszek także pozostał daleko w tyle za oczekiwaniami, jakie wiązano z nim jako reformatorem w Kościele katolickim". Choć Franciszek odpisał pojednawczym listem i dymisji nie przyjął, to nie należy sądzić, że stosunki papieża z Niemcami są dziś dobre, a to Niemcy właśnie są kościelną lokomotywą nowej reformacji. Biorąc pod uwagę bliskie związki katolików znad Renu i Kościołów lokalnych z Ameryki Południowej, ci pierwsi mogli maczać palce w wyborze Bergoglia na papieża. Mieli też zapewne swoje oczekiwania, które nie są teraz realizowane.

Pozycję papieża osłabiają też takie sprawy, jak proces wobec kard. Angelo Becciu o malwersacje finansowe. Damian Thompson, katolicki komentator „Spectatora", słusznie pytał w sierpniu na swoim podcaście „Holy Smoke", czy rzeczywiście papież nic nie wiedział o tych sprawach (czynniki watykańskie milczą na ten temat). Kto czytał książkę Henry'ego Sire'a „Papież dyktator" i zawarte tam analizy watykańskich gier finansowych, za których odsłonięcie kard. George Pell prawdopodobnie zapłacił zniesławiającym go procesem o gwałt, którego nie było, ten wątpliwości Thompsona uzna za słuszne. Pod koniec lipca portal The Pillar opisał także, jak mogły wyglądać kulisy porozumienia pomiędzy Watykanem a Chinami. W teorii miało chronić ono wolność religijną chińskich katolików i Kościół w tym kraju, ale w praktyce, jak się zdaje, zagwarantowało mocarstwu milczenie Stolicy Apostolskiej w sytuacji, gdy w Państwie Środka dochodzi do łamania praw człowieka. Według The Pillar – który tworzą katoliccy konserwatywni dziennikarze – prawdopodobne jest, że Chiny posłużyły się szantażem wobec władz Kościoła, grożąc ujawnieniem, kto w Watykanie posługiwał się gejowską aplikacją randkową Grindr. W latach 2016–2020 należała ona do chińskiej firmy Beijing Kunlun

eprasa.pl 491d86afd3

Niektórzy watykaniści piszą już wręcz o prekonklawe FOT. ADOBE STOCK

Tech. „Rozległe, oparte na geolokalizacji korzystanie z aplikacji jest dostrzegalne w obrębie murów Watykanu, w zastrzeżonych obszarach bazyliki Świętego Piotra, wewnątrz budynków administracji Watykanu i Stolicy Apostolskiej, w tym tych używanych przez personel dyplomatyczny Watykanu, w budynkach mieszkalnych i w Ogrodach Watykańskich, zarówno w godzinach dziennych, jak i w nocy" – ujawniono. Jak informowały media, założyciele The Pillar, J.D. Flynn i Ed Condon, odwiedzili niedawno Rzym i spotykali się z kard. Pietro Parolinem, watykańskim sekretarzem stanu, oraz Paolo Ruffinim, prefektem watykańskiej dykasterii ds. komunikacji. Jak przypomniał przy tej okazji portal Opoka.pl: „Kardynał Parolin był najważniejszą osobą ze strony Watykanu odpowiedzialną za podpisanie porozumienia z Chinami". Te i inne jeszcze sprawy obciążają konto Franciszka, który wchodził w pontyfikat z hasłami oczyszczenia i reformy instytucjonalnej.

PRZESILENIE?

Zniecierpliwienie jest też widoczne we Włoszech. Słynny watykanista Sandro Magister we wpisie na swoim blogu z 13 lipca zwraca uwagę na dwie książki poświęcone przyszłości Kościoła opublikowane przez progresywnych autorów. Jedna sygnowana jest nazwiskiem Andrei Riccardiego, współzałożyciela wpływowej Wspólnoty Sant'Egidio, byłego ministra w rządzie Montiniego, a druga została opublikowana przez stowarzyszenie Essere Qui, któremu przewodzi socjolog Giuseppe De Rita, współzałożyciel i prezes ośrodka badań społecznych Censis.

Magister zwraca uwagę, że pontyfikat Franciszka w obu tych pozycjach jest właściwie ignorowany. Punktem odniesienia do analiz projektowania przyszłości są lata, gdy Kościołem kierowali Jan Paweł II i Benedykt XVI. Autorzy podnoszą postulat odejścia od priorytetu ewangelizacji na rzecz „zrównoważenia" jej z „kwestiami społecznymi, promocją człowieka i rozwojem potencjału społecznego". Jednak te analizy nie są skierowane, jak uważa Magister, do rządzącego papieża, wybiegają myślą poza przyszłe konklawe.

Można mieć podejrzenie, że zamieszanie wokół papieża, które daje się ostatnio zaobserwować, nie jest wcale specjalnie mocno związane z faktami – czyli np. jego chorobą – ale wynika z instytucjonalno-psychologicznego przesilenia w Kościele. Wydaje się, że dość dobrze świadczy o tym choćby komentarz z „The Salt Lake Tribune" autorstwa wpływowego, progresywnego amerykańskiego jezuity o. Thomasa Reese'a, który z obecności papieża w szpitalu uczynił rodzaj cezury pozwalającej obecny pontyfikat brać w czasowy nawias. Tak jakby jedyne, co zostało, to wyczekiwanie na jego koniec. Tytuł tekstu jest całkowicie wyraźny: „Początek końca Franciszkowego papiestwa".

„Nawet przy najlepszych prognozach wiek dogania papieża Franciszka. Jeśli nie nastąpi cud, to będzie można oczekiwać, że pozostanie papieżem tylko przez pięć lub sześć lat. Możemy spojrzeć na jego hospitalizację jako na moment, który wyznaczył początek końca tego pontyfikatu" – napisał Reese.

Co to wszystko znaczy? Nie jest wykluczone, że Kościół zaczyna być rzeczywiście zmęczony Franciszkiem. Zmęczeni są ortodoksi – ciągłymi szturmami papieża na doktrynę, tradycję, a teraz liturgię. Zmęczeni są ci, którzy pokładali w kard. Bergoglio nadzieję, że zrealizuje reformy instytucjonalne, przeprowadzi oczyszczenie Kościoła z afer seksualnych i finansowych. Tymczasem stare sprawy wciąż się tlą, a ciągle pojawiają się nowe. Reforma kurii rzymskiej, flagowy projekt pontyfikatu, nie została zrealizowana. Progresiści także, jak się zdaje, czują się zawiedzeni, że papież stał się hamulcowym demontażu katolickiej antropologii i moralności. Można zatem odnieść wrażenie, że – ponad podziałami – wpływowi ludzie Kościoła niczego już od pontyfikatu Franciszka nie oczekują, natomiast obawiają się, że papież stracił kontrolę nad sytuacją. Oczywiście nie jest wcale powiedziane, że sam papież tym nastrojom się podda i pozostanie bierny. To się dopiero okaże. Jedno jest jednak pewne – upływającego czasu Franciszek rzeczywiście nie pokona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TAKŻE JAKIE SĄ PRAWDZIWE MOTYWACJE DECYZJI PAPIEŻA DOTYCZĄCE MSZY W RYCIE TRYDENCKIM NA STRONIE 68

eprasa.pl 491d86afd3

Maciej Pieczyński

Za naszą wschodnią granicą ruszyły największe w historii manewry rosyjsko-białoruskie. Moskwa i Mińsk tym razem nie ukrywają, że w realizacji – na razie tylko ćwiczeniowego – scenariusza wojny z Zachodem weźmie udział 200 tys. żołnierzy. Polska armia również ćwiczy, choć w zupełnie innej skali

Zapad u bram

W Europie Wschodniej wybucha konflikt pomiędzy „Północą" a „Zachodem". Pierwszy z tych bloków reprezentuje Państwo Związkowe Republiki Polesie i Federacji Centralnej. Drugi składa się z trzech państw. Są to Niaris, Pomorija oraz Republika Polarna. Nietrudno zgadnąć, co kryje się za tymi nazwami. Nieprzypadkowo strona rosyjsko-białoruska figuruje pod nazwą Państwa Związkowego. Związek Białorusi i Rosji przez wiele lat był formą pozbawioną realnej geopolitycznej treści. Od momentu wybuchu „biało-czerwono-białej rewolucji" dążenia Moskwy do zacieśnienia integracji trafiają na coraz mniejszy opór Mińska, skazanego na wschodniego sojusznika. Niaris to rosyjski wariant litewskojęzycznej nazwy rzeki Wilii, Pomorija to Pomorze (być może chodzi o drugie nieprzychylne Rosji i Białorusi państwo bałtyckie, jakim jest Łotwa), a Republika Polarna odgrywa rolę Polski. Sojusznikami tych trzech państw „Zachodu" są „międzynarodowe organizacje terrorystyczne". Tak wygląda układ sił wykreowany przez dowódców i sztabowców, kierujących manewrami „Zapad-2021". Oficjalnie ćwiczenia zostały zaplanowane na 10–16 września, w praktyce jednak ruszyły wiele miesięcy wcześniej.

DEFENSYWA TEORETYCZNA

Scenariusz konfliktu do złudzenia przypomina prawdziwe wydarzenia, tyle że z odwróceniem ról agresora i ofiary. Główną przyczyną zaostrzenia sytuacji jest dążenie „Zachodu" do destabilizacji sytuacji na terenie Republiki Polesie i przyłączenie jej zachodnich obwodów do Niaris. To się jednak nie udaje. „Za-

eprasa.pl 491d86afd3

2 września 2021 r. Pojazdy wojskowe 17. Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej z Międzyrzecza na stacji Orlen przy S8 w kierunku Białegostoku. Jak informuje rzeczniczka 17. WBZ, brygada przemieszczała się na ćwiczenie „Silver Arrow-21" na Łotwie FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

chód" nie jest w stanie wywołać konfliktu wewnętrznego w Republice Polesie. To oczywiste nawiązanie do protestów na Białorusi, zdaniem Mińska i Moskwy sterowanych z Warszawy i Wilna. Nie będąc w stanie zniszczyć wroga od wewnątrz, „Zachód" napada na Państwo Związkowe. „Z kolei Republika Polesie i Federacja Centralna dążą do ustabilizowania sytuacji w regionie w oparciu o normy prawa międzynarodowego oraz do zachowania swojej integralności terytorialnej oraz suwerenności" – tak na briefingu prasowym przebieg manewrów streszczał białoruski wiceminister obrony Wiktor Gulewicz. W odpowiedzi rusza kontrofensywa wojsk Państwa Związkowego.

Teoretycznie więc manewry mają charakter defensywny. Tak przedstawiane są przez Mińsk i Moskwę. To jednak typowy, tradycyjny już zabieg kremlowskiej propagandy. Od zawsze przedstawia ona obraz Rosji jako „oblężonej twierdzy", która nigdy nikogo nie napadała, a przez całe wieki jedynie broniła się przed agresywną ekspansją Zachodu – od szwedzkich i niemieckich rycerzy za czasów Aleksandra Newskiego (XIII w.), przez „polskich interwentów", przegonionych z Kremla w 1612 r., Napoleona, pobitego równo dwa wieki później w wojnie ojczyźnianej, Piłsudskiego (1920), aż do Hitlera, zwyciężonego w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Nawet agresja na Polskę we wrześniu 1939 r. jest wciąż, zgodnie z sowiecką wykładnią, przedstawiana jako obrona Białorusinów i Ukraińców oraz zabezpieczenie interesów ZSRS wobec „upadku państwa polskiego". Również pod względem ściśle militarnym defensywa rozumiana jest przez rosyjskich sztabowców w kategoriach ofensywnych. Szef sztabu generalnego sił zbrojnych FR gen. Walerij Gierasimow już dwa lata temu ogłosił swoją doktrynę „aktywnej obrony", która przewiduje wyprzedzającą „neutralizację zagrożeń dla bezpieczeństwa państwa". „W istocie scenariusz ćwiczeń ma charakter ofensywny. Poczynione manipulacje mają przekonać odbiorcę, że zakłada on ograniczony konflikt zbrojny z Polską i państwami bałtyckimi, które są zainteresowane wybuchem konfliktu zbrojnego. W rzeczywistości przewiduje prowadzenie ofensywnych działań zbrojnych na wielką skalę" – czytamy w analizie Ośrodka Studiów Wschodnich autorstwa Andrzeja Wilka i Piotra Żochowskiego.

Mińsk i Moskwa udają zdziwienie faktem, że „Zapad-2021" niepokoi Zachód. Przecież manewry odbywają się cyklicznie, co cztery lata. I jak dotąd wojna nie wybuchła. Gulewicz, cytowany przez rządową białoruską agencję Belta, kpił, że za każdym razem słychać te same nieuzasadnione głosy oburzenia ze strony zachodu – „wyssane z palca zarzuty domorosłych ekspertów" – którego jedynym celem jest tworzenie i wyolbrzymianie narracji o rzekomym zagrożeniu ze wschodu, czyli, tak naprawdę, podgrzewanie i tak już gorącej atmosfery w regionie.

Tyle że rozważane przez sztabowców scenariusze muszą niepokoić. Jeśli brać je dosłownie, to wsparcie Warszawy dla antyłukaszenkowskiej opozycji potraktowane zostało jako wypowiedzenie wojny hybrydowej, a odpowiedzią Łukaszenki na „kolorową rewolucję" jest zalanie granicy z Polską falą nielegalnych migrantów. Destabilizacja za destabilizację. Obecność przy tej granicy ćwiczących wojnę z Zachodem rosyjskich i białoruskich wojsk może doprowadzić do tragicznego incydentu. Wydaje się, że na ewentualnej prowokacji bardziej zależy Łukaszence niż Putinowi. Białoruski dyktator mógłby wciągnąć Rosję

eprasa.pl 491d86afd3

w konflikt z Zachodem, aby wykazać swoją przydatność jako „zachodniej flanki", żądając w zamian zapłaty. Kreml z kolei najpewniej zamiast kosztownych incydentów wolałby po prostu postraszyć wschodnią flankę NATO i zniechęcić Zachód do aktywnej polityki na obszarze byłego ZSRS, traktowanym jako rosyjska strefa wpływów.

NIEPOKOJĄCA SKALA

Ćwiczenia strategiczne rosyjskich sił zbrojnych odbywają się regularnie, co roku, od 2004 r. Wtedy to dynamicznie rozbudowująca się armia została podzielona na cztery okręgi wojskowe – Wschodni, Centralny, Południowy i Zachodni. Każdy z nich ćwiczy co cztery lata. W styczniu powstał kolejny, Północny. Zgodnie z nazewnictwem, manewry o kryptonimie Zapad służą przeszkoleniu żołnierzy okręgu zachodniego we współdziałaniu z sojuszniczymi oddziałami białoruskimi. Obecnie są prowadzone po raz czwarty (wcześniej w latach: 2009, 2013, 2017). Za każdym razem w roli potencjalnego przeciwnika obsadzane są państwa NATO. Rosjanie i Białorusini wspólnie ćwiczą też w ramach manewrów „Szczit Sajuza" („Tarcza Związku"), których celem jest weryfikacja integracji militarnej obu sojuszniczych armii. Jak zauważają Andrzej Wilk i Piotr Żochowski z OSW, od połowy drugiej dekady XXI w. w ćwiczeniach strategicznych danych okręgów uczestniczą oddziały z przynajmniej jednego z pozostałych okręgów. „W omawianym okresie utrwaliły się przeorientowanie Południowego Okręgu Wojskowego na kierunek zachodni (ukraińsko-czarnomorski) oraz praktyka wykorzystywania Centralnego OW w charakterze tzw. drugiego rzutu strategicznego, również przede wszystkim dla kierunku zachodniego" – analizują eksperci. W efekcie trzy na cztery okręgi podczas ćwiczeń strategicznych jako potencjalnego sojusznika traktują państwa NATO.

Choć „Zapad" odbywa się cyklicznie, to w tym roku skala może niepokoić. Są to nie tylko największe manewry rosyjsko-białoruskie w historii, lecz także największe ćwiczenia wojskowe w Europie od czterech dekad. Cztery lata temu brało w nich udział ok. 100 tys. żołnierzy. Obecnie jest ich dwa razy więcej. W poprzednich latach Moskwa zaniżała oficjalną liczbę żołnierzy tak, aby nie przekraczała ona 13 tys. W przeciwnym wypadku, zgodnie z „dokumentem wiedeńskim" z 2011 r., byłoby konieczne zaproszenie na manewry zagranicznych obserwatorów z innych państw OBWE. W tym roku Kreml po raz pierwszy nie przejmował się takimi niuansami. Oficjalnie w manewrach uczestniczy 200 tys. żołnierzy. Nie wiadomo, czy tym razem ta liczba nie jest zawyżona tak, aby wystraszyć państwa NATO. 200 tys. poszło w świat, jednak z drugiej strony przedstawiciel rosyjskiego MON Jewgienij Iljin na spotkaniu z korpusem dyplomatycznym zapewniał, że jednorazowo na żadnym z poligonów nie będzie ćwiczyć więcej niż 6,4 tys. żołnierzy. Być może więc celem jest bardziej zasianie niepokoju niż otwarte wyzwanie rzucone Zachodowi.

W czasie manewrów „Zapad" trwają polskie manewry „Ryś-2021". Bierze w nich udział ok. 4 tys. żołnierzy i 1 tys. jednostek sprzętu

POLSKI „RYŚ"

Dokładnie w tych samych dniach co „Zapad" trwają polskie manewry „Ryś-2021". „Zdolności Sił Zbrojnych RP do szybkiego przerzutu są kluczowe. 12. Szczecińska Dywizja Zmechanizowana rozpoczyna jedne z największych ćwiczeń od lat. Żołnierze przemieszczają się właśnie z zachodu na wschodnie poligony" – poinformował 5 września na Twitterze szef MON Mariusz Błaszczak. – „Ryś-21" to ćwiczenie taktyczne z wojskami, którego celem jest sprawdzenie stopnia przygotowania dowództw, sztabów i pododdziałów do realizacji zadań bojowych zgodnie z przeznaczeniem – mówi „Do Rzeczy" ppłk Marek Pawlak, rzecznik prasowy Dowódcy Generalnego Sił Zbrojnych. – W ćwiczeniu bierze udział ok. 4 tys. żołnierzy oraz prawie 1 tys. jednostek sprzętu wojskowego z 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej oraz jednostek bezpośrednio podległych, więc moim zdaniem, od początku pandemii, są to jedne z większych ćwiczeń jednostek podległych Dowódcy Generalnemu – dodaje.

Pierwsza część manewrów to ćwiczenie przerzutu wojsk na dużą odległość. 5 i 6 września pododdziały 12. Dywizji Zmechanizowanej ruszyły na południowy wschód kraju, do Ośrodka Szkolenia Poligonowego Wojsk Lądowych w Nowej Dębie, gdzie 10 września rozpoczęły się ćwiczenia. „Przemieszczenie wojsk transportem kolejowym jest bardzo ważnym elementem szkolenia, począwszy od przygotowania teoretycznego żołnierzy z zakresu załadunku, rozładunku, jak i warunków bezpieczeństwa do praktycznej realizacji transportu operacyjnego. Przerzut operacyjny z północno-zachodniej do południowo-wschodniej część Polski odbywał się jednocześnie z kilku miejscowości: Szczecina, Stargardu, Koszalina oraz Słupska" – czytamy na stronie dywizji. Na poligon szczecińscy żołnierze zabrali ponad tysiąc jednostek sprzętu, m.in. kołowe transportery opancerzone Rosomak, moździerze Rak, armatohaubice Dana, bojowe wozy piechoty, zestawy przeciwlotnicze Hibneryt i przeciwpancerne pociski kierowane Spike. Ponadto na początku września 17. Brygada Zmechanizowana z Międzyrzecza wyruszyła na Łotwę. Tam przez ponad dwa tygodnie, do 18 września, szkoli się w ramach międzynarodowych ćwiczeń taktycznych „Silver Arrow-21". W manewrach u bałtyckiego sojusznika bierze udział blisko 150 żołnierzy, wyposażonych m.in. w samobieżne moździerze Rak czy rosomaki. „Silver Arrow" to ćwiczenie, które odbywa się na Łotwie regularnie. Biorą w nim udział nie tylko żołnierze armii łotewskiej, lecz także państw sojuszniczych, m.in. ze stacjonującej w Adazi Batalionowej Grupy Bojowej NATO. Jego celem jest sprawdzenie interoperacyjności i gotowości do podejmowania działań obronnych wojsk sojuszniczych. Jak informuje „Polska Zbrojna", to właśnie do prowadzenia takich działań została skierowana kompania zmotoryzowana z 17. Brygady Zmechanizowanej.

Jak zapewnia ppłk Pawlak, manewry w Nowej Dębie zostały zaplanowane już rok temu i nie mają nic wspólnego ani z manewrami „Zapad-2021", ani z wprowadzonym na granicy z Białorusią stanem wyjątkowym. Niemniej odbywają się równolegle z rosyjsko-białoruskimi ćwiczeniami. A polscy żołnierze ćwiczą przerzucenie jednostek na wschód kraju. Porównanie „Rysia" z „Zapadem" wypada, rzecz jasna, niezbyt korzystnie dla polskich sił zbrojnych, ale pamiętać należy, że skala jest zupełnie inna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

Narodowy Marsz Życia i Rodziny

Warszawa
Plac Zamkowy
19. 09. 2021
godz. 11.30

W hołdzie błogosławionemu PRYMASOWI TYSIĄCLECIA

PATRONAT HONOROWY

KONFERENCJA EPISKOPATU POLSKI

ORGANIZATORZY

Chrześcijański Kongres Społeczny

DLA POLSKI I CYWILIZACJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Centrum Życia i Rodziny

PARTNERZY

Rycerze Kolumba

WOJOWNICY MARYI

MARSZ DLA ŻYCIA I RODZINY

PATRONAT MEDIALNY

Do Rzeczy, Gość Niedzielny, SIECI, TRWAM, Christianitas, MARSZ, niedziela, wPolityce.pl, tysol.pl, mn, wRealu24, PCh24.pl

www.narodowymarszzycia.pl

eprasa.pl 491d86afd3

Wewnątrzunijna wojna z Polską w tle

Paolo Gentiloni, europejski komisarz ds. gospodarki FOT. RICCARDO PAREGGIANI/EP/EUROPEAN UNION

Rafał A. Ziemkiewicz

Komisja Europejska zabrała się wreszcie ostro do „państwa PiS" – cieszy się opozycja. Z całą pewnością dostaniemy należne nam pieniądze, wynika to z prawa i podpisanych umów – uspokaja rząd. Sama Komisja Europejska zaś najwyraźniej jest w tej sprawie podzielona, bo decyzję, być może kluczową dla przyszłości Unii, podjął w jej imieniu jeden z komisarzy – nie wiadomo na razie, czy w porozumieniu z innymi

Tak naprawdę mamy tu do czynienia z dwoma różnymi sprawami. Jedna to postępowanie w sprawie „praworządności" i Izby Dyscyplinarnej SN, druga to wykorzystanie do nacisku na Polskę pieniędzy obiecanych w ramach Funduszu Odbudowy. Ta druga podniesiona została w ubiegłym tygodniu przez europejskiego komisarza ds. gospodarki Paola Gentiloniego na spotkaniu komisji budżetowej Parlamentu Europejskiego i nagłośniona przez Agencję Reutera. Gentiloni mówił w PE, że Polska nie otrzyma pieniędzy, ponieważ nie chce jednoznacznie uznać wyższości prawa unijnego nad krajowym, i wskazał tu na wniosek premiera do Trybunału Konstytucyjnego, którego rozpatrzenie Trybunał kilkakrotnie już odraczał.

Gentiloni nie powiązał wypłat ze sporem o Izbę Dyscyplinarną – to zrobiły dopiero polskie lewicowo-liberalne media, wpisując zapowiedź komisarza w odwieczną narrację opozycji, że popierając rząd PiS, Polacy pozbawiają się dobrodziejstw płynących z Unii. Argument użyty przez Gentiloniego trafia zresztą także w tradycyjną narrację władzy: eurokraci próbują bezprawnie wywrzeć nacisk na Polskę, wbrew unijnemu prawu, nie z troski o „praworządność" czy inne konkretne sprawy, ale dla pozbawienia nas suwerenności.

POZORY LEGALNOŚCI

W istocie słowa byłego premiera Włoch można uznać za prezent w równym stopniu dla obu polskich politycznych plemion. Donald Tusk i inni liderzy opozycji oraz wtórujące im media próbują wpisać je w walkę o reformę sądów i zbudować narrację – cytując Tuska – że „nowy plan Marshalla" ominie nas przez „obsesje" Kaczyńskiego, który „rujnuje polski i europejski ład prawny". Ta teza nie bardzo ma się jednak do tego, co naprawdę komisarz powiedział.

Jego słowa łatwo jest władzy skompromitować przez zestawienie z faktami. Jak dotąd Komisja Europejska uruchomiła fundusze dla 10 krajów, a pierwszym z nich były Niemcy, które wielokrotnie, także orzeczeniami swego sądu konstytucyjnego, podkreślały, że uważają swoje prawo krajowe za nadrzędne. Mało tego, wszystkie państwa z tej dziesiątki albo również otwarcie tak ogłosiły, albo zignorowały kolejne wyroki TSUE i nie wykonują ich, niekiedy od wielu lat. Użycie więc takiego właśnie argumentu – właściwie potwierdzającego, że kwestie „praworządności" są w sekowaniu Polski przez KE tylko pretekstem – a nie któregoś z tych, których oczekiwała polska lewicowo-liberalna opozycja (np. sprawy Izby Dyscyplinarnej SN), czyni z oczekiwanej przez nią pomocy typową niedźwiedzią przysługę.

Dodajmy, że oczekiwanemu przez PO i Lewicę argumentowi za „głodzeniem" Polski dałoby się nadać pozory legalności. Polska zgodziła się na kontrolę przez Komisję wydatkowania pieniędzy z FO, a zamieszanie w polskim systemie sądowniczym można, od biedy, uznać, za osłabienie nadzoru nad ich właściwym i zgodnym z wytycznymi używaniem. Natomiast wniosku o uznanie wyższości prawa krajowego nad unijnym (czysto politycznego, bo poprzednie składy TK orzekły o niej już co najmniej trzykrotnie) nijak się legalnie z pieniędzmi wyni-

eprasa.pl 491d86afd3

kającymi z konkretnych unijnych umów powiązać nie da.

ROZGRYWKA WEWNĄTRZ EUROKRACJI

Przeczy to narzucającej się wielu komentatorom z umownej prawej strony teorii, że „przeciek" dokonany za pomocą Reutersa stanowi element ułożonego wcześniej planu, związanego z powrotem do Polski Tuska: planu, zgodnie z którym niechętny wcześniej do tego Tusk został nakłoniony przez eurokratów do „odzyskania" dla nich krnąbrnego kraju obietnicą wywarcia na Polskę finansowego nacisku. Jeśli tak, to trzeba by uznać, że Gentiloni wyrwał się z realizacją obietnicy w najgorszym możliwym momencie, gdy nawet kwestię funduszy przykryły emocje związane z atakiem na wschodnią granicę, i w dodatku zrobił to ze zręcznością słonia w składzie porcelany, w sposób, który zamiast oczekiwanego potępienia dla polityki PiS może w Polakach wzbudzić raczej niechęć do Unii Europejskiej.

Do hipotezy o celowym wsparciu polskiej opozycji nie pasuje też osoba Gentiloniego. Gdyby zapowiedź odebrania Polsce funduszy miała zabrzmieć poważnie, jakąś aluzję na ten temat zrobić powinien bezpośrednio odpowiedzialny za te sprawy wiceprzewodniczący Komisji, Valdis Dombrovskis. Co prawda, jego postawa w tej sprawie też jest dziwna. Pytany o wypowiedź Gentiloniego, Dombrovskis stwierdził, że Komisja „jest w bliskim kontakcie" z polskim rządem, prace trwają, podobnie jak w wypadku innych krajów, ale wspomniał też o jakichś „dodatkowych wyjaśnieniach", których oczekuje Komisja od Polski. Rzecz w tym, że negocjacje zostały formalnie zamknięte już miesiąc temu i od tego czasu, zdaniem polskiego rządu, o żadne dodatkowe informacje czy wyjaśnienia Komisja nie prosiła. Z polskim wnioskiem nic się nie dzieje, jest po prostu przetrzymywany metodą „sprawa jest w załatwianiu".

Zdaje się to oczywiście wskazywać, że jest przedmiotem jakiejś gry i – być może – jakichś tajnych negocjacji, a być może jakiś związek z nimi ma fakt tak długiego ociągania się z rozpatrzeniem sprawy przez polski Trybunał Konstytucyjny. Jednak niektórzy komentatorzy wskazują też na innego rodzaju grę, wcale nie między Komisją a rządem Polski, ale wewnątrz eurokracji.

I tu właśnie trzeba umieścić drugą głośną sprawę ubiegłego tygodnia, która medialnie „przykryła" pierwszą: wystąpienie przez KE z wnioskiem o nałożenie na Polskę kar za niewykonanie wyroku TSUE likwidującego Izbę Dyscyplinarną. Otóż rzecz w tym, że decyzja ta tylko formalnie była decyzją Komisji. Wbrew zwyczajowi, każącemu Komisji wszystkie sprawy rozstrzygać kolektywnie, podjął ją jednoosobowo komisarz ds. sprawiedliwości Didier Reynders, wykorzystując pełnomocnictwo udzielone mu przez Komisję w czerwcu, a wygasające… 8 września.

Przedstawiając sprawę personalnie – mamy tu do czynienia z podgryzaniem obecnej przewodniczącej KE Ursuli von der Leyen. Z licznych wypowiedzi wynika, że w negocjacjach obiecała ona premierowi Morawieckiemu, iż pieniądze z Funduszu Odbudowy zostaną odblokowane, a argument „praworządności" nie będzie podnoszony do czasu rozstrzygnięć, o które zwróciła się w imieniu Komisji do TSUE. Bardzo możliwe, że zwłoka wynika z jej zaplanowanego na 15 września wystąpienia przed Parlamentem Europejskim. Ten bowiem jest szczególnie „cięty" na Polskę i Węgry, co w pewnym stopniu jest skutkiem antypolskiego lobbingu europosłów PO, PSL i Lewicy w swoich frakcjach, a w jeszcze większym – frustracji, że w nowej, pokryzysowej architekturze Unii zyskują na znaczeniu Komisja i TSUE, a Parlament pozostaje, jak był, kosztowną fasadą, pozorującą wewnątrzunijną demokrację. Aby udowodnić sobie i innym, że coś może, parlamentarna większość chadeków i socjaldemokratów, ze wsparciem skrajnej lewicy, postanowiła „odstrzelić" z budowanej federacji Polskę i Węgry. Dlatego domaga się stanowczo pozbawienia nas nie tylko funduszy, lecz także nawet prawa głosu w ciałach wspólnotowych, strasząc Komisję – jeśli jednak funduszy Polsce nie wstrzyma – wnioskiem przeciwko niej do TSUE, co byłoby posunięciem zupełnie bezprecedensowym, a nawet więcej, jeszcze bardziej bezprecedensowym odwołaniem KE i jej przewodniczącej.

W świetle tego konfliktu jaśniejsze staje się, dlaczego Gentiloni wyraził swe poparcie dla antypolskich planów właśnie na posiedzeniu komisji PE, jak również dlaczego użył tego właśnie argumentu – mianowicie dla zdyskredytowania wcześniejszych wypowiedzi von der Leyen, a także Věry Jourovej, że sprawa FO nie będzie wiązana ze sporem o wyższość prawa unijnego nad krajowym, oraz dla zaznaczenia, że PE ma w Komisji ludzi, na których może liczyć, i on należy do tej liczby. Wniosek o nałożenie na Polskę kar podjęty za plecami przewodniczącej to zaś już otwarte rzucenie jej wyzwania.

Ten spór nie ma jednak charakteru wyłącznie ambicjonalnego ani personalnego. Jest sporem między wizją Angeli Merkel Europy w mniej więcej dotychczasowym kształcie a pomysłem europejskiej lewicy powrotu do mniejszej, ale za to ściślej sfederalizowanej „Europy Karolińskiej". Pierwsza przeszkoda do realizacji tego planu już znikła, wraz z brexitem – kolejną są kraje Europy Środkowej. Wbrew mniemaniu lewicowo-liberalnych mediów, ale także rządu, wcale nie chodzi tu o „zdyscyplinowanie" Polski i przywrócenie jej Unii – ale o „wyciśnięcie" jej z Unii. Oczywiście w taki sposób, aby cała wina spadła na nas.

OPOZYCJA WE MGLE

Czy uczestnicząca w tej grze Polska opozycja w ogóle zdaje sobie sprawę, w czym bierze udział? Nic na to nie wskazuje. Wydaje się, że działa ona w przekonaniu, że prowokując zwolenników mniejszej unii do ataków na Polskę, przybliża utratę władzy przez PiS, po której „znowu będzie, jak było". W istocie europejskim, jak nazwał ich Le Pen, „federastom" wcale na tym nie zależy – wzmocnienie władzy w swych państwach PiS i Orbána z ich punktu widzenia będzie godziwą ceną za pozbycie się z budowanych „stanów zjednoczonych Europy" kraju postrzeganego jako wiecznie skłócony, niestabilny i wszystkim swoim protektorom sprawiający więcej kłopotów niż dający pożytku.

Dodać trzeba, że wizja europejskiej lewicy jest również oderwana od realiów i przez to niebezpieczna: eurokracja nie ma środków wystarczających do skutecznego zbudowania „stanów zjednoczonych Europy", ma ich natomiast dość, by niechcący zbudować coś na kształt wielkiej Jugosławii – z podobnym skutkiem. Świadomość tego zdaje się docierać do niemieckich elit, dostrzegających, że federalistyczne zapędy eurokracji w oczach obywateli Unii obciążają (nie bez racji zresztą) Niemców, którzy zaczynają być coraz bardziej zgodnie znienawidzeni, jak to jest w imperiach losem hegemona. Właśnie budzenie się tej świadomości jest przyczyną zygzaków, jakie daje wypadkowa sprzecznych działań różnych grup interesu w Unii. Czy polski rząd zachowuje się w tej sytuacji sprawnie – trudno orzec, można jednak uznać z całą pewnością, że opozycja jak zwykle nie rozumie nic.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Z Jarosławem Gowinem, liderem Porozumienia, byłym wicepremierem
rozmawia Ryszard Gromadzki

Dziś PiS uderza w polski kapitał

eprasa.pl 491d86afd3

RYSZARD GROMADZKI: Dlaczego projekt Zjednoczonej Prawicy z udziałem Porozumienia się wypalił? Co poszło nie tak?

JAROSŁAW GOWIN: Zjednoczona Prawica mogła ewoluować w stronę klasycznej europejskiej chadecji i wtedy na pewno byłaby w staniej rządzić Polską przez kolejne kadencje. Zamiast tego – zwłaszcza po wyborach w 2019 r. – do głosu doszły tendencje, które nie mają nic wspólnego z programem Zjednoczonej Prawicy i z prawicowością jako taką. Proszę przyjrzeć się rozwiązaniom podatkowym Polskiego Ładu – spotkały się one z życzliwym przyjęciem tylko jednego środowiska politycznego, czyli partii Razem, a więc środowiska skrajnie lewicowego. Prawica, która ręka w rękę uderza w klasę średnią? Nie mogłem do tego przykładać ręki.

Kolejny przykład odejścia od programu Zjednoczonej Prawicy to izolacjonizm w sprawach gospodarczych. O ile w poprzedniej kadencji można było mieć nadzieję, że jako Zjednoczona Prawica będziemy twardo walczyć o podmiotową pozycję Polski w Unii Europejskiej, o tyle – zwłaszcza po wyborze Joe Bidena na prezydenta USA – Jarosław Kaczyński podjął świadomą decyzję, że Polska powinna izolować się zarówno w Unii Europejskiej, jak i w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. W ten sposób zamiast wzmacniać międzynarodową pozycję Polski, PiS prowadzi do jej dramatycznego osłabienia. Takich przykładów odejścia od programu Zjednoczonej Prawicy jest bardzo wiele. To Porozumienie zachowało wierność temu programowi. Dlatego nas w obozie rządowym już nie ma.

Dystansuje się pan od rozwiązań podatkowych zawartych w Polskim Ładzie, tymczasem pana byli partnerzy polityczni ze Zjednoczonej Prawicy wytykają panu, że jeszcze w maju się pan pod nimi podpisywał...

Podpisywałem się pod rozwiązaniami kierunkowymi. Jednak już podczas konwencji, w trakcie której prezentowaliśmy te rozwiązania, nie tylko ja, lecz także premier Morawiecki mówiliśmy o tzw. uldze dla klasy średniej. Ta ulga z inicjatywy Porozumienia została wprowadzona do Polskiego Ładu w odniesieniu do osób zatrudnionych na umowę o pracę. Natomiast jeśli chodzi o osłonę dla osób prowadzących działalność gospodarczą, to niestety nie doszliśmy do kompromisu. W efekcie rozwiązania zaprezentowane przez PiS oznaczały drastyczną podwyżkę podatków zwłaszcza dla małych, mikro i rodzinnych firm, czyli tych przedsiębiorstw, które stanowią o sile polskiej gospodarki. To najbardziej jaskrawy przykład sprzeniewierzenia się przez PiS programowi Zjednoczonej Prawicy. Przecież zawsze na sztandarach mieliśmy hasło patriotyzmu gospodarczego. Tymczasem dziś PiS uderza w polski kapitał, a zagraniczne koncerny wychodzą z tych rozwiązań właściwie nawet niedraśnięte.

Mówi pan o różnicach programowych, które zdecydowały o rozejściu się PiS i Porozumienia. Na ile wpływ na ten rozbrat miał wewnętrzny spór wewnątrz pańskiego ugrupowania z frakcją Adama Bielana? To był realny konflikt czy spór inspirowany przez prezesa Kaczyńskiego?

Od wielu miesięcy mówiłem o tym, że działania grupy byłych polityków Porozumienia są inspirowane. Jarosław Kaczyński posługiwał się jako instrumentem tymi politykami Porozumienia, którzy od początku chcieli odgrywać rolę przystawki PiS. Mój cel był i pozostaje inny: chcę budować niezależną partię centroprawicową. Konserwatywną w sferze wartości, wolnorynkową gospodarczo, przywiązaną do tradycji chrześcijańskich, ale odrzucającą instrumentalne wykorzystywanie Kościoła do celów politycznych. Partię szanującą umiar, ciągłość, nastawioną na wzmacnianie instytucji, a nie ciągłą walkę i rządzenie poprzez eskalowanie sporów.

Czy takim punktem zwrotnym, który zdecydował o rozejściu się Porozumienia z PiS, nie były ubiegłoroczne wybory prezydenckie i pana zdecydowany sprzeciw wobec wyborów korespondencyjnych?

To był punkt zwrotny w tym sensie, że zatrzymałem PiS w samobójczym dążeniu do przeprowadzenia wyborów, których wynik z całą pewnością byłby powszechnie kontestowany w Polsce i za granicą. Zresztą w paru niedawnych wypowiedziach publicznych przyznał mi pośrednio rację pan prezydent Duda. Sprzeciwiając się „wyborom kopertowym", wiedziałem, że Jarosław Kaczyński będzie czekał na moment, w którym się na mnie zemści. W tym sensie od prawie półtora roku miałem świadomość, że współpraca PiS z Porozumieniem dobiega końca. Byłem na tyle skuteczny, że powróciłem do rządu i przez 10 miesięcy kierowałem polską gospodarką, jak widać po wynikach, z niezłymi rezultatami. W tym czasie trwały zakulisowe działania zmierzające do wypchnięcia Porozumienia z rządu. Nie mogłem zaakceptować działań szkodliwych dla Polski. Udało mi się zablokować „wybory kopertowe" i zawetowanie nowego budżetu unijnego. Zablokowałem podatek medialny. Sprzeciwiłem się drastycznej podwyżce podatków i ustawie określanej jako „lex TVN". Wygląda na to, że również w tych ostatnich sprawach sprzeciw Porozumienia będzie przynajmniej częściowo skuteczny.

Chce pan budować formację w rycie europejskiej chadecji. Czy dla takiego projektu jest w ogóle miejsce na polskiej scenie politycznej zdominowanej od lat przez duopol PiS-PO?

Jestem przekonany, że w Polsce jest miejsce na partię centroprawicową, która będzie konsekwentnie progospodarcza, prosamorządowa i proeuropejska.

Na ile szacuje pan społeczne poparcie dla takiego projektu politycznego? Z kim chce go pan budować?

Realnie patrząc na scenę polityczną, na której po powrocie Donalda Tuska rzeczywiście odtworzył się duopol PiS-PO, umiarkowana prawica może osiągnąć w wyborach wynik kilkunastoprocentowy. A to będzie oznaczało, że nie da się bez tej formacji rządzić. Co do tego, kto będzie współtworzył taką formację, to naturalnymi partnerami oprócz Porozumienia są Koalicja Polska z jej trzonem, czyli Polskim Stronnictwem Ludowym, i konserwatywnie nastawiona część samorządowców. Zobaczymy, w którą stronę pójdzie ewolucja Polski 2050 Szymona Hołowni. Dziś widać, że część wyborców umiarkowanej prawicy pokłada ciągle nadzieję w tej inicjatywie politycznej. Czy jednak Szymon Hołownia dołączy do takiego lekko wychylonego w prawo centrum, czy też podąży raczej w inną stronę, to pytanie, które dziś jest bez odpowiedzi.

A PSL ze swoją „obrotowością" i uwikłaniami jeszcze rodem z PRL i patologii transformacji jest partnerem, z którym można inwestować w taki centroprawicowy projekt?

Dzisiejsze PSL nie ma nic wspólnego z PRL. Pod kierunkiem Władysława Kosiniaka-Kamysza PSL od kilku lat konsekwentnie przeobraża się w partię ludową w sensie europejskim.

eprasa.pl 491d86afd3

Ale przecież Kosiniak-Kamysz angażował się w poczynania totalnej opozycji, atakując rząd, który pan współtworzył, dosłownie za wszystko…

Nie zgadzam się z panem. Będąc przez blisko sześć lat członkiem rządu, zarówno jako minister nauki, jak i minister gospodarki zawsze znajdowałem w PSL partnera do dyskusji. Wiele moich projektów było przez Koalicję Polską popieranych. Z całą pewnością to, co nazywane jest totalną opozycją, cokolwiek by się pod tym określeniem kryło, nie oddaje sposobu uprawiania polityki przez Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Czy perspektywa przedterminowych wyborów jest realna? Pytam o to m.in. w kontekście kryzysu migracyjnego na granicy z Białorusią, który wyraźnie sprzyja PiS, windując jego notowania w ostatnich sondażach.

Kryzys migracyjny niewątpliwie wzmacnia poparcie dla PiS z dwóch powodów. Po pierwsze, jest to partia konsekwentnie antyimigrancka w dobrym tego słowa znaczeniu. Pod tym względem Porozumienie popiera stanowisko rządu. Uważamy, że nie można dopuścić do tego, żeby granica polsko-białoruska stała się jednym z kanałów przerzutowych imigrantów z Bliskiego Wschodu. Z drugiej strony to poparcie dla PiS rośnie dlatego, że w warunkach poczucia zagrożenia, jakie tworzy kryzys migracyjny, obywatele w naturalny sposób skupiają się wokół rządu. Pytanie natomiast, jak na poparcie dla PiS wpływać będzie coraz bardziej skomplikowana sytuacja gospodarcza. Co prawda, tempo wzrostu gospodarczego jest wysokie, ale też rekordowo wysoka jest inflacja. Drożyzna przyspieszy zdecydowanie po wprowadzeniu podatkowych rozwiązań Polskiego Ładu. Przedsiębiorcy, którzy z dnia na dzień będą musieli płacić o parędziesiąt procent wyższe podatki, albo będą bankrutować, albo przerzucą znaczącą część tych kosztów na klientów. W dodatku Jarosław Kaczyński ma pełną wiedzę, że w 2023 r. Komisja Europejska nie pozwoli już państwom członkowskim na dalsze rozluźnianie reguły wydatkowej, co wymusi dotkliwe cięcia budżetowe. To może tworzyć nastroje zniechęcenia i pretensji do rządzących, zwłaszcza za drożyznę. Uważam, że Jarosław Kaczyński bardzo poważnie bierze pod uwagę wybory wiosenne, choć oczywiście decyzja jeszcze nie zapadła.

Z punktu widzenia pańskich planów politycznych przedterminowe wybory są korzystne czy wolałby pan „kupić czas", żeby projekt, który chce pan tworzyć, mocniej wpisał się w świadomość społeczną?

To dla mnie sprawa drugorzędna. Porozumienie jest gotowe do wyborów przedterminowych.

Jako wicepremier nadzorujący gospodarkę opowiadał się pan za praktykami segregacyjnymi, czyli preferencjami dla zaszczepionych i ograniczeniami dla tych, którzy nie przyjęli szczepionki. Podtrzymuje pan to stanowisko?

Określenie „praktyki segregacyjne" kojarzy się…

… bardzo źle…

… tak, kojarzy się jak najgorzej. Patrzę na to od innej strony. Myślę o wolności zaszczepionej części społeczeństwa do normalnego funkcjonowania. A to normalne funkcjonowanie zagrożone jest przez kolejne fale COVID-19. W ogromnej mierze mogą one wyniknąć z tego, że spora część Polaków się nie zaszczepiła. Biorąc pod uwagę interes polskich przedsiębiorców oraz interes polskich dzieci i młodzieży, jej prawo do swobodnego dostępu do szkół i uczelni, podtrzymuję pogląd, że o ile osoby zaszczepione powinny cieszyć się pełną wolnością, o tyle osoby, które się nie zaszczepią i nie mają aktualnych testów potwierdzających, że nie są nosicielami wirusa, muszą się liczyć z pewnymi ograniczeniami. Takie osoby niekoniecznie muszą korzystać z restauracji, chodzić do kina czy na stadion piłkarski.

Czy ten nadmierny sanitaryzm nie zabije nie tylko wolności indywidualnej, lecz także wolności gospodarczej? Tak zwane paszporty covidove wprowadzono po to, żeby ułatwić obywatelom Unii podróżowanie i umożliwić bezpieczne wakacje. Teraz stały się one instrumentem realnej segregacji. Wielu ludzi nie chce przyjąć szczepionki, powołując się na wzgląd sumienia. Chodzi o współpracę jej producentów z przemysłem aborcyjnym.

Argument sumienia może dotyczyć tylko niektórych typów szczepionek. Jeżeli ktoś nie chce skorzystać ze szczepionki Johnson & Johnson, to może skorzystać z innej szczepionki. Przypadki ponownego zarażania się przez osoby zaszczepione są sporadyczne, a ciężki przebieg choroby w odniesieniu do takich osób jest wręcz śladowy. Dlatego podtrzymuję pogląd, że ktoś, kto nie chce się szczepić, musi liczyć się z konsekwencjami, czyli ograniczeniami związanymi z obecnością w przestrzeni publicznej.

Doświadczenia takich krajów jak m.in. Francja czy Australia pokazują, że te ograniczenia idą znacznie dalej. Dotyczą wielu innych swobód, np. wolności osobistej, wolności słowa…

Podaje pan skrajne przykłady. Na pewno w Polsce ograniczenia nie osiągną nigdy takich rozmiarów. Czym innym jest wolność głoszenia poglądów. Głęboko nie zgadzam się z poglądami antyszczepionkowców, ale nie odmawiam im praw do ich głoszenia. Czymś innym jest ochrona realnej wolności osób dobrowolnie zaszczepionych. W życiu publicznym często mamy do czynienia z kolizją rożnych wartości, kolizją różnych rodzajów wolności. Akurat w tej sprawie w 100 proc. zgadzam się z Jarosławem Kaczyńskim, który podkreśla, że to właśnie osoby odmawiające zaszczepienia się stanowią zagrożenia dla wolności.

Jaką Polskę chce budować Jarosław Gowin?

Chcę budować Polskę, która będzie krajem zdecydowanie wolnorynkowym, o niskich podatkach. Krajem o silnej prywatnej własności. Równocześnie krajem przywiązanym do tradycyjnych polskich wartości. Polskę, w której państwo będzie odpowiadać konstytucyjnemu modelowi państwa pomocniczego. Polskę, która będzie państwem zdecydowanym, silnym w tych obszarach, w których potrzebujemy obecności państwa – takich jak wojsko, policja, straż graniczna czy dyplomacja. Ale także państwem ograniczonym, pozostawiającym jak największą przestrzeń wolności dla jednostek, rodzin, samorządów, stowarzyszeń.

Uważam też, że potrzebujemy partnerskiego resetu – podkreślam partnerskiego! – z naszymi najważniejszymi partnerami na arenie międzynarodowej. Ci partnerzy to Berlin, Bruksela i Waszyngton. Jako konserwatysta nie mogę zgodzić się na działania prowadzące do samoizolacji Polski. Będziemy krajem bezpiecznym wtedy, kiedy będziemy dużo inwestować w polską armię. Tu przyklaskuję działaniom rządów PiS przez ostatnie sześć lat. Ale równocześnie polskie bezpieczeństwo wymaga opierania się na strategicznych sojuszach, a te niewątpliwie zostały w ciągu ostatnich sześciu lat osłabione.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

NAGRODY W KATEGORIACH:

STRAŻNIK PAMIĘCI

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

ZAPRASZAMY
DO ZGŁASZANIA KANDYDATÓW
STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

PZU

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Grupa Inwest

HM Inwest S.A.

eprasa.pl 491d86afd3

Piotr Semka

Szymon Hołownia nadal uwielbia słuchać głównie siebie. I nadal jego przekaz przypomina zachowanie wodzireja, który prowadzi spotkanie motywacyjne dla pracowników dużego koncernu

Jaśminowa demokracja

eprasa.pl 491d86afd3

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Szymona Hołownię mogły niepokoić ostatnie sondaże, w których jego ruch Polska 2050 w ostatnich dwóch miesiącach systematycznie tracił. Jaskółką nadziei jest jednak ostatni sondaż firmy Research Partner. Respondenci pytani byli, na kogo oddaliby głos, gdyby wybory odbyły się 12 września. 17,9 proc. ankietowanych poparło ruch Hołowni. Co prawda, Polskę 2050 wyprzedziły Zjednoczona Prawica i Koalicja Obywatelska (22 proc. wskazań), ale pokazuje to wyraźnie, że stawianie krzyżyka na byłym gwiazdorze TVN jest stanowczo przedwczesne. Owszem, kongres jego ruchu 5 września nie wypadł oszałamiająco, ale też można przypuszczać, że racjonalny do bólu Hołownia pogodził się z tym, iż nie będzie liderem opozycji. Jego ruch jednak wyraźnie ma swój elektorat, który składa się z ludzi zachwyconych jego osobą i dość infantylną formułą „ruchu innego niż wszystkie inne". Można przyjąć, że Hołownia ma szanse na utrzymanie ok. 9–10 proc. segmentu na politycznym rynku. Podsumowując ten okres, w którym Hołownia musiał sprostać konkurencji ze strony Donalda Tuska, warto zwrócić uwagę na cechy jego propozycji politycznej.

1. KONIEC Z DOKTRYNĄ „SIŁY POZA SPOREM PO–PIS"

Na kongresie 5 września Hołownia zaprezentował antypisizm niewiele słabszy od niedawnych tyrad lidera Platformy Obywatelskiej. Siebie i swój ruch zdefiniował jako imperium jasności, a PiS jako imperium ciemności. Zapowiedział ściganie wszystkich domniemanych naruszeń prawa wokół powołania Trybunału Konstytucyjnego. Ze swadą żonglował wszystkimi negatywnymi stereotypami wytworzonymi przez opozycję w ciągu ostatnich lat. Wypominał rządzącym, że jest „rok 2021, a nie 1921". Zarzekał się, że w odróżnieniu od PiS jego ruch nie czyni swoim symbolem piły ścinającej drzewa. Zapowiedział komisję, która sprawdzi nieprawidłowości przy obsadzie spółek Skarbu Państwa, i przeciwstawiał swój ruch PiS-owi jako partii wodzowskiej.

Hołownia starał się puszczać oko, że choć nie we wszystkim podoba mu się Platforma, to do Tuska żadnych aluzji personalnych nie formułował, w odróżnieniu od ciągłych aluzji do „Nowogrodzkiej". Jedno rzucone zdanie: „Nie ma powrotu do tego, co było" to niezwykle blade polemizowanie z partią liberałów. Ten koniec z doktryną „siły poza sporem" pokazuje, że Hołownia prędzej czy później dołączy do rydwanu Tuska. Na razie walczy, aby rozmawiać z liderem Platformy z jak najsilniejszej pozycji.

2. DEMAGOGIA, DEMAGOGIA I JESZCZE RAZ DEMAGOGIA

Zestaw postulatów przedstawionych na kongresie ruchu Polska 2050 musi budzić pewne zdziwienie. Szymon Hołownia powraca do pojawiającej się już opowieści politycznej o zwracaniu pieniędzy pacjentom za koszty ewentualnej prywatnej wizyty u lekarza w razie niemożności konsultacji u lekarza z Narodowego Funduszu Zdrowia. Poważni ekonomiści wiele razy wyszydzali takie przykłady hojnych obietnic, wskazując, że żaden budżet tego nie wytrzyma. Równie dziwaczne było definiowanie przez Hołownię walki z mobbingiem jako głównego programu społecznego, z którym zmierzy się jego partia. Z kolei postulat, aby 16-latkowie uzyskali prawo głosu, to typowy przykład podlizywania się elektoratowi młodzieżowemu.

Hołownia dość cynicznie odczytuje trendy silne na europejskiej lewicy, widząc w nastolatkach idealny elektorat zdobywany poprzez media społecznościowe od TikToka do Facebooka.

Jest to zresztą logiczne. Skoro lewicowa popkultura lansuje prymat przyjemności i zabawy nad wymogami dojrzałości i wytrwałości, to siłą rzeczy ten, który oferuje nieustający „fun", jest na wygranej pozycji. Może z czasem Hołownia wysunie kolejny postulat – obdarzenia prawami wyborczymi imigrantów.

Swoistym potwierdzeniem tej na zimno wykalkulowanej infantylizacji polityki były zdecydowane tyrady Hołowni na temat potrzeby przyjęcia wszystkich imigrantów wysyłanych przez Łukaszenkę z Białorusi. Jednocześnie na ostatnim kongresie Polski 2050 nie zaszczycił swoich słuchaczy jakąkolwiek receptą na to, jak Polska ma reagować na agresję ze strony wschodniego sąsiada. Jak się okazuje, w momentach prawdziwego kryzysu Hołownia – mówiąc kolokwialnie – głupieje. Świat okazuje się inny niż ten z jego złotoustych monologów.

3. NIETRANSPARENTNOŚĆ POD SZTANDARAMI JAWNOŚCI

Miał być wielki hit w postaci supergościa kongresu, który odmieni oblicze polskiej polityki. Z perspektywy czasu widać, jak groteskowe było budowanie napięcia przez byłego gwiazdora TVN

eprasa.pl 491d86afd3

w celu przyciągnięcia uwagi do tajemniczej postaci, która miała objawić się na spotkaniu w Warszawie. Tajemniczym „gościem" okazała się bowiem aplikacja Jaśmina, która ma rzekomo decydować o wyborze priorytetów politycznych Polski 2050 wskutek głosowania przez członków stowarzyszenia. Jeden z internautów zjadliwie pisał: „Jaśmina, apka polityczna Szymona Hołowni, to po prostu obrandowana polska apka »Meeting application«. Odniesienia widać w wielu miejscach. Nie ma w tym nic złego, a nawet spora to oszczędność, ale… wygląda na to, że projekt łamie licencję Apache (bo są ślady kodu Jitsi Meet)".

O tym, jak bardzo taka apka jest mało miarodajna, świadczy prosty fakt. Nikt z tysięcy członków stowarzyszenia Polska 2050 nie został poinformowany, jak będą weryfikowane wyniki takiego głosowania. Przecież Hołownia może sobie wziąć do ręki taką listę postulatów, za którymi stoją szarzy członkowie jego ruchu, i wybrać sobie to, co zechce, niezależnie od liczby oddanych głosów. A członkowie ruchu, których typy akurat wybrano, zachwyceni tym, że spełniono właśnie ich postulat, będą wysławiać taką „cudowną" aplikację.

Przypomina to o innej cesze ruchu Hołowni. Nie są znane żadne audyty pozwalające w niezależny sposób stwierdzić, na co idą pieniądze wysyłane przez fanów „żółtego" ruchu. Nikt nie wie, ile z tych pieniędzy idzie na kongresy, ile na publikacje, ile na ewentualne apanaże dla funkcyjnych ruchu, a nie wiadomo też, z jakiej puli pieniędzy korzysta sam Hołownia na swoje marynarki, podróże po Polsce i pobyty w hotelach. Cudowne dziecko z Białegostoku korzysta z tego, że sporą część, o ile nie większość, jego zwolenników stanowią ludzie kierujący się emocjami, swoimi marzeniami o jakimś idealnym ruchu politycznym przy jednoczesnym braku nawyku żądania wewnętrznej przejrzystości przy podejmowaniu politycznych decyzji i podziale pieniędzy.

4. WIECZNY ONE MAN SHOW

Szymon Hołownia nadal uwielbia słuchać głównie siebie. I nadal jego przekaz przypomina zachowanie wodzireja, który prowadzi spotkanie motywacyjne dla pracowników dużego koncernu. Gdy oglądałem jego dosyć długi występ, przypomniał mi się kongres założycielski Wiosny Roberta Biedronia. Nawet niektóre grepsy były dosyć podobne. W lutym 2019 r. Biedroń schlebiał publiczności, wołając: „Gdybym wiedział, że będzie was tu tylu, zamówilibyśmy Stadion Narodowy". W wypadku Hołowni było podobnie. Były gwiazdor TVN zarzekał się, że na sali jest tylko tysiąc osób i wszyscy się nie zmieścili. Jak wyjaśniał, trzeba było z tego powodu przeprowadzić selekcję wśród osób, które zgłosiły chęć udziału w spotkaniu. Hołownia nie wytłumaczył jednocześnie, dlaczego nie można było wynająć większej sali niż widownia kina Palladium w Warszawie. Te ciągłe wstawki typu: „Jeszcze wam się nie znudziło moje wystąpienie?" czy zachwycanie się tym, jaka fantastyczna jest sala, pokazują faktycznie, jak lider Polski 2050 nisko ocenia poziom swoich wyznawców.

Hołownia zadeklarował niedawno, że nie chce startować ze wspólnej listy z Koalicją Obywatelską, ale do wyborów jeszcze dwa lata

Dodatkowo w oczy rzucał się brak wyrazistszych postaci drugiego planu. Jeżeli za speca od elektronicznej modernizacji Polski „robił" drugoszeregowy poseł Michał Gramatyka, to znaczy, że Hołownia nie ma większych sukcesów w przyciąganiu znanych nazwisk. Tacy posłowie jak Hanna Gill-Piątek czy prof. Wojciech Maksymowicz to nie są nazwiska, które mówią coś przeciętnemu Polakowi. Pozostaje więc Hołownia jako postać znana i pamiętana z TVN i to będzie na pewien czas główne paliwo propagandowe jego ruchu.

5. KOMPLEKS KOŚCIELNY

„Niech zstąpi Duch Twój i odmieni oblicze ziemi, tej ziemi" – tymi słowami przed kongresem Hołownia tajemniczo zapowiadał wspomnianego tu wcześniej supergościa, którym okazała się być banalna apka telefoniczna. Czytając ten dosyć tandetny chwyt podgrzewania atmosfery ciekawości wokół kongresu Polski 2050, zastanawiałem się, jak lekceważący trzeba mieć stosunek do postaci papieża Polaka, by decydować się na takie porównanie. Tak samo lekceważąco brzmiała tyrada Hołowni na spotkaniu 5 września, że dzieci w polskich szkołach nie powinny być zmuszane do czytania jako lektur „książek kardynałów", a zamiast tego powinny w rozszerzony sposób uczyć się angielskiego. Jedynym autorem „kardynałem" na liście lektur szkolnych jest prymas Stefan Wyszyński. Ileż pogardy dla tradycji polskiego Kościoła musi mieć człowiek, który przeciwstawia sobie naukę języka Szekspira i poznanie postaci, która odegrała gigantyczną rolę w historii Polski! Hołownia solennie zadeklarował, że zostanie zlikwidowany Fundusz Kościelny i zastąpić go ma odpis od deklaracji podatkowych dla poszczególnych Kościołów. Jako człowiek chełpiący się tym, że pochodzi z Podlasia, Hołownia powinien wiedzieć też, że likwidacji Funduszu Kościelnego najbardziej obawiają się m.in. prawosławni, bo jako religia mniejszościowa mają obawy, że same odpisy podatkowe nie wystarczą do finansowania ich związku wyznaniowego. Takie same obawy żywią Kościoły protestanckie w Polsce. Jeśli dodać do tego lekceważące wypowiedzi o biskupach katolickich i episkopacie Polski, to warto zadać sobie istotne pytanie: Czy poprzednie 20 lat życia Hołowni, w których prezentował się jako głęboko wierzący katolik, były tylko starannie wypracowaną kreacją?

6. JAKOŚ TO BĘDZIE

Hołownia ciągle korzysta z parasola liberalnych mediów rozpostartego nad sobą. Media niespecjalnie interesują się tym, jak działa jego maszyneria polityczna. Dopiero niedawno jedno z mediów pokusiło się o zbadanie jego całkiem pokaźnego majątku. Tak naprawdę jedynym znanym publicystą, który punktuje Hołownię, jest Tomasz Lis. Wykpiwa on banalność wypowiedzi lidera Polski 2050, a w wypadku postulatu prawa głosu dla 16-latków naczelny „Newsweeka" zjadliwie pytał, dlaczego Hołownia chce dyskryminować w dostępie do urn wyborczych 14- i 15-latków.

Jednak to chyba jedyne przytyki z obozu antypisu. Donald Tusk wypowiada się na temat Hołowni w bardzo oględny sposób. Sam Hołownia zadeklarował, co prawda niedawno, że nie chce startować ze wspólnej listy z Koalicją Obywatelską, ale do wyborów jeszcze dwa lata. Nie wątpię, że Hołownia będzie w tym czasie walczył o najsilniejszą swoją pozycję, aby później w obozie opozycji wynegocjować jak najlepsze warunki dla siebie. Bo tej umiejętności w całym jego życiu nie sposób było mu odmówić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VI EDYCJA NAGRODY

JUŻ W GRUDNIU

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENASI:

Enea

PGNiG

eprasa.pl 491d86afd3

Uczestnicy panelu „Europejski Zielony Ład – szansa czy wyzwanie"

Zielona transformacja z użyciem gazu

Powinniśmy zabiegać o to, aby po drodze do neutralności klimatycznej nie było przegranych, ale aby byli sami wygrani – apelował podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu wiceprezes PGNiG. Robert Perkowski przekonywał, że sposobem na szybką redukcję emisji dwutlenku węgla w Polsce jest transformacja energetyczna przy użyciu gazu

Na XXX Forum Ekonomiczne do Karpacza przyjechało w zeszłym tygodniu ok. 3 tys. polityków, biznesmenów, ekspertów, naukowców i dziennikarzy. Chociaż w tymczasowej gospodarczej stolicy Polski zorganizowano w sumie ok. 400 różnego rodzaju paneli, to bez wątpienia jednymi z najważniejszych tematów w Karpaczu były energetyka, ochrona klimatu, transformacja energetyczna oraz unijny program „Fit for 55".

Europejski Zielony Ład budził szczególne zainteresowanie. Jest to bowiem pakiet legislacyjny, który zapowiada redukcję emisji gazów cieplarnianych o 55 proc. wobec roku 1990 i dojście do poziomu zero netto do roku 2050.

GOTOWI NA SZYBKĄ REDUKCJĘ

Na panelu dotyczącym Europejskiego Zielonego Ładu, który odbył się pierwszego dnia Forum Ekonomicznego,

eprasa.pl 491d86afd3

Robert Perkowski, wiceprezes ds. operacyjnych PGNiG, zauważył, że chociaż ochrona klimatu jest niezwykle ważna, to do tego samego celu można dojść różnymi drogami.

Jego zdaniem bardzo ryzykowne byłoby dzisiaj stwierdzenie, że całą energię wytwarzaną w naszym kraju należałoby oprzeć na energii pozyskiwanej ze słońca czy z wiatru. Perkowski zwrócił w tym kontekście uwagę na to, że w debacie publicznej o transformacji energetycznej większość osób skupia się wyłącznie na energii elektrycznej, zapominając o energii grzewczej.

– Myśląc o zastąpieniu paliw kopalnych, trzeba pamiętać o tym, że mówimy nie tylko o energii elektrycznej, lecz także o zastąpieniu ich wszędzie tam, gdzie paliwo kopalne dawało nam ciepło np. do ogrzewania domu, a tej energii używamy przecież ogromną ilość – stwierdził wiceprezes PGNiG, tłumacząc, że ten fakt sprawia, iż zarówno w krótkim, jak i nawet w średnim okresie OZE nie mogą w Polsce całkowicie zastąpić paliw kopalnych.

Perkowski zachęcał więc do stosowania zasady solidaryzmu społecznego. – Nie jesteśmy Niemcami, gdzie technologia farm fotowoltaicznych jest wprowadzana od lat 90. XX w. Nie jesteśmy Francją, która wytwarza duże ilości energii w elektrowniach atomowych. Nie jesteśmy też Hiszpanią, Portugalią czy Grecją, gdzie jest po prostu ciepło i nie trzeba ogrzewać domów i gdzie ze względu choćby na dużo większą liczbę dni słonecznych panują o wiele lepsze warunki do wytwarzania energii ze źródeł odnawialnych – przekonywał wiceprezes PGNiG.

Europosłanka Anna Zalewska zauważyła, że choć Polska i Szwecja są na różnych krańcach miksu europejskiego, to Szwecja tej zimy poprosiła Polskę o energię z energetyki węglowej, bo ich energia odnawialna stanęła.

– Jeżeli chcemy rozmawiać o solidarności i współodpowiedzialności, to musimy być uczciwi w stosunku do każdego kraju członkowskiego. Nie może być tak, że na szczycie w grudniu 2020 r. kraje członkowskie na coś się umawiają, po czym Parlament Europejski i Komisja Europejska w różnego rodzaju rozporządzenia ucieka od tych ustaleń i próbuje wywracać je do góry nogami – zauważyła Anna Zalewska, podkreślając, że takie podejście unijnych elit może sprawić, iż obywatele nie będą chcieli brać udziału w transformacji energetycznej.

– Powinniśmy zabiegać o to, aby po drodze do neutralności klimatycznej nie było przegranych, ale aby byli sami wygrani. Trzeba pamiętać, że startujemy z różnych pozycji i w poszczególnych krajach Unii Europejskiej mamy zupełnie inne miksy energetyczne. My w bardzo krótkim okresie musimy więc znaleźć sposób na zastąpienie węgla – apelował Robert Perkowski. – Wydaje się, że konkretnie w naszym przypadku sposobem na szybką redukcję emisji dwutlenku węgla, a także innych gazów cieplarnianych jest transformacja z użyciem gazu ziemnego – podkreślił wiceprezes PGNiG, zwracając uwagę na to, że ten gaz ziemny też będzie się zmieniał i w średnim okresie nie będzie już tylko gazem ziemnym, ale np. biometanem lub mieszaniną wodoru z innymi gazami. – Gaz tak naprawdę emituje o połowę dwutlenku węgla mniej w porównaniu z węglem, a dodatkowo nie emituje pyłów zawieszonych – przypominał wiceprezes PGNiG.

Jednocześnie zauważył, że Polska posiada już nowoczesną i rozbudowywaną od dziesięcioleci infrastrukturę przesyłową do dostarczania gazu, przez co przejście na gaz w pierwszym okresie transformacji energetycznej w Polsce nie byłoby problemem. Przypomniał również ważne inwestycje z ostatnich lat, które ułatwiają dostarczanie tego surowca, w tym rozbudowywany terminal LNG w Świnoujściu oraz nowy korytarz dostaw gazu Baltic Pipe, który umożliwi transport błękitnego paliwa z Norwegii do Polski. Perkowski zauważył także, że konwersja mniejszych i średnich ciepłowni oraz elektrociepłowni z węgla na gaz mogłaby być niemal w całości oparta na kompetencjach krajowych, co błyskawicznie pozwoliłoby uzyskać dużą redukcję emisji.

Tymczasem Polska infrastruktura nie jest jeszcze gotowa na przesyłanie dodatkowych terawatów energii.

GDY NIE ŚWIECI I NIE WIEJE

– Pakiet „Fit for 55" jest nakazem, zakazem, podatkiem i ceną dla obywatela – ostrzegała podczas panelu poświęconemu wpływowi Europejskiego Zielonego Ładu na życie zwykłych Europejczyków Anna Zalewska, europosłanka do Parlamentu Europejskiego. Jednocześnie przekonywała, że kraje europejskie dużo szybciej poradzą sobie z dwutlenkiem węgla, kiedy poważnie porozmawiamy o pochłaniaczach dwutlenku węgla, nie tylko tych naturalnych.

– Rzeczywiście mam wrażenie, że społeczeństwo nie jest świadome tego, na jak dużą część ich życia i ogromną ilość codziennych czynności będzie miał wpływ ten pakiet legislacyjny. Również sama Unia, a nawet kraje, które są liderami transformacji energetycznej, nie są do końca konsekwentne. Mówi się przecież publicznie o porzuceniu paliw kopalnych, a z drugiej strony obserwujemy wielką presję w sprawie budowy gigantycznego gazociągu Nord Stream 2, który przecież nie będzie przesyłał tlenu, ale będzie transportował gaz ziemny – zauważył Robert Perkowski, dodając, że w największych państwach Unii Europejskiej: w Hiszpanii, we Francji czy w Niemczech, projektowana jest cała masa elektrowni opalanych gazem.

– Europejski Zielony Ład to zmiana paradygmatu myślenia. Staramy się skłonić społeczeństwo do przemyślenia pewnych rzeczy i rezygnacji z pewnych rzeczy dla ratowania klimatu – przekonywała podczas panelu Joanna Maria Stolarek, dyrektor Fundacji im. Heinricha Boella w Warszawie, podkreślając, że kolejne kataklizmy i klęski żywiołowe pokazują, iż nie mamy już czasu do stracenia. – Czy naprawdę musimy lecieć do Tajlandii? – pytała Joanna Maria Stolarek, zachęcając do wzmożenia działań na rzecz edukacji proekologicznej.

– Musimy zdać sobie w Polsce sprawę z tego, że jesteśmy społeczeństwem uzależnionym od dostaw energii. Nie możemy sobie pozwolić na to, że będzie prąd tylko wtedy, kiedy będzie wiało lub kiedy będzie świeciło. Zwłaszcza zimą bez energii w kraju będziemy bowiem na przegranej pozycji – ostrzegał wiceprezes PGNiG, zauważając, że bez energii zapanowałby chaos, mielibyśmy problemy z transportem publicznym, z logistyką, a nawet z ratowaniem życia pacjentów w szpitalach. – Dlatego ten pakiet transformacji klimatycznej musi uwzględniać nasz punkt wyjścia i nasze realne możliwości. Reformę tę powinno się wprowadzać tak, aby każde państwo miało możliwość osiągnąć jak największą redukcję dwutlenku węgla w jak najszybszym czasie, ale po swojemu – podkreślił Perkowski.

eprasa.pl 491d86afd3

FOT. ADOBE STOCK

Powtórka szkolnego koszmaru

Łukasz Zboralski

Minister edukacji i nauki zapewniał, że szkołom lockdown nie grozi i nie będzie segregacji dzieci. Tymczasem już od drugiego tygodnia nauki uczniowie lądują na zdalnym nauczaniu i są już przypadki wypychania ze szkół tylko tych niezaszczepionych

Po roku spędzonym w domowych zamknięciach, godzinach wysiedzianych przed ekranami uczniowie mieli wrócić do normalności. Eksperci wygłosili setki opinii o tym, jak szkodliwe było tak długie pozbawienie ich kontaktów rówieśniczych, ile stracili wiedzy i umiejętności. Politycy zapowiadali, że tego już im nie powtórzą.

Niestety, ledwo ruszył rok szkolny, a uczniowie już zaczynają opuszczać szkolne mury. Nie wolno im przychodzić, gdy u kogoś z kolegów lub pracowników szkoły zostanie wykryty koronawirus.

PEŁZAJĄCY LOCKDOWN

Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek przed rozpoczęciem roku szkolnego przekonywał, że w najbliższym czasie zamykania szkół się nie spodziewa. Twierdził też, że nie grozi nam w tym roku ogólny lockdown. Zaznaczał, że możliwe będą – w zależności od skali zakażeń – zamknięcia tylko w tych powiatach, gdzie najmniej ludzi zaszczepiło się na koronawirusa.

I choć rzeczywiście nie ma ogólnopolskiego zamknięcia, to jednak już widać, że mamy do czynienia po prostu z pełzającym lockdownem. W drugim tygodniu nauki codziennie przybywało informacji o kolejnych klasach wysyłanych na zdalne nauczanie czy o zamykaniu całych szkół.

Przykłady? Już 3 września blisko 900 uczniów Zespołu Szkół Ekonomicznych w Radomiu zostało odesłanych na zdalne nauczanie po tym, jak zarażony okazał się jeden z pracowników szkoły.

W Grudziądzu na zdalne nauczanie trafiło pięć klas Szkoły Podstawowej nr 21 oraz trzy klasy Szkoły Podstawowej nr 3. Bo uczył je ten sam nauczyciel, a wykryto u niego zarażenie koronawirusem.

W Bydgoszczy szkołę musiały opuścić pojedyncze klasy z Międzynarodowej Szkoły Podstawowej Sokrates oraz Szkoły Podstawowej nr 60.

W Lublinie na zdalnym nauczaniu były trzy klasy XIX Liceum Ogólnokształcącego im. Marii i Jerzego Kuncewiczów.

Do domów odsyłane są także młodsze dzieci. Na kwarantannę skierowano np. grupę maluchów z Zespołu Przedszkoli nr 2 w Świdniku.

A przecież to się dopiero rozkręca. Co będzie w kolejnych tygodniach roku szkolnego? – Nawet nie chcę o tym myśleć – mówi „Do Rzeczy" Ilona, nauczycielka z Warszawy. – Zdalne nauczanie to koszmar dla dzieci, ale i dla nas, nauczycieli. Tak trudno jest pracować. Już przecież dobrze to wiemy po ostatnim roku.

POSEGREGOWANI W LUBLINIE

O wysyłaniu dzieci do domów decydują lokalne oddziały sanepidu. To tam – zgodnie z prawem – dyrektorzy szkół muszą zgłaszać zarażenia. Ta instytucja decyduje o zawieszeniu zajęć i o tym, czy do domów trafi jedna klasa czy więcej (zależy to np. od tego, ile klas miało kontakt z zakażonym nauczycielem).

W województwie lubelskim poszło to już o krok za daleko, bo w Zespole Szkół Budowlanych i Ogólnokształcących w Biłgoraju po wykryciu zakażenia u jed-

eprasa.pl 491d86afd3

nego z uczniów zaszczepieni uczniowie dalej chodzili normalnie do szkoły, a ich niezaszczepieni koledzy zostali odesłani do domów, gdzie mogli oglądać transmisję z lekcji.

– Taka sugestia była ze strony sanepidu – mówi „Do Rzeczy" Teresa Misiuk, lubelska kurator oświaty. – My właśnie komunikujemy się z dyrektorami szkół z takim przekazem, by na zdalną edukację kierowano cały oddział bądź grupę uczniów, bez dzielenia na szczepionych i nieszczepionych. Nie chcemy takiej „segregacji" uczniów, bo ona jest niepotrzebna. Mam nadzieję, że to było zdarzenie jednostkowe – zaznacza.

PYTANIE: PO CO?

Można mieć obawy, że wielu polskich uczniów w tym roku przesiedzi sporo czasu przed komputerami w domach. Trzeba więc zadać to pytanie: W jakim celu?

Dane medyczne mówią jasno, że dzieci łagodnie przechodzą koronawirusa, bardzo rzadko zdarzają się ciężkie przebiegi. Wszyscy nauczyciele w kraju byli szczepieni jako jedna z pierwszych grup zawodowych i jeśli tylko chcieli, to są już zabezpieczeni. Ba, wszyscy dorośli Polacy, jeśli obawiali się choroby, także dawno już mogli za darmo otrzymać szczepienie (i wciąż mogą, punkty szczepień dojeżdżają już nawet pod ich domy w niewielkich miejscowościach).

Skoro więc ten, kto chciał się zabezpieczyć, mógł to zrobić, to dlaczego zamykamy szkoły przed dziećmi? Dlaczego boimy się „roznoszenia" wirusa w społeczeństwie w sytuacji, w której każdy już mógł zdecydować, czy ograniczyć własne ryzyko?

Jedyną odpowiedzą na to może być fakt, że rządzącym brak odwagi. Taką odwagę mają np. Niemcy, którzy w części landów pierwsze dwa tygodnie roku szkolnego obłożyli obowiązkowym testowaniem dzieci i pracowników szkół. W razie wykrycia zakażenia na kwarantannę wysyłani są np. jedynie uczniowie siedzący obok chorego w ławce, a nie całe klasy.

Minister zdrowia Andrzej Niedzielski podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu przyznał, że Polska też rozważa wprowadzenie szybkich testów w szkołach. Na razie jednak uczniom mają wystarczyć „zasady higieny". Jakie? Głównie wietrzenie sal. – Bo według naszego rozeznania, według badań, z którymi mieliśmy do czynienia, to są elementy o wiele bardziej skutecznie zapobiegające prawdopodobieństwu zakażenia niż nawet dezynfekcja rąk czy inne tego typu zabiegi – powiedział Niedzielski.

Minister wyraził też nadzieję, że standardy, które ministerstwo opracowało i przekazało do szkół, są tam wdrażane. – Dystans społeczny w szkole? To wielka fikcja – relacjonuje nam Magdalena, uczennica jednej ze szkół średnich w powiecie piaseczyńskim. – Maseczki? No, niby taki jest wymóg, ale prawie nikt nie nosi. A na korytarzach taki jest tłok, że się o siebie ocieramy. To jak ja mam zachować dystans? – pyta.

Gdy rząd nakazuje wietrzyć klasy i zachęca do szczepień – a te mogą przyjąć i tak tylko starsze dzieci, od 12. roku życia – oraz rozważa testowanie w placówkach, młodzi ludzie po raz kolejny przeżywają nienormalny okres w życiu. Niektórzy z nich tkwić będą w domach już prawie przez połowę całego czasu, który mieli spędzić w średnich szkołach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

OBIEKT BEZPIECZNY HIGIENICZNIE

POBYTY: Po COVID-19, Zdrowy Kręgosłup, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 25 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Pobyty: 12.09 - 26.09 oraz 26.09 - 24.10.2021r.

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 491d86afd3

Zdjęcie z Marszu dla Życia i Rodziny w 2020 r. FOT. M. ŁAWNICZAK/CENTRUM ŻYCIA I RODZINY

Paweł Ozdoba FOT. CENTRUM ŻYCIA I RODZINY

Ojciec powinien być wzorem

19 września na placu Zamkowym w Warszawie rozpocznie się Narodowy Marsz Życia i Rodziny. – W tym roku będziemy maszerować pod hasłem „Tato – bądź, prowadź, chroń". Chcemy w szczególny sposób skupić się na roli ojca w wymiarze rodzinnym, ale również społecznym – mówi Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny

Narodowy Marsz Życia i Rodziny odbywa się już po raz 16. Jak wyglądały początki inicjatywy, którą organizuje środowisko związane z Centrum Życia i Rodziny?

Tak, już za kilka dni będziemy uczestniczyć w 16. edycji Marszu dla Życia i Rodziny, który w związku z trwającymi wciąż obostrzeniami oraz beatyfikacją kard. Stefana Wyszyńskiego w tym roku staje się Narodowym Marszem Życia i Rodziny. Od początku inicjatywa cieszyła się dużym zainteresowaniem i konsolidowała obrońców życia oraz rodziny z całej Polski. Można powiedzieć, że jednoczyła nas na wielu poziomach i budowała wyjątkową wspólnotę. Zaczynaliśmy, organizując Marsz dla Życia i Rodziny tylko w stolicy. Dziś warszawski Marsz jest swego rodzaju zwieńczeniem prac wszystkich obrońców życia w Polsce, ponieważ nasz ruch cały czas się rozwija. W całym kraju „maszerujemy" w ponad 140 miastach i miejscowościach. Koordynatorem tych wszystkich prorodzinnych inicjatyw jest fundacja Centrum Życia i Rodziny.

Jak narodził się ten pomysł?

W pewnym stopniu nasze środowisko wzorowało się na Marszach dla Życia organizowanych w Stanach Zjednoczonych. Ta idea manifestowania swoich poglądów pro-life i publicznego wzmacniania „rodziny" oraz obrony wartości chrześcijańskich zakorzeniła się także w naszym kraju. Obserwując przemiany społeczne, szybko postępującą na Zachodzie laicyzację i tzw. rewolucję kulturową, nie mieliśmy złudzeń. Wiedzieliśmy, że w Polsce obrońcy życia i rodziny muszą dać o sobie znać i być gotowi na publiczne świadectwo. Chcieliśmy również stać się skutecznym

eprasa.pl 491d86afd3

ambasadorem polskich rodzin, a także tych najmłodszych i najbardziej bezbronnych – dzieci, którym niektórzy chcą odbierać fundamentalne prawo, jakim jest prawo do życia. Dziś można powiedzieć, że minione 15 lat tradycji Marszów dla Życia i Rodziny przyniosło dobre efekty.

To znaczy? Co się udało?

Wiele dobra zadziało się dzięki działalności obrońców życia w całym kraju. Według statystyk i badań naukowych każdego roku stopniowo zwiększało się przekonanie Polaków o tym, że każde życie jest cenne, ważne i niezwykłe. Każde dziecko ma prawo do życia, niezależnie od etapu rozwoju, w którym się znajduje. Przez wiele lat, biorąc udział w Marszach, naciskaliśmy na polityków, domagając się zwiększenia ochrony prawnej życia. Myślę, że ubiegłoroczna decyzja Trybunału Konstytucyjnego, która de facto zakazała wykonywania aborcji eugenicznej, to m.in. równie sukces wszystkich obrońców życia, którzy przez minione 15 lat brali udział w Marszach dla Życia i Rodziny i dawali publiczne świadectwo.

Środowiska pro-life stały się skutecznym narzędziem nacisku na polityków.

Każdy obywatel ma prawo przekonywać polityków, a nawet naciskać ich do zajęcia określonego stanowiska w różnych sprawach. My jako organizatorzy i uczestnicy Marszów dla Życia i Rodziny domagamy się szczególnej troski i wsparcia dla instytucji rodziny i małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. Radykalna promocja postulatów środowisk LGBT, a także agresywne protesty feministek spod znaku „czerwonego pioruna" pokazują, że trzeba wymagać od polityków utrzymania i zwiększenia ochrony prawnej życia, a także afirmowania wartości prorodzinnych i pro-life. To właśnie staramy się realizować.

Hasło tegorocznego Narodowego Marszu Życia i Rodziny nawiązuje do roli ojca jako głowy rodziny. Dlaczego?

W tym roku będziemy maszerować pod hasłem „Tato – bądź, prowadź, chroń". Podczas Marszu chcemy w szczególny sposób skupić się na roli ojca w wymiarze rodzinnym, ale również społecznym. Chcemy podkreślić wagę ojcostwa. Nawiązujemy również do naszej kampanii społecznej „Dzień Ojca na nowo!", w której apelujemy do marszałek Sejmu o ustanowienie obchodów Dnia Ojca na 19 marca – na uroczystość św. Józefa. W tym momencie naszą inicjatywę poparło blisko 35 tys. osób, a zbiórka podpisów wciąż trwa w całej Polsce oraz na stronie internetowej www.dzienojca.pl. Tam można poprzeć akcję specjalną petycją. Wszystkie podpisy trafią jesienią do Sejmu. Kampanię wspierają znani dziennikarze, naukowcy, sportowcy oraz aktorzy. Otrzymaliśmy również błogosławieństwo od wielu polskich biskupów. Hasło tegorocznego Marszu w pewnym sensie koresponduje również z beatyfikacją kard. Stefana Wyszyńskiego, który przecież był nazywany Ojcem Narodu. Chcemy, aby podczas tegorocznego Marszu wybrzmiało również dziękczynienie za jego posługę i kształtowanie pokoleń Polaków.

Jak piszecie na stronie internetowej, powołując się na badania CBOS, aż 30 proc. młodych Polaków w trudnych chwilach nie może liczyć na własnego ojca. Co więcej, jedynie 15 proc. przedstawicieli młodego pokolenia chętnie rozmawia z ojcem.

To prawda. I dlatego hasłem „Tato – bądź, prowadź, chroń" chcemy przypomnieć, jak ważną postacią w rodzinie jest ojciec, który powinien być odpowiedzialnym, kochającym i mądrym mężczyzną. Powinien być opiekunem, mężczyzną na miarę XXI w., przeciwstawiającym się wszechogarniającym nas ideologiom uderzającym w fundamenty naszej cywilizacji. Powinien być również podporą, wsparciem dla młodego pokolenia, dla dzieci i nastolatków wchodzących w dorosłość. Powinien być wzorem do naśladowania.

Czy to hasło jest po trosze odpowiedzią na Strajki Kobiet?

Nasze hasło faktycznie jest w pewnym sensie odpowiedzią na agresywne, a z pewnością bardzo głośne, radykalne zachowania środowisk feministycznych, które obserwowaliśmy w ostatnich miesiącach. To hasło jest też odpowiedzią na potrzeby chwili. Badania naukowe wskazują, że główną przyczyną podejmowania decyzji o aborcji jest ucieczka czy wycofanie się z odpowiedzialności mężczyzny – ojca dziecka. Jeśli kobieta w tej sytuacji znajduje oparcie w mężczyźnie, to w wielu przypadkach myśl o aborcji zanika. A zatem hasło tegorocznego Narodowego Marszu Życia i Rodziny ma wiele wymiarów. Jednocześnie wybierając to hasło, oddajemy dziś głos mężczyznom, odpowiedzialnym mężom i ojcom, którzy chcą dać świadectwo swojego przywiązania do chrześcijańskich wartości, którzy chcą dzielić się swoją radością z bycia głową rodziny.

Czy wśród uczestników tegorocznego Narodowego Marszu Życia i Rodziny pojawią się wyjątkowi goście?

W każdym Marszu biorą udział niezwykłe osobistości. Mam tu na myśli wszystkich uczestników. Są niezwykli, ponieważ nie wstydzą się publicznie wyrażać wsparcia dla postulatów pro-life, a także bronią instytucji „rodziny" i „małżeństwa" przed zakusami środowisk promujących postulaty LGBT i innych, kontestujących prawo naturalne. Oczywiście w naszych wydarzeniach biorą udział również osoby znane z mediów. W ubiegłym roku w Marszu organizowanym przez Centrum Życia i Rodziny uczestniczył prezydent Andrzej Duda. W zgromadzeniu biorą udział również znani dziennikarze, sportowcy, działacze społeczni, naukowcy, a także konserwatywni politycy. Dziękujemy wszystkim za zaangażowanie. Mogę zdradzić, że w tym roku – podobnie jak w ubiegłym – maszerował będzie z nami również ks. Dominik Chmielewski, który po Marszu odprawi dla uczestników Mszę Świętą i wygłosi konferencję.

W ubiegłym roku pandemia pokrzyżowała plany organizatorom wszystkich imprez. Jak będzie w tym roku?

W tym roku udało się zorganizować kilkanaście Marszów Życia i Rodziny w całej Polsce, m.in. w Kielcach, Jarosławiu, Rzeszowie, Włocławku czy Gorzowie Wielkopolskim. Miały miejsce również inne, mniejsze inicjatywy związane z Marszami – np. spotkania modlitewne. Mam nadzieję, że powoli zaczniemy wracać do normalności i za rok pobijemy dotychczasowy rekord, tzn. wspólnie z lokalnymi liderami zorganizujemy Marsze w ponad 140 miastach w Polsce.

Gdzie można dowiedzieć się więcej o państwa działalności i Narodowym Marszu Życia i Rodziny?

Przypomnę, że widzimy się 19 września o godz. 11.30 na placu Zamkowym w Warszawie, ale wszystkie szczegóły na temat wydarzenia znajdą państwo na naszej stronie Centrum Życia i Rodziny www.czir.org oraz portalu informacyjnym www.marsz.info. Zachęcam również do śledzenia naszych kanałów w mediach społecznościowych. Spotkajmy się na wspólnym świętowaniu. Brońmy życia i rodziny!

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 491d86afd3

Piotr Gociek

Uroczy łobuz

Od antytezy gwiazdy, przez króla rozrywki, do symbolu kina francuskiego – to była niezwykła podróż najpopularniejszego aktora znad Sekwany

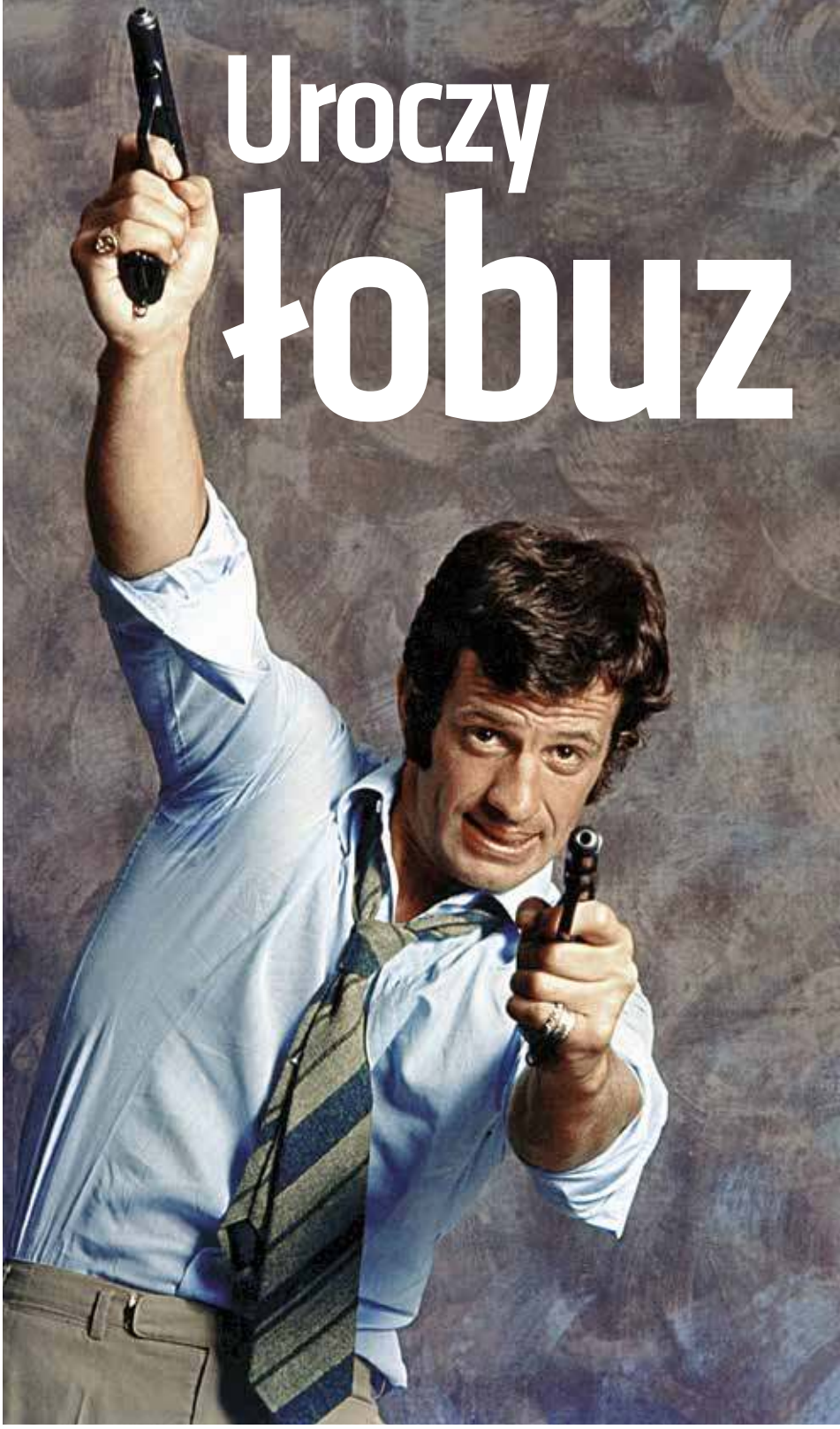

FOT. COCINOR/COLLECTION CHRISTOPHEL/EAST NEWS

Mój apetyt na różne losy był tak żywy, a spektrum żywotów, które wydawały mi się warte przeżycia, tak szerokie, że zdarzało mi się również wcielać się w złoczyńców, łajdaków" – wyznawał filozof Bernard-Henri Lévy w książkowej dyskusji z pisarzem Michelem Houellebekiem („Wrogowie publiczni"). Jako ulubiony łajdak wskazany był „Jean-Paul Belmondo, ginący w ostatniej scenie cudownego »Do utraty tchu«, filmu, który w nie mniejszym stopniu niż »Kondycja ludzka« lub »Fenomenologia ducha« przyczynił się do tego, iż stałem się takim człowiekiem, jakim jestem". Symbol nowych czasów – filozof inspirujący się kinową rozrywką, w dodatku dziełem, jakkolwiek by patrzeć, kontrkultury, który każe nam kibicować człowiekowi, który z zimną krwią zabił policjanta.

Zmarły kilka dni temu Jean-Paul Belmondo był aktorem, który swą reputację zbudował w owych burzliwych i przynoszących nowe trendy w kinie czasach. Uważni dostrzegli wcześniej jego rólkę w filmie „Oszuści" (1958, reż. Marcel Carné), w owym czasie pojawiał się już na ekranie u boku Alaina Delone'a, Bourvile'a, Romy Schneider, zdążył nawet zagrać D'Artagnana w telewizyjnej wersji „Trzech muszkieterów" (1959), ale już przechwytywał go późniejszy idol nowej fali, Jean-Luc Godard. „Do utraty tchu" staje się przebojem we Francji i sensacją na innych rynkach, także anglojęzycznych. A Belmondo zostaje uznany za jedną z twarzy francuskiej kinematografii. Nie boi się wyzwań i ryzyka. Oto rok 1960 i pojawia się w filmie „Moderato Cantabile", drugim dziele znakomitego reżysera uznawanego za odnowiciela współczesnego teatru angielskiego, czyli Petera Brooka. Belmondo gra wraz z Jeanne Moreau (nagrodzoną za tę rolę w Cannes). Artystyczny, kameralny film przynosi kreację zupełnie odmienną od późniejszego emploi francuskiego aktora: jest kruchy, lękliwy, nieszczęśliwy. Czasy uroczego łobuza dopiero nadejdą.

„MOJA WYMIĘTA GĘBA"

Lata 60. to złoty czas dla Belmondo. Wszędzie go pełno, szansę na sławę wykorzystuje perfekcyjnie. Kiedy trzeba, jest amantem, kiedy trzeba – twardzielem. Przyjmuje propozycje zagraniczne: w dwóch filmach włoskich gra wraz z Sophią Loren i Claudią Cardinale. Pamięta o ojcu swej popularności, Godardzie. Znów połączą siły w filmach „Kobieta jest kobietą" (1962) czy „Szalonym Piotrusiu" (1965).

Na liście reżyserów, którzy są zafascynowani Belmondo, pojawiają się kolejne znakomite nazwiska: Jean-Pierre Melville,

eprasa.pl 491d86afd3

Henri Verneuil, Louis Malle, François Truffaut. Ten ostatni mówi o Belmondo, że potrafiłby zagrać każdego i wszystko, nawet stół czy krzesło. „Moja wymięta gęba" (jak mawiał o swej twarzy sam aktor) staje się wręcz emblematem Francji. Bardzo szybko stał się Belmondo wielką gwiazdą europejskiej rozrywki, chyba gwiazdą największą. Niesłychanie popularny w krajach bloku sowieckiego, dokąd filmy francuskie trafiały dużo częściej i łatwiej niż wraża rozrywka z Hollywood (tak było i w Polsce). Ta popularność przetrwała upadek Związku Sowieckiego, o czym świadczy m.in. pełna zachwytów biografia Belmondo napisana i wydana w Rosji kilkanaście lat temu. Alexandr Braginskij dał swej książce tytuł „Jean-Paul Belmondo: Zawodowiec". Dla włoskiego krytyka i reżysera Maria Cortesiego uwodzicielski Belmondo był równie wielkim europejskim hitem eksportowym jak James Bond.

Sam Belmondo, co ciekawe, miał gust raczej plebejski, cieszyły go powieści kryminalne, czytał zapamiętale komiksy o Tintinie, był wielkim kibicem sportu i zdarzyło mu się kilka razy przyznać, że woli kino rozrywkowe od artystycznego. Tytuły takie jak „Człowiek z Rio", „Człowiek z Hongkongu", „Cartouche-zbójca", „Ksiądz Leon Morin", „Szpicel" budowały jego popularność i uniwersalność, bo swobodnie poruszał się w komedii, kryminale, awanturniczym kinie historycznym, filmach obyczajowych.

Po dekadzie wzlotu przyszła kolej na dekadę konsumowania sukcesu – od 1971 r. był już nie tylko człowiekiem do wynajęcia, lecz także właścicielem własnego przedsiębiorstwa Cerito Films. Rozciągnął ten okres aż do połowy lat 80., zarabiając krocie, pielęgnując swą legendę, budując (właściwie umacniając) pozycję, występując w filmach tyleż kasowych, co coraz mniej istotnych.

Nie było mnie na świecie, kiedy Belmondo u Jeana-Luca Godarda stawał się twarzą francuskiej Nowej Fali. Na gangsterskie dramaty z lat 70. byłem za mały, ale pamiętam, że jego twarz patrzyła na mnie z fotosów wiszących przed kinami i z filmowych plakatów. „Glina czy łajdak" – ten tytuł utkwił mi w głowie najbardziej, choć sam film obejrzeć miałem dopiero po latach.

Nie musiałem jednak oglądać filmów, by wiedzieć, że Jean-Paul Belmondo to wielka gwiazda. Przekonywały mnie o tym okładki ukazujących się w PRL czasopism filmowych, wycinki zbierane w albumach za młodu przez mamę i jej koleżanki. A kiedyś w kiosku Ruchu wypatrzyłem nawet lusterko z Belmondo. Owe lusterka to zapomniane dziś gadżety PRL, przedmioty rozmiaru karty do gry: po jednej stronie zwierciadełko, po drugiej czarno-biały wizerunek znanego aktora albo aktorki.

Belmondo, co ciekawe, miał gust raczej plebejski. Cieszyły go powieści kryminalne, czytał zapamiętale komiksy o Tintinie

Poznawałem więc dopiero po latach dorobek popularnego Francuza, za to w sposób luksusowy, przeglądając na kasetach VHS czy płytach DVD te filmy, o których wiedziałem, że powinienem. Mniej ważne, ale popularne, powtarzano czasem w telewizji. Czy ktoś dał radę obejrzeć wszystkie? Zapewne nieliczni. Co ważne, należąc już do kolejnego pokolenia kinomanów, okazałem się na urok Belmondo równie podatny jak generacja moich rodziców: błyskawicznie odkryłem, że jest to aktor obdarzony niezwykłą charyzmą, ktoś, kogo nie sposób nie lubić, choć zdarzały mu się role dwuznaczne. Rację miał słynny Francuz, kiedy narzekał, że w Hollywood role, które mógłby zagrać, i tak trafiają do Steve'a McQueena (z tego między innymi powodu tam się nie wybierał). Owszem, Belmondo miał ten właśnie typ charyzmy, tę star quality, której próżno dziś szukać w świecie kina. Co do porównań – zaraz po „Do utraty tchu" porównywano go z Humphreyem Bogartem i Jamesem Deanem. Dzielnie walczył przez pół wieku, aby zasłużyć na własne etykietki, ale gdy zmarł, nawet francuska prasa powtarzała zgrane slogany: nasz Bogart, nasz Dean.

PO PROSTU BELMONDO

Belmondo, piękny brzydal, był jednak po prostu Belmondo, wielkim odkryciem, wielką gwiazdą, wielką figurą, wielkim człowiekiem instytucją, aż wreszcie wielką legendą kina francuskiego. Jednym z tych nielicznych aktorów, których twarze widzimy natychmiast w głowie, gdy tylko padnie nazwisko, choć niekiedy miewamy problem z dopasowaniem tych twarzy do konkretnych filmów. Prawdziwe gwiazdy kina są bowiem nawet od sumy swoich filmów większe. Wydano dwie przekrojowe polskie edycje DVD filmów z Belmondo. Jedna zawierała filmy „Cartouche-zbójca", „Wspaniały", „Stavisky…", „Strach nad miastem", „Ciało mojego wroga", „As nad asy" i „Skok". Druga to „Spadkobierca", „Dubler", „Obrońca", „Zawodowiec", „Raptus", „Łowca" i „W imię przyjaźni". Zatem głównie efektowna konfekcja, popularne filmy w większości z lat 70. i początku 80. Aby jednak zaznajomić się z pełną skalą talentu Belmondo, trzeba szukać dalej, na własną rękę. Bez wątpienia wspomniane filmy kręcone z Godardem i Brookiem, na pewno doskonałe kryminały: „Borsalino" (gdzie grali z Alainem Delonem, nie pierwszy zresztą raz), „Szpicel" (jedno z najlepszych dzieł Melville'a). „Mózg" to moja ulubiona komedia z Belmondo (partnerują mu Bourvil i David Niven). A jeśli chodzi o późne dokonania, to nie tylko „Glina i łajdak", lecz przede wszystkim „Zawodowiec", przy którym bledną rozmaite współczesne filmy zemsty.

Nie hollywoodzkiego gwiazdorstwa, lecz przebicia się przez zimną skorupę zawodowstwa, „w najgorszym przypadku – emocjonalnego striptizu, w najlepszym – objawienia" – tego od aktorów młodej generacji oczekiwali reżyserzy nowego kina europejskiego, taką tezę stawiała w swojej historii kina lat 1945–1963 Penelope Houston. I dopowiadała: „Chętnych wspólników znaleźli w takich postaciach jak Jeanne Moreau i Monica Vitti, jak Jean-Paul Belmondo i Marcello Mastroianni". Belmondo kwalifikował się do kategorii „objawienie", ale – jak zauważał Jerzy Płażewski w „Historii filmu francuskiego" – szybko przestał być nowofalową antytezą gwiazdy, a stał się gwiazdorem w starym stylu. „Przerzucił się do brawurowych, specjalnie dla niego napisanych ról mocnego człowieka z pokerową twarzą, cynicznego ryzykanta o wszechstronnych danych fizycznych, aktywnie wdzierającego się w życie innych i dającego się nieraz porwać do czynów szlachetnych, nie dla triumfu sprawiedliwości jednak, ale dla zaspokojenia swego kaprysu".

Doskonale zaspokajał nasze kaprysy, kaprysy publiki, przez niemal pół wieku. „Na przygodę nigdy nie jest się za starym. Ten, kto nie ma na nią ochoty, jest trupem za życia" – mówił w jednym z wywiadów. Dzięki, Jean-Paul, za wszystkie przygody.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Kwestia ceny

★★★★☆
REŻ. KWANG IL HAN
„WIEDŹMIN: ZMORA WILKA" („THE WITCHER: NIGHTMARE OF THE WOLF")
KOREA POŁUDNIOWA/ USA 2021

Twórcy animowanego filmu „Zmora wilka" poradzili sobie lepiej od twórców serialu Netflixa z uchwyceniem najważniejszych cech opowiadań Sapkowskiego. Zapomnijmy na chwilę o skomplikowanej powieściowej sadze, wróćmy do korzeni: były to barwne historie o zabójcy potworów do wynajęcia, z gorzkimi wątkami politycznymi, odrobiną Weltschmerzu oraz dodatkiem romansu z pięknymi czarodziejkami.

W „Zmorze wilka" zamiast białowłosego Geralta z Rivii mamy jego późniejszego mentora, Vesemira. Bezczelny, łasy na złoto i kobiece wdzięki, próżny, zabójczo skuteczny – rzec by można, że to lepszy wiedźmin niż Geralt, jeśli założymy, że główną cechą mutantów ma być profesjonalizm, a nie skłonność do moralnych rozterek. Vesemir odbierze jednak srogą lekcję życia, lekcję, która poprowadzi go ku przemianie w postać, jaką znamy z książek: osobnika opiekuńczego i nieco świętoszkowatego. Po drodze czeka go wiele traumatycznych przeżyć, poczynając od konfrontacji z potworami, które – jak to u Sapkowskiego – czasem budzą lęk i odrazę, ale częściej współczucie. Pojawi się rozgrywająca własną grę czarodziejka, będą polityczne machlojki, elfy oraz – i tu warto nadstawić uszu – bardzo ponura intryga dotykająca samych wiedźminów i ich roli w świecie. Wszystko jest kwestią ceny, uważa Vesemir, ale na koniec będzie musiał się zastanowić, czy każdą cenę warto płacić.

Za animację odpowiada studio z Korei Południowej, jednym ze współproducentów był nasz Tomek Bagiński, spiritus movens serialu Netflixa, scenariusz też wyszedł spod pióra jednego z serialowych autorów, a całość nadzorowała producentka hitu Netflixa, Lauren Schmidt Hissrich. Film jest krwawy, zabawny i mroczny – dokładnie taki, jakie powinny być ekranizacje wiedźmińskich opowieści. A czego przecież w serialu trochę zabrakło, bo jego twórcy przygnieceni byli koniecznością rozstawiania figur zapowiadających skomplikowane rozgrywki całej pięciotomowej sagi.

Jednocześnie twórcy produkcji animowanej zapowiadają, że „Zmora wilka" nie służy jeno czczej rozrywce i kolejnemu spieniężeniu popularnej franczyzy. Zalecają, byśmy koreański prequel traktowali jako poważne rozszerzenie uniwersum „Wiedźmina" i zwrócili uwagę na zapowiedziane teraz wątki. Trzeba się do tego przyzwyczaić. Globalna popkultura porwała Geralta na dobre i będzie z nim teraz robić, co tylko zechce. ©℗

NOWE SERIALE: „SCENY Z ŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO"

Remake dzieła Ingmara Bergmana z 1973 r. Był to sześcioodcinkowy serial szwedzkiej telewizji, potem eksportowany w formie trzygodzinnego filmu kinowego. Ze względów proceduralnych film nie został dopuszczony do walki o Oscary, ale nagrodzono go Złotym Globem w kategorii najlepszej produkcji zagranicznej. Role główne w oryginale zagrali Liv Ullmann i Erland Josephson. W nowej wersji Jessica Chastain i Oscar Isaac. Za reżyserię odpowiada izraelski producent i scenarzysta Hagai Levi, twórca m.in. serialu „Terapia", który doczekał się licznych wersji zagranicznych. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***reż. Hagai Levi „Sceny z życia małżeńskiego", USA 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *„sezon 2* ***„The Morning Show"****, USA 2021* tv+

• *sezon 1* ***„Dr. Death"****, USA 2021* CANAL+

• *reż. David Charhon* ***„Ostatni najemnik" („Le dernier mercenaire")****, Francja 2021*

eprasa.pl 491d86afd3

Dzieci patrzą

KINO

Kto powiedział, że oglądanie filmów ma być przyjemnością? Na pewno nie bracia D'Innocenzo. Akcja „Złych baśni" rozgrywa się na peryferiach Rzymu. Perfidny narrator snuje „prawdziwą historię zainspirowaną przez zmyśloną". Lektura dziecięcego pamiętnika, znalezionego na śmietniku, rozbudziła jego wyobraźnię do tego stopnia, że postanowił zapiski uzupełnić. Jeśli zastanawialiście się kiedyś, dlaczego z przemiłych skrzatów wyrastają paskudni ludzie, to „Złe baśnie" udzielają częściowej odpowiedzi na to pytanie. Dorośli bohaterowie tego filmu nie są źli, tylko przerażająco głupi. Umysłowe deficyty i wynikającą z nich bezradność maskują pozerstwem (fryzura na „detektywa" Rutkowskiego) tudzież agresją. „Powinniście się cieszyć, że macie takich rodziców jak my" – przekonują potomków. A oni się jakoś nie cieszą. Mają oczy i uszy, wyciągają wnioski. Posłusznie zjedzą resztki z restauracji przeznaczone dla psa. Dadzą sobie obciąć włosy. Obejrzą pornograficzne fotki przechowywane w telefonie komórkowym. Na koniec zaś zbuntują się lub – co gorsza – staną lustrzanym odbiciem mamusi i tatusia. Łatwo powiedzieć, że patologia nie powinna się rozmnażać. Trudniej rozpoznać potwora w osobie irytującego sąsiada lub rubasznego krewniaka. Socjopaci żyją wśród nas, a może nawet w nas. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. DAMIANO I FABIO D'INNOCENZO
„ZŁE BAŚNIE" („FAVOLACCE")
WŁOCHY/SZWAJCARIA 2020

wyst. Elio Germano, Ileana Ambra, Max Malatesta

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MIŁOŚĆ I KONSPIRA

YouTube

Równo 80 lat temu marszałek Piłsudski zaszczycił swą obecnością premierę „Dziesięciu z Pawiaka". Mógł wrócić pamięcią do czasów, gdy jego podwładni z Organizacji Bojowej PPS ochraniali pierwszomajowe demonstracje i rzucali bombami w Moskali. Twórcy próbowali odtworzyć realia roku 1906. Ulicami Warszawy mkną dorożki i tramwaje konne. „Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę" – śpiewa tłum patriotów. Tajemniczy „Jur" spędza zaborcom sen z powiek. Film Ordyńskiego to osobliwa hybryda historycznej rekonstrukcji, melodramatu, komedii tudzież hollywoodzkiego akcyjniaka. O względy fircykowatego Janusza, bojowca świeżej daty, rywalizują partyjna towarzyszka i kochanka rosyjskiego generała. Na tle roznamiętnionych pań konspiratorzy wypadli blado, co gorsza – aktorsko pobił ich na głowę Bogusław Samborski w roli jowialnego brutala Maksymowa. Marszałek, wychodząc z kina, chyba nie był zadowolony.

★★★☆☆☆

REŻ. RYSZARD ORDYŃSKI
„DZIESIĘCIU Z PAWIAKA"
POLSKA 1931

wyst. Adam Brodzisz, Józef Węgrzyn, Karolina Lubieńska

AUTOPORTRET ZE SKAZĄ

HBO GO

Laurka dla miłośnika cygar i reżysera „Lotu nad kukułczym gniazdem", sporządzona przez rodaków. Dziewięć lat przed śmiercią Miloš Forman, syty sławy i zaszczytów, przybywa nad Wełtawę, by wystawić operę, a przy okazji trochę powspominać (ale bez rozczulania się nad sobą). „To były dziwne czasy, do dziś mnie zdumiewa, co ludzie potrafią sobie nawzajem zrobić" – kwituje los rodziców aresztowanych przez gestapo. Przed kamerą odgrywa spektakl pojednania z czeską rodziną (na emigracji sprawił sobie nową) oraz sypie anegdotami jak z rękawa. Autorzy dokumentu dociekliwi nie są, mamy więc do czynienia ze swobodną autokreacją. Czy Forman faktycznie od początku dostrzegał absurdalność komunizmu tudzież mód panujących po zachodniej stronie żelaznej kurtyny? W snuciu opowieści o niezrealizowanych projektach, rzekomych porażkach oraz idiotach mających się za krytyków filmowych był mistrzem. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

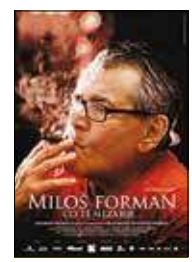

★★★☆☆☆

REŻ. MIROSLAV ŠMÍDMAJER
„MILOŠ FORMAN: CO CIĘ NIE ZABIJE..." („MILOŠ FORMAN: CO TE NEZABIJE...")
CZECHY 2009

GRA TYGODNIA: „NO MORE HEROES III"

★★★★☆☆

Japońska gra, ekskluzywna dla przenośnej japońskiej konsoli... I już wiadomo, że można spodziewać się zwariowanych pomysłów i nieszablonowych koncepcji. Nie brakuje tu ciekawych rozwiązań, fabuła jest pokręcona jak należy i uzupełniona o specyficzne, czasem nie do końca i nie dla wszystkich zrozumiałe poczucie humoru. Fanów serii przekonywać nie trzeba, gracze, którym odpowiada fantazja japońskich deweloperów, także powinni się nieźle bawić, ale zdecydowanie nie jest to gra dla każdego. Do tego nie zawsze działa płynnie, choć przy grafice rodem sprzed generacji lub dwóch moglibyśmy tego oczekiwać. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Akcja, TPP*
- ***Platforma:*** *NS*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Grasshopper Manufacture, ConQuest Entertainment a.s.*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 491d86afd3

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Michel Houellebecq: kapłan i błazen

Jaki będzie świat po pandemii? Czy czegoś uczy nas COVID-19? Michel Houellebecq, jeden z najoryginalniejszych, ale i nierzadko najprzenikliwszych pisarzy współczesnych, twierdzi, że „po zakończeniu kwarantanny nie obudzimy się w nowym świecie, lecz w takim samym, tylko trochę gorszym". I trudno się z nim nie zgodzić, gdy choć chwilę pomyślimy o tym, że ofiary złowieszczego wirusa stały się dla nas wyłącznie elementem codziennej statystyki zgonów. I chyba nigdy dotąd nie zaakceptowano, przy milczącym przyzwoleniu tzw. opinii społecznej, „z tak spokojnym bezwstydem" – jak pisze autor „Możliwości wyspy" – że życie nasze nie jest w równym stopniu tak samo wartościowe i że „od pewnego wieku (70, 75, 80 lat?) właściwie już jesteśmy martwi".

Od podobnych twierdzeń, mocno zakłócających błogi sen, w którym tkwimy, żywiąc się niczym nieuzasadnionymi nadziejami na lepsze jutro (bo przecież świat idzie ku lepszemu, nieprawdaż?), roi się w wydanym właśnie zbiorze ok. 40 tekstów twórcy „Cząstek elementarnych" – „Interwencje 2020". Są tu eseje, felietony, wywiady, po części już znane (z tomu „Interwencje 2"), w części dotąd niepublikowane. Jak zwykle u Houellebecqa traktują o seksie i religii, polityce i kulturze, filozofii, feminizmie i ekologii, o tym, co widzi za oknem, i tym, co dzieje się daleko, np. po drugiej stronie oceanu.

O współczesnej Ameryce traktuje właśnie jeden z jego najbardziej błyskotliwych artykułów, pomieszczonych w „Harper's Magazine" w trakcie przedwyborczej gorączki w USA, a zatytułowanych przekornie „Donald Trump jest dobrym prezydentem". Przekornie, bo już

FOT. REX/EAST NEWS

na początku, Houellebecq nazywa Trumpa „żałosnym pajacem", by następnie – krok po kroku – dowodzić, że to właśnie ten prezydent „jest jednym z najlepszych, jacy przytrafili się Ameryce". I to nie tylko dlatego, że nie lubi Unii Europejskiej. Bo kto rozsądny ją lubi? „Europa – wywodzi francuski pisarz – nigdy nie będzie stanowić jednego narodu, a tym bardziej wsparcia dla ewentualnej demokracji (zobacz etymologię tego terminu), zwłaszcza dlatego, że nie chce stanowić jednego narodu. Unia Europejska nie została wymyślona po to, żeby być demokracją; jej cel był dokładnie odwrotny. Była to idea szkodliwa, w najlepszym razie głupia, która stopniowo przekształciła się w zły sen, z którego kiedyś się obudzimy. Victor Hugo, chwilami niezły poeta, często był górnolotny i zwyczajnie głupi, czego dobrym przykładem jest jego marzenie o »Stanach Zjednoczonych Europy«. Muszę przyznać, że krytykowanie Victora Hugo zawsze poprawia mi nastrój".

Mnie osobiście czytanie Houellebecqa nastroju nie poprawia, wręcz przeciwnie. Trudno mi bowiem przejść do porządku dziennego na przykład nad jego konstatacją, że Polacy, Węgrzy i Czesi nie pamiętają już, że żyli w krajach komunistycznych, a w związku z tym nasze spojrzenie na europejskie wyzwania nie różni się od tego, które dominuje w Europie Zachodniej. Nie mam złudzeń, że nasz piękny naród durnieje, a społeczny alzheimer szerzy się w błyskawicznym tempie, jednak śpiewając sławną „Odę do radości", fałszujemy inaczej niż Niemcy, a nawet inaczej niż Francuzi. Chwała Bogu i za to.

Houellebecq o sprawach boskich wypowiada się może ze zbytnią pewnością siebie, zważywszy na to, że od lat deklaruje swój a to ateizm, a to agnostycyzm, ale jego uwagi odnośnie do funkcjonowania Kościoła katolickiego są trafne. Kościół przepraszający, że istnieje, stosujący wybiórczy ekumenizm, odwracający się od swoich prawosławnych braci w wierze, sprawiający wrażenie, że akceptuje nie tylko świeckie państwa, lecz także ateistyczne społeczeństwo, jest skazany na porażkę, jeśli nie na klęskę.

Autor „Interwencji 2020", jak zwykle, bez owijania w bawełnę mówi o sprawach trudnych, drażliwych, pomijanych milczeniem, trywializowanych lub bagatelizowanych. Wyjść z sytuacji, które przedstawia w jeszcze czarniejszych barwach, niż są naprawdę czarne, nie proponuje, bo ich – zwyczajnie – nie zna. Niewątpliwie pogarsza nasze samopoczucie, choć – z drugiej strony – tych, którzy uspokajają nas, że jakoś to będzie, mamy serdecznie dosyć. Dla higieny psychicznej warto więc przynajmniej poznać poglądy faceta, który ma odwagę mówić to, o czym większość z nas boi się nawet pomyśleć. A że przy tym śmieszy, tumani i przestrasza, to cóż – jak ktoś kiedyś niegłupio zauważył – kapłan ma w sobie coś z błazna. ©℗

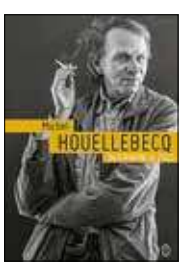

★★★★★★

MICHEL HOUELLEBECQ „INTERWENCJE 2020"
WYDAWNICTWO LITERACKIE, KRAKÓW 2021

eprasa.pl 491d86afd3

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

W klatce

Polskie drogi, polskie losy: ona jest córką komisarza polskiej policji, który został zamordowany w Katyniu, ale po latach zostanie posłanką z listy SLD. On miał ojca w szeregach żołnierzy odpierających bolszewików podczas Bitwy Warszawskiej, wyróżnionego Virtuti Militari, a w 1989 r. bezskutecznie starał się o fotel senatora z list PZPR. Pomiędzy tymi wydarzeniami – kariera w PRL.

Hanna i Antoni Gucwińscy – nierozerwalnie kojarzeni z historią wrocławskiego zoo, a przez starszych także z popularnym programem telewizyjnym „Z kamerą wśród zwierząt". Dyżurni eksperci od spraw zwierząt występujący w rozmaitych mediach, pod koniec kariery wrogowie publiczni numer jeden. Bo jej zarzucano, że szarogęsiła się w ogrodzie zoologicznym jak caryca, a jemu – że znęcał się nad tatrzańskim misiem trzymanym w zbyt małej jamie. Ta ostatnia kwestia była przedmiotem głośnej i ciągnącej się latami sprawy sądowej. Ostatecznie, po dwóch procesach (była między nimi kasacja w SN), Antoniego Gucwińskiego uznano za winnego, ale odstąpiono od wymierzania kary. Szkoda, że równie skrupulatnie nie przyglądano się sprawie kotów przygarnianych przez Gucwińskich – zwierzęta zniknęły w tajemniczych okolicznościach, gdy tylko władztwo nad wrocławskim ogrodem przejęli ich następcy. A chodzi o ponad 150 zwierzaków.

Polityka, historia, ambicje, pycha – opowieść Marka Górlikowskiego dotyka wszystkich tych kwestii. Niektóre zamieniają się w pouczające anegdoty: Czy wiedzieli Państwo, że Schetyna i inni politycy dawnego KLD do dziś nie zapłacili za wypożyczenie wielbłądów na potrzeby kampanii wyborczej? A obiecywali złote góry. Inne kwestie nabrały wagi po latach: historia zarzutów wobec Gucwińskich to opowieść o tym, jak łatwo obsesje zielonych terrorystów udających obrońców zwierząt czy ekologów prowadzić mogą do publicznej infamii.

W centrum tej historii pozostaje pytanie o to, jak wyglądać powinny relacje między ludźmi a zwierzętami. Ochoczo podpowiada się nam skrajności: jedni chcą traktować zwierzęta jedynie jako surowiec, inni snują bajędy o tym, że nawet ryby mają duszę. Gdzie naprawdę leży granica? Dzieje i nasz stosunek do ogrodów zoologicznych pomagają znaleźć odpowiedź, która przecież zmienia się w miarę upływu czasu. A Gucwińscy? Z książki wynika, że bardziej kochają zwierzęta niż ludzi. Tyle że ta miłość też może być toksyczna. ©℗

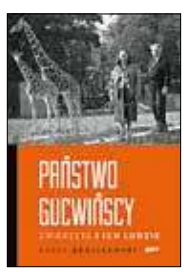

★★★★☆☆

MAREK GÓRLIKOWSKI „PAŃSTWO GUCWIŃSCY. ZWIERZĘTA I ICH LUDZIE"
ZNAK 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wybór opowiadań, wierszy, piosenek i trzy niezwykle ważne teksty w całości: „Cała jaskrawość", „Wszystko jest poezja" oraz wstrząsający „Pogodzić się ze światem". Wstęp: Jakub Beczek; wyboru dokonał z Moniką Stachurą.

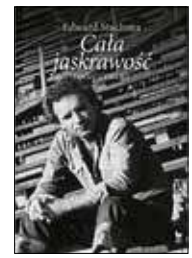

EDWARD STACHURA „CAŁA JASKRAWOŚĆ I INNE UTWORY" ISKRY

Matematyczne pomyłki, szaleństwo algorytmów, niebezpieczeństwo Big Data, błędne przekonania (bolesne, bo powszechne). Opowieść o tym, że bez matematyki świata opisać się nie da, ale błądzenie jest rzeczą ludzką.

MATT PARKER „PI RAZY OKO" INSIGNIS

Ocalała z wypadku samochodowego dziewczynka w sierocińcu układa swoje życie na nowo. Konsekwencje są nieoczekiwane, ponure i wstrząsające. Powieść, przy której „Władca much" wydaje się optymistyczną bajeczką.

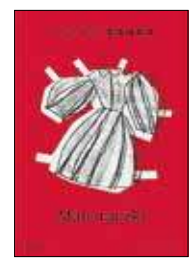

ANDRÉS BARBA „MAŁE RĄCZKI" WYDAWNICTWO FILTRY

Wiktoriański bestseller autorki, która w niektórych krajach była swego czasu słynniejsza od Dickensa. Powieść „Błędnik", chwalona przez Lwa Tołstoja, to opowieść o dwóch braciach, ich rodzinach i skutkach pewnego przestępstwa. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

MRS HENRY WOOD „BŁĘDNIK" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „BLACK HOLE"

Najważniejsze dzieło w dorobku Charlesa Burnsa, amerykańskiego autora komiksów i ilustratora. Powstawało ponad dekadę, a po publikacji całości obwołane zostało jedną z najwybitniejszych powieści graficznych wszech czasów. Za fasadą fantastycznej fabuły o dziwnej epidemii deformującej nastolatków kryje się wzruszająca opowieść o seksualnych inicjacjach, pierwszych miłościach i barierach niezrozumienia między młodymi, uczącymi się dopiero życia ludźmi. Burns mistrzowsko wykorzystuje możliwości komiksu; „Black Hole" nie dałoby się przedstawić w żadnej innej formie. ©℗

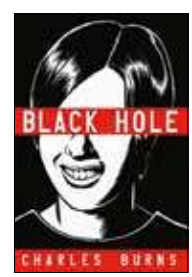

MAGAZYN KOMIKSOWY „KOMIKS I MY" NR 2 (12)/2020

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 491d86afd3

Przebojem tegorocznej edycji festiwalu Jabłonki Swawole jest cover „Niech no tylko zakwitną jabłonie" w wykonaniu zespołu Bitamina (na zdjęciu)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Niech no tylko zakwitną jabłonie

Japonia to Kraj Kwitnącej Wiśni, Kanada kojarzy się z liściem klonu, a Polska… Czy Polska może być kojarzona z jakimś owocem lub rośliną, a jeśli tak, to z jaką powinna? Zdaniem fundacji State of Poland odpowiedź jest oczywista. Polska powinna kojarzyć się w świecie z jabłonią. Bo – przekonuje fundacja – „polskie sady stanowią ok. 30 proc. powierzchni sadów w całej Unii Europejskiej, choć cały nasz kraj to zaledwie 7 proc. obszaru UE. Faktycznie jesteśmy więc Największym Sadem Europy! […] roczna produkcja tych rodzimych owoców wynosi aż 3 mln ton. Wyobraźmy sobie, że taką ilością można wypełnić 240 tys. TIR-ów!". I te 240 tys. TIR-ów wiozłyby ładunek nie byle jaki. „Dlaczego polskie jabłka są tak charakterystyczne i wyjątkowe? Zawdzięczają to nie tylko sprzyjającym warunkom klimatycznym, lecz także niepowtarzalnej kulturze sadowniczej, w której, mimo unowocześniania upraw, zachowano ich naturalność oraz mnogość odmian" – zachwala State of Poland.

No dobrze, ale co to wszystko ma wspólnego z muzyką? Ano ma – akcję i festiwal Jabłonki Swawole. Sam festiwal odbył się w miniony weekend w Warszawie, ale Jabłonki Swawole to szersza akcja, w ramach której m.in. powstają covery szlagierów sprzed lat. Przebojem tegorocznej edycji jest piosenka „Niech no tylko zakwitną jabłonie", ale nie w wykonaniu Haliny Kunickiej, lecz Bitaminy. – Na początku sceptycznie podchodziłem do tego pomysłu. Usłyszałem, jak kolega zrobił podkład muzyczny, i już wiedziałem, że jesteśmy w domu, bo są nasze etniczne zajawki i została zawarta harmoniczna baza. […] Bardzo podoba mi się ten numer – mówił w radiowej Jedynce wokalista zespołu, Vito Bambino. Nam też. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Żyjąc w przeszłości

Riverside – niezwykle popularna formacja z gatunku progresywnego metalu – zawiesił działalność dwa lata temu. Dzięki temu ukazały się solowe płyty jej członków, w tym debiut klawiszowca.

Michał Łapaj doskonale zna wymogi kanonu, w którym tworzy. Musi być nowocześnie, mrocznie i z patosem. Cenione są długie, rozbudowane kompozycje, dające słuchaczowi poczucie obcowania z czymś wzniosłym. Te patenty wypracowano w rocku pół wieku temu. Dodatkowo pianista nie tai swej miłości do analogowych brzmień starych syntezatorów, organów Hammonda czy elektrycznego pianina Rhodesa. Stąd na płycie są dramatyczne instrumentalne fragmenty rodem z lat 70., postrockowe pasaże z lat 90. czy filmowe, dronowe ambienty. Mieszają się one z piosenkami wykonywanymi przez Belę Komoszyńską oraz Micka Mossa. Nadekspresyjna maniera wokalistki Sorry Boys czy drżący głos solisty grupy Antimatter na tle wstrząsających podkładów wypadają efektownie, ale czasem może zbyt efektownie.

W odróżnieniu od debiutów wielu klawiszowców z progresywnych formacji Łapaj dość długo nie epatuje wirtuozerią i skupia się na klimacie. Dopiero w połowie albumu, w 10-minutowym „Where Do We Run", wyrusza w „mandarynkową" podróż, która we „Fleeting Skies" doprowadza go do własnej „ciemnej strony księżyca". ©℗

★★★★☆

MICHAŁ ŁAPAJ
„ARE YOU THERE"
MYSTIC

★★★★★☆

DAVID CROSBY
„FOR FREE"
BMG

Crosby, ikona kalifornijskiego rocka (The Byrds, C.S.N. & Y.), powrócił siedem lat temu, po zbyt wielu przejściach, na scenę. Trzeci z rzędu album zrealizowany z synem (producent) zawiera cudowne wokalne harmonie, refleksyjne jazz-funkowe groove'y i poruszające ballady.

★★★☆☆☆

IRON MAIDEN
IRON MAIDEN
„SENJUTSU"
SANCTUARY

Zespół otwarcie wkracza w obszar prog-metalu. Dziesięć utworów trwa aż ponad 80 minut. Patos w zbroi samuraja zapewne ucieszy wielbicieli kierunku. W finale na smakoszy wzmacnianego wasabi czekają trzy ponad 10-minutowe metalowe dramaty. Mniam! ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 7

Unikatowość Polski
– ofiary dwóch totalitaryzmów

• Wyjątkowość polskich strat w drugiej wojnie światowej • Niemieckie plany zniszczenia Polski • Sojusz dwóch totalitaryzmów przeciw Warszawie • Bilans komunistycznych zbrodni na narodzie polskim • Jak Polacy opowiadają dziś światu o drugiej wojnie światowej

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

TYGODNIK LUDOWY DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

eprasa.pl 491d86afd3

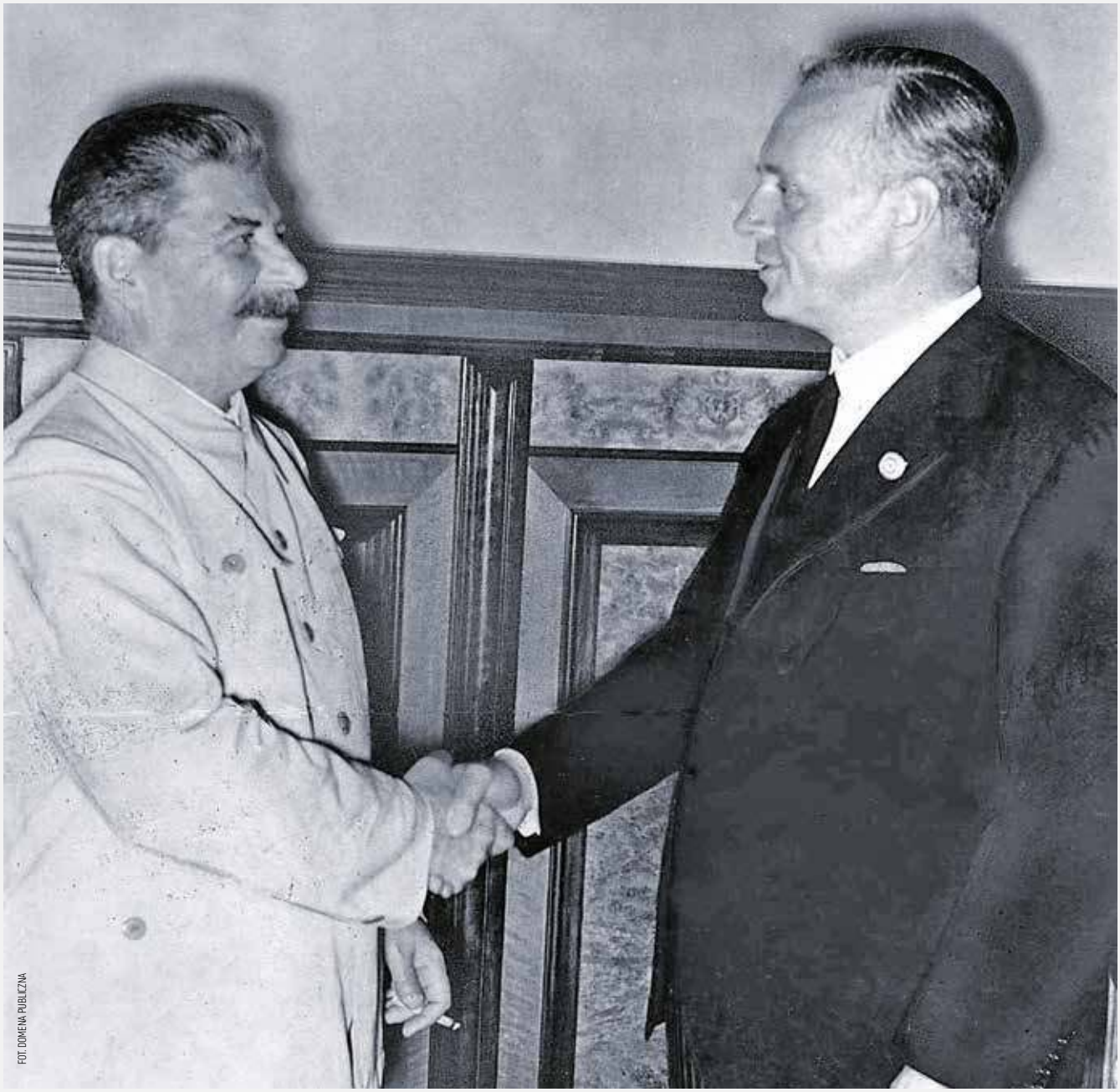

FOT. DOMENA PUBLICZNA

SPIS TREŚCI

51
POLSKA WYSTAWIA RACHUNEK
Żaden kraj koalicji nie zapłacił tak wysokiej ceny za opór przeciw III Rzeszy Niemieckiej jak Polska.

55 PROF. BOGDAN MUSIAŁ
DIABELSKI PLAN NIEMCÓW
Niemieccy naziści realizowali w Polsce ten sam plan, który wcześniej wdrożyli u siebie bolszewicy. Zniszczenie „głowy" narodu pozwala zrobić z resztą społeczeństwa niemal wszystko.

59 MACIEJ ROSALAK
W SOWIECKIM JARZMIE
Bilans półwiecza komunistycznego zniewolenia Polski to nie tylko mordy, upokorzenia i atak na kulturę i wiarę. To także grabież na bezprecedensową skalę.

63 GRZEGORZ JANISZEWSKI
TOTALITARNI BLIŹNIACY PRZECIW II RP
Pakt Ribbentrop-Mołotow otworzył drogę do wybuchu drugiej wojny światowej. Taktyczny sojusz dotychczasowych śmiertelnych wrogów przerodził się w ścisły związek. Jednak aby do tego doszło, trzeba było zniszczyć stojącą im na drodze Polskę.

65 ANNA SZCZEPAŃSKA
JAK OPOWIEDZIEĆ O DRAMACIE POLAKÓW
Polskie instytucje i osoby prywatne podejmują różne działania, aby przybliżyć odbiorcom zagranicznym cierpienia Polski i Polaków pod dwoma totalitaryzmami. Wciąż jednak istnieje wielka potrzeba mówienia o polskich dziejach.

eprasa.pl 491d86afd3

Polska wystawia rachunek

Żaden kraj koalicji nie zapłacił tak wysokiej ceny za opór przeciw III Rzeszy Niemieckiej jak Polska

Rynek Starego Miasta w Warszawie w sierpniu 1944 r. podczas walk z Niemcami

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W żadnym kraju podbitej Europy nie doszło do takich zbrodniczych działań dwóch okupantów naraz i każdego z osobna, szczególnie w postaci eksterminacji warstw przywódczych ujarzmianego narodu. Masowe rozstrzeliwania Polaków w Puszczy Kampinoskiej trwały w tym samym czasie, gdy w Katyniu mordowano oficerów polskich.

Największe ludobójcze plany hitlerowskich Niemiec powstały jednak w 1941 r. Sukcesy na froncie wojny z ZSRS wydawały się im wtedy ukoronowaniem podboju całej Europy, umożliwiającym zarówno zagospodarowanie „przestrzeni życiowej" (niem. Lebensraum) na wschodzie, jak i zlikwidowanie „problemu żydowskiego" (niem. Judenfrage). U podstaw obu planów tkwiło przekonanie o wyższości rasowej Niemców, dającej im pełne prawo do wymordowania przynajmniej 100 mln ludzi: Słowian i Żydów, do których żywili nienawiść i pogardę.

Generalny Plan Wschodni (niem. Generalplan Ost) miał zapewnić im Lebensraum kosztem narodów mieszkających na wschód od granic III Rzeszy do Uralu, i od jeziora Ładoga na północy do Morza Czarnego na południu. Mieli zniknąć stamtąd (czytaj: stracić życie od razu bądź na Syberii) wszyscy Żydzi, 80–85 proc. Polaków, 50 proc. Czechów, 65 proc. Ukraińców, 75 proc. Białorusinów oraz bliżej nieokreślona część Rosjan i Tatarów.

Drugi plan zakładał eksterminację wszystkich Żydów, co miało raz na zawsze stanowić ostateczne rozwiązanie „problemu żydowskiego" (niem. Endlösung der Judenfrage). Masowe egzekucje setek tysięcy osób pochodzenia żydowskiego na zdobywanych terenach Związku Sowieckiego, przeprowadzane już latem 1941 r., pozbawiały resztek złudzeń co do prawdziwych zamierzeń hitlerowców. Poszlaki wskazują, że Zagładę zatwierdzono w styczniu 1942 r. na naradzie w Wannsee.

eprasa.pl 491d86afd3

Dziecko z Zamojszczyzny porwane przez Niemców i przetrzymywane w obozie przy ul. Krochmalnej w Lublinie FOT. DOMENA PUBLICZNA

Generalplan Ost sformułowano pół roku wcześniej, ale ze względu na większą skalę zamierzenia realizację odłożono na czas „po zakończeniu wojny". W naszym wypadku miano pozostawić przy życiu od 3 do 4,8 mln polskich niewolników. SS wypróbowało ów plan pod koniec 1942 r., wysiedlając 110 tys. polskich chłopów ze 193 wsi na słynącej z urodzajnych ziem Zamojszczyźnie. Część trafiła na roboty do Niemiec, część wypędzono na Mazowsze, ok. 1,3 tys. wywieziono do Auschwitz (co piąty przeżył), małe dzieci o „aryjskich cechach rasowych" uprowadzono do Rzeszy. Zamiast nich sprowadzono kolonistów niemieckich. Dopiero zbrojne przeciwdziałanie polskich partyzantów przerwało tę akcję.

INTELIGENCJA PO NIEMIECKU

Osoby pochodzące z zachodniej Europy nie zdają sobie nawet sprawy z różnicy między obecnością niemiecką na ich terytoriach oraz podwójną, wyjątkowo ludobójczą okupacją na ziemiach polskich. We Francji, w Belgii, Holandii, Norwegii czy Danii, a także w Czechach, na Węgrzech czy w Rumunii istniały formy własnych rządów oraz sił zbrojnych, a niekiedy znajdowali się ochotnicy do oddziałów Waffen-SS. Na terenach tych państw nie organizowano łapanek oraz masowych egzekucji i nie wprowadzano drakońskich praw, które za wszystko groziły śmiercią. Tyle tysięcy rodaków nie ginęło w obozach koncentracyjnych, a tylu młodych ludzi nie wywożono na roboty przymusowe do Rzeszy. Tylko w pierwszych dwóch transportach do KL Auschwitz (1940 r.) wysłano ponad 7,5 tys. Polaków.

Podczas drugiej wojny światowej Niemcy mordowali przede wszystkim tych, których uznali za polską elitę. Zaczęli już podczas pierwszych dni najazdu we wrześniu 1939 r. Rzeź Polaków urządzało w miastach i miasteczkach całej Polski głównie sześć morderczych Einsatzgruppen SS posuwających się wraz z oddziałami Wehrmachtu w akcji o nazwie „Tannenberg". Wehrmacht zresztą też zabijał bezbronnych cywilów – np. w Kłecku koło Gniezna – lub pomagał policji, SS i gestapo. Mordowały też Selbstschutze złożone z miejscowych Niemców i volksdeutschów.

W drugiej połowie października 1939 r. do III Rzeszy wcielono Pomorze z Powiślem, Wielkopolskę, Śląsk, północne Mazowsze i Łódź. Mieszkało na tych obszarach przed wojną 10 mln ludzi, w tym 9 mln Polaków. Niemcy nie stanowili nawet 10 proc. Zrabowanie polskich ziem połączone było z przejęciem przez władze administracyjne nadzoru nad ich „bezpieczeństwem". Podejmowane działania miały źródło w planach najazdu niemieckiego na Polskę, sporządzanych już od momentu podpisania z II RP deklaracji o niestosowaniu przemocy w 1934 r. Aneksja wymienionych wyżej terytoriów łączyła się z założeniem pozbycia się z nich polskich elit.

Efektem było m.in. sporządzenie i wydrukowanie latem 1939 r. przez SD (służbę bezpieczeństwa SS) „specjalnej księgi Polaków ściganych listem gończym" (niem. Sonderfahnungsbuch Polen). Był to alfabetyczny zestaw zawierający ponad 61 tys. nazwisk Polaków zasłużonych dla swej ojczyzny, a więc niebezpiecznych – zdaniem SS – dla III Rzeszy. Figurowali na niej urzędnicy państwowi, liderzy samorządów, ziemianie i przedsiębiorcy, uczeni i nauczyciele, oficerowie, prawnicy, działacze organizacji społecznych, księża, zakonnicy i zakonnice, harcerze, weterani walk o wolną Polskę. Tych, których „przeoczono", dodawano skwapliwie po niemieckim najeździe, korzystając z usług miejscowych Niemców, załatwiających niejednokrotnie osobiste porachunki i przejmujących mienie ujętych Polaków.

Listy „ściganych" były listami śmierci. Aż do kwietnia 1940 r. w ramach Intelligenzaktion schwytanych mordowano (50 tys., m.in. w lasach koło Piaśnicy) albo zsyłano do obozów koncentracyjnych (drugie 50 tys.). Specjalnie w tym celu zbudowano obóz w Stutthofie. Kierowani byli także do Hohenbruch i Mauthausen-Gusen. W ogromnej większości wypadków oznaczało to śmierć. W ten sposób zamordowano blisko 100 tys. przedstawicieli elity naszego narodu w Wielkopolsce, na Pomorzu i Śląsku, a także w Łodzi i na północnym Mazowszu. Poza wymordowaniem elit kilkaset tysięcy Polaków zesłano wtedy na roboty przymusowe do Niemiec, a do końca 1939 r. prawie 200 tys. wypędzono do Generalnego Gubernatorstwa. Ich majątek zrabowano. Do końca 1940 r. liczba polskich wypędzonych do Generalnego Gubernatorstwa przekroczyła ćwierć miliona.

Poza mordami podczas działań wojennych i takimi egzekucjami odwetowymi jak w Wawrze Niemcy organizowali w Generalnym Gubernatorstwie akcje specjalne (niem. Sonderaktion) identyczne z Intelligenzaktion. Były to: Sonderaktion Krakau, kiedy m.in. aresztowano i zesłano do obozów koncentracyjnych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, i Sonderaktion Lublin, której ofiarami padli przede wszystkim duchowni i profesorowie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, oraz Sonderaktion Tschenstochau (akcja wymierzona w środowiska inteligenckie Częstochowy). W listopadzie 1939 r., po nieudanym zamachu stolarza Georga Elsera na Hitlera w Monachium (z którym Polacy nie mieli absolutnie nic wspól-

eprasa.pl 491d86afd3

nego), Niemcy urządzili Sonderaktion Bürgerbräukeller, podczas której aresztowano w całym Generalnym Gubernatorstwie kilkuset inteligentów. Każdy pretekst dobry…

Podczas działań wojennych i lat okupacji, zwłaszcza podczas działań antypartyzanckich, spłonęło ok. 800 polskich wsi, a ich mieszkańców rozstrzeliwano. Terror w miastach – a szczególnie w Warszawie – sprawił, że ludzie wychodząc rano z domów, nie wiedzieli, czy wrócą żywi.

Podczas Powstania Warszawskiego poległo 10 tys. żołnierzy AK, a 6 tys. uznano za zaginionych (na ogół też zabitych). Rannych zostało ok. 20 tys. powstańców – w tym 5 tys. ciężko. Do niewoli trafiło blisko 15 tys. żołnierzy. Życie straciło 200 tys. mieszkańców. Jak opowiadali moi śp. Rodzice, którzy przeżyli rzeź Woli, Niemcy pędzili warszawiaków wraz z dziećmi przed czołgami i palili żywcem. Mordowali i gwałcili kobiety… Nikt już nie policzy, ile było ofiar rzezi Woli – 30, 40, a może 50 tys. Na ulicy Wolskiej rozstrzeliwano w 20 miejscach. Oto niektóre z nich: Szpital św. Łazarza – 700 zamordowanych, Fabryka Franaszka – 3 tys., fabryka Ursus – 5 tys., Domy Hankiewicza – 2 tys. zamordowanych. Zabijano chorych i lekarzy, dzieci z sierocińca, harcerzy, księży i zakonnice. Litości nie było także dla kobiet w ciąży.

Wrzesień 1939 r. Aresztowani Polacy czekający na rozstrzelanie na Starym Rynku w Bydgoszczy FOT. DOMENA PUBLICZNA

STALIN JAK HITLER

Okrutna zagłada spotkała polskie elity również z rąk sowieckich. Mordowano – szczególnie oficerów i ziemian – już w czasie najazdu Armii Czerwonej 17 września 1939 r. Aresztowano wedle podobnych jak niemieckie kryteriów, zsyłano do obozów, wysyłano na śmiertelną poniewierkę w Kazachstanie i na Syberii, wreszcie mordowano podczas ludobójstwa katyńskiego. Podobieństwo celu, metod i czasu jest uderzające.

Po zdradzieckim wbiciu nam noża w plecy w 1939 r. prawie 170 tys. internowanych żołnierzy Sowieci przetrzymywali w obozach pracy. Według list przewozowych NKWD w trzech masowych deportacjach bolszewiccy okupanci wywieźli ponad 350 tys. ludzi, ale liczbę represjonowanych Polaków z dużą dozą prawdopodobieństwa można przynajmniej potroić. W tym samym czasie rozstrzeliwali na skalę masową bezbronnych, internowanych jeńców. To oczywiście mord katyński, dokonany na mocy decyzji (5 marca 1940 r.) siedmiu najwyżej postawionych w hierarchii sowieckiego państwa dygnitarzy ze Stalinem na czele.

W Katyniu zamordowano 4410 jeńców z Kozielska. Życie stracili tam m.in.: kontradmirał Xawery Czernicki, generałowie Bronisław Bohatyrewicz, Henryk Minkiewicz i Mieczysław Smorawiński, a także naczelny kapelan prawosławny WP ppłk Szymon Federońko, naczelny rabin WP mjr Baruch Steinberg oraz jedyna kobieta – ppor pilot Janina Lewandowska. W Charkowie zamordowano 3739 internowanych w Starobielsku, w tym ośmiu generałów: Leona Billewicza, Stanisława Hallera, Aleksandra Kowalewskiego, Kazimierza Orlika-Łukoskiego, Konstantego Plisowskiego, Franciszka Sikorskiego, Leonarda Skierskiego i Piotra Skuratowicza. W Twerze zamordowano 6314 jeńców z Ostaszkowa, przede wszystkim funkcjonariuszy Policji Państwowej i Służby Więziennej.

22 marca ludowy komisarz spraw wewnętrznych Ławrientij Beria rozkazał „rozładowanie" więzień. Dwa miesiące trwała krwawa operacja, której ofiarą padło nie mniej niż 7305 Polaków. Znani są ci z tzw. listy ukraińskiej, bo została ona przekazana naszej prokuraturze w 1994 r. Znajduje się na niej 3435 nazwisk obywateli polskich. Jest wśród nich 726 oficerów Wojska Polskiego (w tym siedmiu generałów), 770 policjantów, 28 funkcjonariuszy więziennych. Wiemy, że na tzw. liście białoruskiej znajdowało się 3870 nazwisk, ale szczegółów nie znamy, bo i sama lista albo zaginęła, albo znajduje się w archiwach służb bezpieczeństwa Rosji lub Białorusi. Nie wiemy też, co się stało z podobną liczbą obywateli polskich, którzy padli zapewne ofiarą zbrodniczej czystki etnicznej w innych rejonach „nieludzkiej ziemi".

Gdy 22 czerwca 1941 r. Sowietów zaatakował ich dotychczasowy sojusznik – Hitler – masowo mordowali więźniów politycznych w więzieniach oraz w marszach śmierci, gdy gnali nieszczęśników na wschód. Jak ustalili historycy, zginęło ok. 50 tys. więzionych. Czerwona partyzantka na Kresach przystąpiła w kwietniu 1943 r. do otwartego zwalczania Armii Krajowej, a po ponownym wtargnięciu w 1944 r. Armii Czerwonej na ziemie Rzeczypospolitej ok. 50 tys. żołnierzy AK zostało uwięzionych i wywiezionych na wschód. Kolejny bolesny ubytek najwartościowszej substancji narodu…

Niemcy i Sowieci wybili w dużym stopniu polskie elity zarówno w największych miastach, jak i w środowiskach lokalnych. Zginęła trzecia część ludzi mających w 1939 r. wyższe wykształcenie, blisko 60 proc. prawników, ponad połowa lekarzy i trzecia część nauczycieli akademickich. Zginęły 2804 osoby konsekrowane – rzymskokatoliccy biskupi, księża, zakonnicy i siostry zakonne. 3563 przeżyły obozy koncentracyjne i więzienia. Z 10 017 księży diecezjalnych w Polsce zginęło ok. 20 proc. Co piąty.

Legalne polskie władze nigdy nie skapitulowały i nie kolaborowały z Hitlerem ani politycznie, ani zbrojnie. Straszliwą, proporcjonalnie wyższą niż jakikolwiek inny kraj koalicji antyhitlerowskiej cenę zapłaciła za to przywiązanie

eprasa.pl 491d86afd3

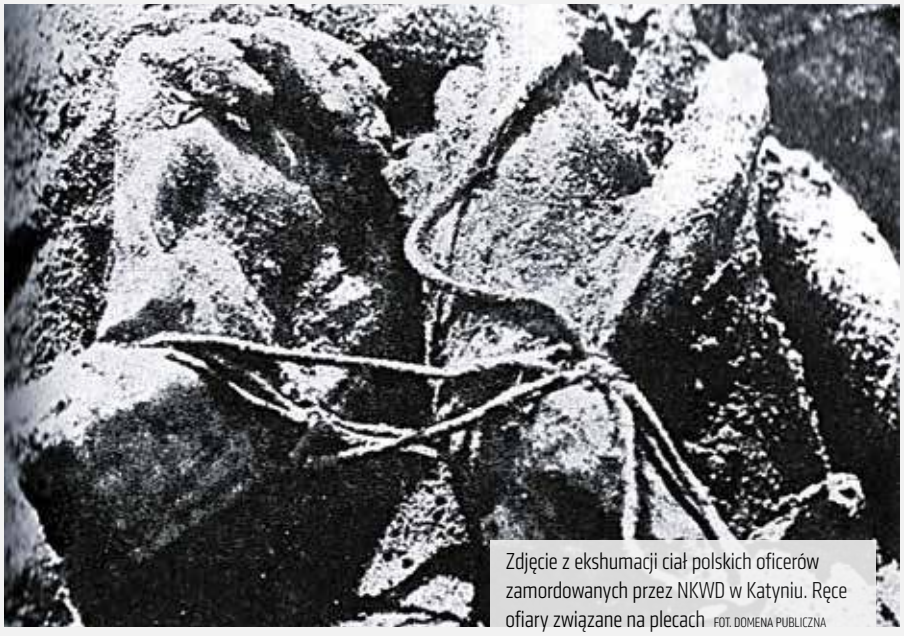

Zdjęcie z ekshumacji ciał polskich oficerów zamordowanych przez NKWD w Katyniu. Ręce ofiary związane na plecach FOT. DOMENA PUBLICZNA

do wolności i niepodległości. Liczbę obywateli polskich, którzy stracili życie, szacuje się na 6 mln!

BILANS STRAT

Niepowetowanym stratom ludzkim towarzyszył kolosalny uszczerbek materialny. Próby jego oszacowania podejmowane w latach 90. nie przyniosły zadowalających rezultatów, a raportu zespołu parlamentarnego (powołanego w 2017 r.) posła Arkadiusza Mularczyka jeszcze oficjalnie nie podano do publicznej wiadomości.

Miarodajne dla opinii publicznej pozostaje więc obszerne sprawozdanie, opracowane już w 1947 r. przez Biuro Odszkodowań Wojennych przy Prezydium Rady Ministrów. Uwzględnia ono zniszczenia wojenne, rabunek oraz bezwzględną eksploatację gospodarczą dokonywane przez Niemców.

Oto – w największym skrócie – uściślenia sprawozdania. Majątek narodowy zubożał o 38 proc. w stosunku do stanu sprzed 1939 r. Zniszczono ponad 160 tys. domów mieszkalnych i ponad 350 tys. zagród wiejskich, 14 tys. zakładów przemysłowych, niemal 200 tys. sklepów, 85 tys. warsztatów rzemieślniczych oraz niemal 970 tys. gospodarstw domowych. Sama Warszawa straciła 700 tys. mieszkańców, ponad 90 proc. fabryk i ponad 70 proc. budynków mieszkalnych. Ocalało tylko 10 proc. stołecznych zabytków.

Najeźdźcy celowo niszczyli nasz dorobek kulturalny, naukowy, oświatowy oraz medyczny. Zbiory biblioteczne zmalały o 22 mln książek, czyli o dwie trzecie. Zrabowano ponad pół miliona pojedynczych dzieł sztuki o wartości ponad 11 mld dol. (wedle kursu z 2001 r.). Zniszczono 17 szkół wyższych, ponad 270 szkół średnich i ponad 5,5 tys. szkół podstawowych i innych. Zniknęło ponad 350 szpitali i niemal 30 sanatoriów przeciwgruźliczych. Zrujnowano także liczne zakłady zdrojowe i ośrodki zdrowia, ambulatoria i gabinety lekarskie oraz dentystyczne.

Celowe zniszczenia oraz rabunek sprawiły, że przemysł stracił ponad połowę potencjału produkcyjnego (najwięcej – chemiczny; niemal 65 proc.). Ubyło 400 tys. ha lasów, miliony koni (1,9 mln sztuk), bydła (3,9 mln) i świń (niemal 5 mln), 2465 lokomotyw i niemal 90 tys. wagonów, 25 statków pełnomorskich. Walki w 1945 r. oraz celowe zniszczenia dokonane przez Niemców obróciły w ruinę port w Gdyni. Prawie 5 tys. km torów kolejowych, 50 km wiaduktów, 15 tys. km dróg o twardej nawierzchni i ponad 15 km mostów drogowych uległo zniszczeniu.

Łączną wysokość strat autorzy sprawozdania określili na kwotę 258 mld złotych przedwojennych, czyli równowartość 50 mld dol. w 1939 r. Po przeliczeniu 60 lat później wartość tych strat określa się na 650–700 mld dol. Straty samej Warszawy szacuje się na 45 mld dol.

Odszkodowań za to państwo polskie nigdy nie otrzymało. Przeciwnie: przez „odszkodowania", które mieliśmy otrzymać z puli Związku Sowieckiego, zostaliśmy dodatkowo przezeń poszkodowani. Nikt dotąd nie policzył strat, które wyrządził nam Związek Sowiecki, zabierając połowę przedwojennego terytorium, a w zamian dając – znacznie mniejszą – nie swoją przecież ziemię, którą zresztą przedtem obrabował.

– Nie jesteśmy nikomu nic winni! – dobitnie zauważył ostatnio prezydent RP Andrzej Duda. – To inni nam są winni za straty poniesione przez Polskę podczas drugiej wojny światowej! Nawiązał w ten sposób do skandalu wywołanego przez antypolskie ataki i bezczelne, bezpodstawne żądania izraelskie.

ŚMIERĆ ZA KROMKĘ

Żydzi stanowili przed 1939 r. 10 proc. ludności II Rzeczypospolitej. Dlatego Niemcy zakładali obozy śmierci tu, gdzie ofiar znajdowali najwięcej. W komorach gazowych tych obozów straciła życie większość z 6 mln Żydów z całej niemal Europy. Polscy Żydzi stanowili połowę z nich…

Ludzie przyjmujący rozsiewane ze szczególnym ożywieniem od mniej więcej ćwierćwiecza kłamstwa polonofobów powinni pamiętać o kilku podstawowych faktach. Rząd Polski na Uchodźstwie – legalnie wyłoniony na mocy przepisów przewidzianych w konstytucji i uznawany w wolnym świecie – a także podległe mu władze Podziemnego Państwa w kraju traktowały pomoc dla Żydów jako swój obowiązek. Finansowano organizacje niosące tę pomoc (jak „Żegota"), likwidowano donosicieli współpracujących z okupantem, organizowano sieci lokali zapewniających ukrywanie się poszukiwanym, w konsulatach RP i w podziemiu wystawiano fałszywe dokumenty umożliwiające prześladowanym ucieczkę lub schronienie. Ogromną pomoc świadczyli Żydom księża katoliccy i prowadzące sierocińce siostry zakonne. O sytuacji Żydów – zwłaszcza w trakcie likwidacji gett (od lata 1942 r.) – to Polacy alarmowali aliantów.

Tylko w Polsce okupanci niemieccy karali śmiercią za pomoc udzielaną Żydom – nawet za podanie kromki chleba. Według ustaleń Instytutu Pamięci Narodowej, opublikowanych w grudniu 2019 r., co najmniej 358 Polaków represjonowanych z tego powodu straciło życie z rąk Niemców.

Haniebnym oszczerstwem stało się obarczanie przez obecnego szefa dyplomacji izraelskiej Polaków, jako narodu i państwa, zarzutem współuczestnictwa w zagładzie żydowskich współbraci. Wcześniej izraelski historyk Yehuda Bauer proponował badania Holokaustu w triadzie: 1. sprawcy, 2. ofiary, 3. bierni świadkowie. Sprawcami byli naziści (nie Niemcy!), ofiarami Żydzi, a biernie przyglądali się Polacy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

oprac. M.R.

eprasa.pl 491d86afd3

22 listopada 1938 r., Berlin. Odprawa żołnierzy SS

FOT. BUNDESARCHIV, BILD 183-H15390

Diabelski plan Niemców

– Niemieccy naziści realizowali w Polsce ten sam plan, który wcześniej wdrożyli u siebie bolszewicy. Zniszczenie „głowy" narodu pozwala zrobić z resztą społeczeństwa niemal wszystko – mówi historyk prof. Bogdan Musiał

PIOTR WŁOCZYK: Hitler początkowo nie był pewny, co zrobić z podbitą Polską. Kiedy to się zmieniło?

PROF. BOGDAN MUSIAŁ: Decydujące okazało się stanowisko Stalina. Sowiecki dyktator marzył o wojnie na Zachodzie. Jeżeli pozostałaby jakaś kadłubowa Polska na kształt Protektoratu Czech i Moraw, to dałoby to pretekst Francji i Wielkiej Brytanii do zawarcia pokoju. W takim przypadku wojna szybko by się skończyła. Hitler tymczasem tak naprawdę nie chciał wojny z Londynem, traktował Brytyjczyków jako potencjalnych sojuszników.

Wielka Brytania miała być imperium morskim, III Rzesza kontynentalnym.

Dokładnie. Stalin wiedział o tym i dlatego pod koniec września 1939 r. wymógł na Niemcach potwierdzenie, że na okupowanych terenach nie powstanie żadne państwo kadłubowe. Polska miała być doszczętnie wymazana.

eprasa.pl 491d86afd3

Egzekucja ok. 300 polskich jeńców wojennych dokonana przez Niemców. Ciepielów, 9 września 1939 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dlaczego Hitler się na to zgodził, wytrącając samemu sobie z rąk argument w negocjacjach z aliantami?

Ponieważ bez Stalina nie mógł prowadzić wojny. Przywódcy europejscy pamiętali o doświadczeniu pierwszej wojny światowej. Dwadzieścia lat nie jest wiecznością. Poprzednia wojna ukształtowała myślenie o strategii. Francja i Wielka Brytania znów zakładały blokadę morską na Niemcy. Bez dostaw surowców Niemcy nie byli w stanie myśleć o zwycięstwie. Tymczasem sojusz polityczno-gospodarczy ze Stalinem dawał Hitlerowi nadzieje na przełamanie tego schematu. W dyskusjach o pakcie Ribbentrop-Mołotow Polacy – z oczywistych względów – skupiają się na aspekcie politycznym. Jednak dla Hitlera absolutnie najbardziej kluczową kwestią był sojusz gospodarczy (niemiecko-sowiecka umowa handlowa z 18 sierpnia 1939 r.). Stalin zobowiązał się do dostarczenia wszystkich surowców, których Hitler potrzebował, zaczynając od ropy naftowej, poprzez zboże, aż do rud metali. Jeżeli Hitler nie uległby żądaniom Stalina w sprawie Polski, to podjąłby ogromne ryzyko. Byłaby to dla niego gra va banque, bo w takiej sytuacji negocjacje z aliantami musiałyby się zakończyć pokojem. A na takie ryzyko Hitler nie mógł sobie pozwolić. Dlatego na tym etapie wojny kurczowo trzymał się sojuszu niemiecko-sowieckiego.

Dlaczego jednak Hitler zakładał, że próba porozumienia się z aliantami i zachowanie kadłubowej Polski oznaczałyby zerwanie sojuszu ze Stalinem?

Ponieważ w takiej sytuacji sojusz gospodarczy nie miałby z perspektywy Stalina racji bytu. Związek Sowiecki zapewniał Niemcom bezcenne surowce tylko po to, żeby ci walczyli z krajami zachodnimi. Stalin chciał, żeby Zachód rozpętał kolejną wojnę we własnym gronie. To marzenie, które współdzielił już lata temu z Leninem, Trockim i resztą czołowych bolszewików, było jego nadrzędnym celem. Aby zasiać ziarna chaosu, Stalin pomógł przecież Hitlerowi w dojściu do władzy. Wydał wówczas polecenie Komunistycznej Partii Niemiec, aby jej bojówki nie zwalczały nazistów, tylko wzięły na celownik Niemcy Weimarskie. I to im się wspólnie udało. Później wprawdzie niemieccy komuniści zostali rozbici, ale dla Stalina najważniejsze było, że wraz z ich ideologicznymi bliźniakami nazistami udało im się osiągnąć wcześniej najważniejszy cel, czyli destabilizację Republiki Weimarskiej. Jak widać, Hitler i Stalin, dwaj skrajnie lewicowi towarzysze, myśleli w podobnych kategoriach. Po 3 września 1939 r., po wypowiedzeniu wojny przez Londyn i Paryż, Hitler był już skazany na swojego kamrata z Kremla.

Czyli po 3 września pozycja Stalina niepomiernie wzrasta.

Oczywiście. Zresztą w ogóle rola Stalina jest niezmiernie istotna w wybuchu drugiej wojny światowej. Niemcy są w pierwszej kolejności odpowiedzialni za rozpętanie tego konfliktu, ale dziś świat zapomina, że bolszewicy żyrowali niemieckie żądania.

Po rozbiciu Polski Ribbentrop przesłał w grudniu 1939 r. Stalinowi życzenia z okazji urodzin. Sowiecki dyktator w odpowiedzi wysłał list, w którym podkreślał „scementowaną krwią przyjaźń między oboma krajami". Pytanie tylko, o jaką krew mogło mu chodzić...

To wyjątkowo perfidna wypowiedź, bo oba kraje walczyły wspólnie tylko przeciw jednemu państwu. Ale Stalin uchwycił tu istotę rzeczy – atak na Polskę i przelanie rzeki polskiej krwi faktycznie scementował sojusz między oboma totalitaryzmami.

Cofnijmy się do okresu przed 1939 r. Jak wówczas wyglądała nazistowska propaganda wobec Polaków?

Po 1933 r., szczególnie po podpisaniu deklaracji o nieagresji między Berlinem a Warszawą w styczniu 1934 r., niemieckie elity były w szoku. Niemcy nie mogli sobie wyobrazić, jak to możliwe, że mają od teraz tonować swoje antypolskie nastroje. Pamiętajmy bowiem, że antypolska polityka w znacznej mierze kształtowała wewnętrzną i zewnętrzną politykę Niemiec od odzyskania przez Polaków niepodległości. Zniszczenie państwa polskiego albo co najmniej odzyskanie terenów na wschodzie utraconych w wyniku pierwszej wojny światowej było zawsze na szczycie listy priorytetów Berlina. Dlatego zrozumiałe, że Niemcy Weimarskie z sympatią patrzyły w kierunku Rosji sowieckiej. To, co zrobił Hitler w 1939 r., nie jest paradoksem, tylko powrotem do Rapallo i traktatu berlińskiego z kwietnia

eprasa.pl 491d86afd3

Grupa cywilów, polskich mieszkańców Gdańska, schwytanych przez Niemców podczas zajmowania miasta FOT. DOMENA PUBLICZNA

1926 r. Szczególnie o tym ostatnim prawie w ogóle się w Polsce nie mówi. Był on przedłużeniem ustaleń z Rapallo. Był to sojusz gospodarczy, ale towarzyszył mu też układ militarny. Jego naturalną konsekwencją był planowany rozbiór Polski, choć nie było to postawione tak wprost jak w układzie Ribbentrop-Mołotow.

W połowie sierpnia 1939 r., gdy uzgodniono już kwestie gospodarcze i podpisano stosowną umowę (19 sierpnia), z niemieckiej strony wyszła propozycja odnowienia umowy z Rapallo albo traktatu berlińskiego. Gdy pisałem książkę na temat kulisów umowy Ribbentropa i Mołotowa, otworzyło mi to oczy. Dla nazistów odnowienie umów z bolszewikami z okresu Republiki Weimarskiej było czymś zupełnie naturalnym. To był powrót do polityki Walthera Rathenaua, który był skrajnym polakożercą. Nawiasem mówiąc, Donald Tusk odbierał parę lat temu nagrodę jego imienia. Czy nie zdawał sobie sprawy, kim był Rathenau? Ale to nie był żaden wyjątek. Trzeba sobie jasno powiedzieć, że Republika Weimarska była państwem polakożerczym.

Czyli Hitler, podpisując w 1934 r. pakt o nieagresji, musiał założyć Niemcom kaganiec?

To był dla nich szok. Nie tylko antypolska propaganda została zakończona, lecz także nawet powstała specjalna mieszana komisja podręcznikowa. Historycy z Polski i Niemiec mieli opracować taki model nauczania o historii, by młodzież nie była karmiona wzajemnymi uprzedzeniami. W tamtym czasie ożywiono znacznie kontakty kulturalne, można wręcz powiedzieć, że zapanował sielankowy okres we wzajemnych relacjach na oficjalnych szczeblach.

Czy te zabiegi miały jakiekolwiek przełożenie na wizerunek Polski i Polaków w oczach „zwykłych" Niemców?

Obawiam się, że nie. Taka polityka musiałaby być prowadzona przez Berlin przez kilka dekad, żeby trwale wyprzeć z umysłów Niemców nienawiść względem Polaków. Na dobrą sprawę już od XIX w. społeczeństwo niemieckie było karmione najbardziej negatywnymi emocjami w stosunku do Polaków. Niemcy nie musieli tracić na naszą rzecz żadnych terytoriów, żeby czuć do nas czystą nienawiść. Żadna propaganda, nawet najskuteczniejsza goebbelsowska szkoła manipulowania masami, nie była w stanie tego zmienić w ciągu zaledwie kilku lat.

Powrót wiosną 1939 r. do starej, sprawdzonej antypolskiej propagandy musiał być w takim razie banalnym zadaniem.

To była euforia! Wiosną 1939 r. doszło po prostu do powrotu do propagandy z okresu Republiki Weimarskiej. Goebbels nie odkrył tu żadnej „Ameryki". Niemcy byli zachwyceni, że w końcu można mówić „prawdę" na temat Polaków. Różnica między nazistowską a weimarską propagandą antypolską była taka, że dołączono element rasizmu. Ten komponent pojawił się bardzo późno, dopiero latem 1939 r. przedstawiono „naukowe" uzasadnienie zakwalifikowania Polaków jako podludzi. Niemieccy specjaliści od spraw rasowych nie zajmowali się wcześniej tym tematem, bo nie mieli na to zezwolenia. Polacy byli brani pod uwagę jako potencjalni sojusznicy, więc dopóki ta opcja była na stole, dopóty nie mogli być „podludźmi".

Jakie uczucia Hitler żywił względem Józefa Piłsudskiego? W Internecie łatwo można znaleźć zdjęcie z mszy żałobnej za Marszałka, w której udział wziął Hitler.

Czuł wobec niego duży respekt. Hitler miał nadzieję, że Polska będzie „junior partnerem" w wojnie ze Związkiem Sowieckim.

Gdzie się pan sytuuje w sporze historyków o szanse na powodzenie takiego aliansu?

Należę do tej grupy historyków, którzy bazują na faktach. Hitler chciał sojuszu z Polską wymierzonego w Sowiety, ale Polacy na to nie poszli. To jest fakt. Piłsudski bardzo jasno wytyczył szlak dla polskiej polityki zagranicznej – mieliśmy zachować równy dystans między

eprasa.pl 491d86afd3

Berlinem i Moskwą. Żadnego sojuszu ani z tymi, ani z tamtymi. Następcy Piłsudskiego trzymali się tej filozofii, więc moim zdaniem szkoda czasu na spekulacje. Faktem jest, że Hitler wściekł się na Polaków za odrzucenie jego propozycji. To kompletnie niweczyło jego plany wojenne. W związku z odmową ze strony Warszawy musiał na nowo obmyślać koncepcję przebudowy Europy pod dyktando Niemiec.

Czyli atakujących Polskę niemieckich żołnierzy nikt nie musiał specjalnie zachęcać do nienawiści. Wystarczyło, że Goebbels zdjął im polityczny kaganiec.

Dokładnie tak. Lata temu przeprowadziłem wiele rozmów z żołnierzami Wehrmachtu, którzy brali udział w wojnie z Polską. Jeden z nich, wówczas młody czołgista, powiedział mi, że w szkole zaszczepiono w nim tak wielką nienawiść do Polaków, że wzięcie udziału w ataku na nasz kraj wydawało mu się ze wszech miar słuszne. Co ważne, ten żołnierz uczęszczał do szkoły za czasów polsko-niemieckiej „odwilży". To pokazuje, że o ile w oficjalnych kontaktach międzyrządowych było sporo kurtuazji, o tyle nic się nie zmieniło na niższych szczeblach.

Niemcy przez dekady budowali w stosunku do Polaków nie tylko atmosferę nienawiści, lecz także pogardę. I dlatego tak ciężko było im się pogodzić z utratą ziem wschodnich. Niemcy uważali, że Polacy podstępnie wykorzystali moment niemieckiej słabości i jedynie dzięki pomocy Francji ukradli im część państwa.

Jak już wyjaśniliśmy na początku, Hitler nie wiedział początkowo, co zrobić z państwem polskim. A jak wyglądały plany odnośnie do polskiego społeczeństwa?

Najpóźniej w sierpniu 1939 r. Niemcy mieli już opracowany wstępny plan wyniszczenia polskich elit. Wiadomo, że akcję eksterminacyjną swobodnie można prowadzić jedynie w czasie wojny, kiedy uwaga międzynarodowej opinii publicznej pochłonięta jest doniesieniami z frontu. W czasach pokoju masowe mordowanie jest o wiele trudniejsze. Niemcy wiedzieli o tym i dlatego od razu, by nie tracić czasu, przystąpili do eksterminacji polskich elit. Dlaczego Niemcy wstrzymali się do maja 1940 r. z przeprowadzeniem ludobójczej akcji AB? Ponieważ uderzenie na Francję skoncentrowało uwagę całego świata na tym wydarzeniu i doniesienia o eksterminacji tysięcy przedstawicieli polskich elit gubiły się w zalewie informacji z zachodu Europy.

Niemieccy naziści realizowali w Polsce ten sam plan, który wcześniej wdrożyli u siebie bolszewicy. Zniszczenie „głowy" narodu pozwala zrobić z resztą społeczeństwa niemal wszystko. Na temat planów Niemców wobec ludności polskiej z Generalnego Gubernatorstwa nie musimy spekulować. Wszystko zostało jasno zapisane w dzienniku Hansa Franka, m.in. jego rozmowy z Hitlerem właśnie na ten temat.

Jak wyglądały te plany?

Nadrzędnym celem było zniszczenie Polaków jako narodu. Polacy mieli być ludnością bez spoiwa kulturowego. Należy podkreślić, że o ile Niemcy od razu wiedzieli, że wymordują polskie elity, o tyle początkowo nie mieli jeszcze sprecyzowanych planów odnośnie do Żydów. Różne opcje były w tej sprawie na stole. Mówiło się o zamknięciu Żydów w „rezerwacie" czy wywózce na Madagaskar. Wymordowanie Żydów stało się obowiązującą strategią wraz z atakiem Niemiec na ZSRS.

Polacy mieli się umieć podpisać, liczyć do stu i na tym koniec. To było minimum konieczne dla niemieckich bauerów i przemysłowców, by mogli swobodnie korzystać z polskiej siły roboczej.

W dyskusjach o drugiej wojnie światowej słychać czasem głosy, że Polacy mieli być „następni po Żydach". Ile w tym prawdy?

Takie opinie nie mają uzasadnienia w faktach. Niemcy nie przewidywali całkowitego wymordowania Polaków, tak jak planowali totalną eksterminację Żydów. III Rzesza potrzebowała dramatycznie siły roboczej. I takie właśnie miejsce miało przypaść wynarodowionym Polakom.

W czasie realizacji Generalnego Planu Wschodniego z Zamojszczyzny wyrzucono 120 tys. Polaków, czyli 31 proc. mieszkańców...

To był eksperyment. Niemcy jednak zobaczyli wówczas, że opór Polaków generuje zbyt duże straty. Przede wszystkim niemiecka administracja cywilna bardzo krytykowała sposób przeprowadzenia tej operacji z uwagi na koszty. Ale w tamtym okresie, na przełomie lat 1942 i 1943, jasne było już, że Niemcy przegrywają wojnę. Gdyby sytuacja na froncie wyglądała inaczej, to bez wątpienia Niemcy przeznaczyliby setki tysięcy żołnierzy do wdrożenia w życie założeń Generalnego Planu Wschodniego.

Według nich 80–85 proc. Polaków miało zostać wyrzuconych z terenów Polski na wschód. Ale już np. Czechów Niemcy planowali wyrzucić „jedynie" 50 proc.

Niemcy uważali, że Czechów uda się dosyć łatwo zgermanizować. Różnica jest taka, że wobec Czechów te plany pozostały tylko na papierze, a w Polsce Niemcy zaczęli je wprowadzać w życie. W ogóle nie sposób porównywać tych dwóch okupacji. Czeskim robotnikom powodziło się w czasie wojny naprawdę nie najgorzej. Niemcy dbali o nich, ponieważ byli oni bezcenni z punktu widzenia nazistowskiego przemysłu zbrojeniowego.

Czy pod sam koniec wojny, wobec zbliżającego się sowieckiego walca, widać zmianę niemieckiej polityki wobec Polaków?

W 1944 r. pojawiły się zupełnie fantastyczne plany. Hitler bardzo długo odrzucał możliwość tworzenia polskich jednostek. W 1943 r. powstały wprawdzie trzy polskie bataliony policyjne, które miały zostać skierowane do walki z ukraińskimi nacjonalistami, ale wysłano je do walki z sowieckimi partyzantami na Białorusi. To był wyjątek, który potwierdzał generalną zasadę: żadnych układów z Polakami.

W 1944 r. Niemcy potrzebowali jednak dramatycznie „mięsa armatniego". Jesienią 1944 r. ogłoszono więc nabór do oddziałów „polskiego Wehrmachtu". To była groteska, która świadczyła o stopniu odrealnienia Hitlera i jego otoczenia. Polityka rasowa w niczym się nie zmieniła, Hitler wydał właśnie rozkaz zniszczenia Warszawy, a czołowi naziści wyobrażali sobie, że Polacy będą walczyli wraz z nimi z Armią Czerwoną. Rekrutacja do tego „polskiego Wehrmachtu" zakończyła się oczywiście kompletnym fiaskiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Bogdan Musiał
– historyk specjalizujący się w XX-wiecznych dziejach Niemiec, autor wielu prac na temat niemieckich zbrodni w okupowanej Polsce (m.in. „Kto dopomoże Żydowi...").

eprasa.pl 491d86afd3

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W sowieckim jarzmie

Maciej Rosalak

Bilans półwiecza komunistycznego zniewolenia Polski to nie tylko mordy, upokorzenia i atak na kulturę i wiarę. To także grabież na bezprecedensową skalę

Narzucenie sowieckiego ustroju, wymuszone haracze, upadek gospodarczy, rola kraju skolonizowanego, kłamstwo o naszym rzekomym zwycięstwie w drugiej wojnie światowej – to wszystko krótko i dosadnie wyraził w rozmowie ze mną pewien rybak. Kiedy pod koniec lat 70. próbowałem podczas pobytu w nadmorskim Jantarze kupić wędzonego węgorza, rybak pokazał mi kilka dorodnych, złowionych właśnie sztuk i zapewnił, że musi je oddać na eksport do Republiki Federalnej Niemiec. „To dla tych, którzy przegrali wojnę!" – oświadczył z sarkazmem. W jego gorzkiej ironii zawierała się kwintesencja sytuacji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej po dziesięcioleciach hegemonii „bratniego" Związku Sowieckiego i efekt rządów zainstalowanych tu u władzy polskich komunistów.

W tym co powiedział próżno szukać nawet śladu wymaganej od Polaków wdzięczności dla Moskwy za „wyzwolenie spod okupacji faszystowskiej" oraz zaprowadzenie u nas „ustroju sprawiedliwości społecznej". Pobrzmiewa raczej pretensja do Zachodu za zgotowanie nam takiego losu…

WIDZIAŁEM POLSKĘ ZDRADZONĄ…

Przywódcy tzw. wielkiej trójki wyrządzili nam pod koniec wojny i tuż po jej zakończeniu ogromną dziejową krzywdę. Anglosascy politycy oddali kraje Europy Środkowo-Wschodniej (spośród nich tylko Polska nie kolaborowała z III Rzeszą) do sowieckiej strefy wpływów, skwapliwie przyjmując zapewnienia Stalina o przeprowadzeniu w nich „demokratycznych" wyborów. Jakby owcę wilkowi w opiekę oddali. Dyktat zwycięskich mocarstw na niemal pół wieku wtrącił Polskę – kraj, który pierwszy przeciwstawił się zbrojnie Hitlerowi, najdłużej i najbardziej bezkompromisowo z nim

eprasa.pl 491d86afd3

walczył oraz poniósł największe straty – w sowieckie jarzmo. Dramat rozpoczął się wraz z przekroczeniem przedwojennej granicy RP przez Armię Czerwoną.

Bez pomocy sowieckiej polscy komuniści nie mieli najmniejszych szans na zdobycie władzy w kraju. Otrzymali ją od nowych okupantów w sposób absolutnie bezprawny. Rząd Polski na emigracji do początku lipca 1945 r. był uznawanym przez wszystkich, z wyjątkiem Rosji sowieckiej, podmiotem prawa międzynarodowego. Prawdziwe wyniki referendum w czerwcu 1946 r. oraz wyborów parlamentarnych w styczniu 1947 r. świadczyły, że trzy czwarte Polaków nie chciało komunizmu. Sfałszowania wyników obu głosowań dokonano wedle instruktażu funkcjonariuszy NKWD i pod ich nadzorem. Oni też uczyli funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa bezwzględnego terroru, z mordowaniem przeciwników politycznych na czele.

Ambasador USA w Warszawie, Arthur Bliss Lane, protestując przeciw ignorowaniu w Waszyngtonie jego alarmujących doniesień z Warszawy, podał się do dymisji i napisał książkę „Widziałem Polskę zdradzoną". Ale demokratyczny Zachód nie chciał interweniować przeciw złamaniu podstaw demokracji…

Dwa lata wcześniej odetchnął z ulgą, gdy przywódca ludowców w rządzie londyńskim Stanisław Mikołajczyk zgodził się zostać wicepremierem w składzie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, uwiarygodniając w ten sposób komunistyczne marionetki Stalina, tworzące dotąd Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Zgodził się też na rezygnację z połowy terytorium II RP, czyli naszych kresów wschodnich (178 tys. km kw.), na rzecz ZSRS. Anglosasi uspokoili sumienie i cofnęli uznanie legalnemu Rządowi RP na emigracji…

Stalin przyznał za to Polsce „ludowej" – przy niechętnej postawie aliantów w Poczdamie – terytoria na zachodzie (101 tys. km kw.) po Odrę i Nysę Łużycką oraz część Prus Wschodnich. Kilka milionów Niemców wysiedlono na zachód, a zamiast nich przesiedlono w latach 1945–1946 z Litewskiej SRS – 148 tys. Polaków, z Białoruskiej SRS – 226,3 tys., z Ukraińskiej SRS – ponad 750 tys. Z głębi ZSRS przybyło wtedy do Polski niemal ćwierć miliona osób, z których połowa była Polakami. Podczas drugiej tzw. repatriacji (była to oczywiście depatriacja) w latach 1955–1959 przyjechało do PRL niemal ćwierć miliona rodaków.

Stalin postąpił jak bandzior, wymieniając z nami zrabowane, nie swoje ziemie. Zarobił na tym jeszcze więcej, o czym poniżej. Tu zauważmy, że przesuwając jak po szynach państwo polskie ze wschodu na zachód, wykonał perfidny manewr geopolityczny, zaostrzając odwieczny konflikt polsko-niemiecki oraz stając się dla nas gwarantem nienaruszalności granicy zachodniej. Działało to w okresie PRL niebywale silnie – i na władze, i na społeczeństwo polskie. Przestało działać dopiero na początku lat 90., po zawarciu układu między suwerenną nareszcie Polską a Republiką Federalną Niemiec.

W ŁAPACH NKWD

W 1944 r. dochodzi na terenie tzw. Polski Lubelskiej do represji na ogromną skalę przy użyciu zarówno oddziałów frontowych Armii Czerwonej, jak i NKWD. Podobnie było niewiele dni wcześniej na Wileńszczyźnie i we Lwowskiem, gdzie więziono żołnierzy Armii Krajowej po wspólnej z nimi walce przeciw Niemcom, a ujawniających się przedstawicieli prawowitego rządu na uchodźstwie aresztowano. Dąży się do „przetrącenia kręgosłupa" siłom wiernym prawowitemu rządowi polskiemu, zwłaszcza na terenach Białostocczyzny, Mazowsza, Lubelszczyzny i Rzeszowskiego, gdzie działa trzecia część sił AK. Sytuacja ta powtarza się latem 1945 r., już po zakończeniu działań wojennych.

Największą „na białych Polaków obławą" było przeczesanie Puszczy Augustowskiej między 12 a 19 lipca 1945 r. przez ogromne siły sowieckie. Okupantom pomagali funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa oraz kompania LWP. Zamordowano 592 spośród ujętych Polaków. Ich szczątków dotychczas nie odnaleziono, podobnie jak 252 przekazanych komunistycznym władzom na Litwie i 1090 zatrzymanych do dalszego śledztwa. Niemal 2 tys. Polaków!

Powstanie przeciw okupacji sowieckiej wzbierało głównie jako akt samoobrony. Tam, gdzie wkraczała Armia Czerwona, mnożyły się rabunki, mordy i gwałty. Nie tylko więc zamach na naszą wolność i suwerenność, lecz także niszczenie rodzinnej wsi, ojczystego domu, ucieczka przed aresztowaniem, torturami i egzekucją skłaniały Polaków do sięgnięcia po broń. Następczynią rozwiązanej na początku 1945 r. Armii Krajowej stała się Delegatura Sił Zbrojnych, a następnie jej kontynuacja: Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość. Obok WiN działały inne organizacje niepodległościowe, zwłaszcza wyrosłe z ruchu narodowego – jak Narodowa Organizacja Wojskowa i Narodowe Zjednoczenie Wojskowe.

Wierni prawowitemu rządowi Żołnierze Niezłomni toczyli w 1945 r. z „czerwoną zarazą" regularne bitwy, jak 7 maja pod Kuryłówką, 24 maja w Lesie Stockim czy 18 sierpnia pod Miodusami Pokrzywnymi. Rozbito kilkadziesiąt komunistycznych więzień i uwolniono więzionych. Niekiedy opanowywano całe miasta i miasteczka, jak Radom, Radomsko, Włodawa, Biłgoraj. Polscy komuniści w maju/czerwcu 1945 r. skierowali do obław przeciw podziemiu kilka dywizji LWP, ale bezskutecznie.

Sowieci traktowali ziemie polskie jako obszar przyfrontowy, na którym sprawowali władzę. W 1945 r. działało w Polsce pięć dywizji NKWD: 57., 58., 59., 63., 64. (a później też 62.). Wszystkie miały obowiązek zwalczania polskiego podziemia, ale większość podlegała dowódcom frontowym. Tylko 64. Dywizja została podporządkowana instruktorowi NKWD przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Funkcję instruktora NKWD (czyli prawdziwego szefa) przy MBP najpierw pełnił Iwan Sierow, potem Nikołaj Seliwanowski. 64. Zbiorcza Dywizja Wojsk Wewnętrznych NKWD operowała do listopada 1946 r., głównie na terenie Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny, pod dowództwem gen. mjr. Sieriebriakowa.

Oficerowie sowieccy byli obecni w aparacie bezpieczeństwa w formie ukrytej, na polskich etatach, zajmując różne stanowiska na zapleczu: w administracji, kadrach, finansach, organizacji uzbrojenia itp., a także jako doradcy na sowieckich etatach, którzy nie udawali polskich oficerów. Z początku było ich kilkuset – do 1947 r. już od szczebla powiatu. Potem pozostali tylko w województwach i w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie znajdowało się po kilku w każdym z departamentów. Z NKWD przeniesiono samą zasadę systemu: policja polityczna ma kontrolować wszystko. A więc nie tylko zdeklarowanych wrogów, lecz także całe społeczeństwo. Każdy jest podejrzany. Dlatego całe struktury organizacyjne zostały żywcem przeniesione ze Związku Sowieckiego.

Oddziały specjalne NKWD wyłapywały żołnierzy polskich organizacji niepodległościowych i osadzały ich w obozach do niedawna hitlerowskich, jak w Maj-

eprasa.pl 491d86afd3

Brześć Litewski. Oficerowie niemieccy i sowieccy podczas rozmowy, 22 września 1939 r.
FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

danku pod Lublinem czy KL Gross-Rosen w Rogoźnicy. Na podstawie dokumentacji MBP można ustalić, że w kwietniu 1945 r. funkcjonowało w Polsce 16 obozów, w których ulokowano 27 826 więźniów. W drugiej połowie roku liczba obozów wzrosła do 28. Od stycznia 1945 r. do sierpnia 1946 r. przetrzymywano tam łącznie ok. 47 tys. osób.

Największy obóz NKWD działał od grudnia 1944 r. na terenie rembertowskiej fabryki Zakładów Amunicyjnych „Pocisk" i pełnił rolę punktu zbornego przed deportacją w głąb ZSRS. Nocą z 20 na 21 maja 1945 r. obóz został rozbity przez oddział AK. Niedawny jeszcze KL Warschau przy ul. Gęsiej od stycznia 1945 r. do maja 1945 r. prowadzony był przez NKWD, a potem do 1949 r. przez UB. Poniosło tu śmierć – również w egzekucjach – ok. 1,8 tys. osób.

Opór organizacji niepodległościowych nie mógł trwać wiecznie. Żołnierze ginęli, tracili zaplecze w terroryzowanych wioskach, a w końcu nadzieję: najpierw na trzecią wojnę światową, potem na zmianę sytuacji po wyborach. Wreszcie pozostali tylko straceńcy. Ostatni („Lalek") przetrwał do października 1963 r.

MILION DO WIĘZIENIA!

W epoce stalinowskiej – jak mówiono – ludzie dzielili się na tych, którzy siedzą, siedzieli albo będą siedzieć. W celach zawsze siedziało kilkanaście tysięcy więźniów politycznych, wykonywano na nich wyroki śmierci, bito i torturowano. Dokładnie jak w Sowietach…

Ze statystyk MBP wynika, że w 1950 r. funkcjonowało w kraju 122 zakładów karnych. Wszystkie były w latach 1945–1956 przepełnione. Norma z okresu międzywojennego ustalająca 13 m sześc. dla każdego więźnia nie była respektowana; w 1945 r. obniżono ją do 8 m sześc., co oznaczało 2 m powierzchni dla każdego więźnia, a na początku lat 50. normę zaniżono do 5 m sześc. (Rawicz, Fordon) oraz nawet do 1 m sześc. (Warszawa, Zamek w Lublinie). W latach 1945–1953 przez wszystkie więzienia i areszty przeszło ok. miliona osób. W ciągu roku przechodziło ok. 14 tys. skazanych na podstawie zarzutów politycznych.

Od 1948 r. więźniów zaczęto kierować do ciężkiej pracy fizycznej w kopalniach na Górnym i Dolnym Śląsku oraz do kamieniołomów w południowej Polsce i na Pomorzu. Powstawał polski „archipelag GUŁag".

Więźniowie polityczni byli poddawani różnego rodzaju szykanom i szantażowi psychicznemu; na porządku dziennym były pobicia; praktykowano tzw. śmierć pod kontrolą (do ciężko chorych więźniów nie wzywano lekarzy – tak zmarł m.in. Kazimierz Pużak). Szczególnie okrutnie traktowano żołnierzy ugrupowań narodowych, NSZ i NZW.

Kazimierz Moczarski wymieniał 49 rodzajów tortur, którym go poddawano. Obok prostego bicia i sadzania na nodze odwróconego stołka były bardzo wymyślne, również psychiczne i moralne, jak zamknięcie go w celi ze zbrodniarzem z SS – Stroopem. Konwejer, czyli przesłuchiwanie go non stop przez wiele dni i nocy bez pozwalania na sen, przypomina śledztwo Zbigniewa Stypułkowskiego w Moskwie przed procesem 16 porwanych zimą 1945 r. zdradzieckim podstępem przywódców Podziemnego Państwa.

Z niepełnych danych Centralnego Zarządu Zakładów Karnych wynika, że w latach 1944–1956 w więzieniach wykonano 2810 wyroków śmierci; najnowsze badania wskazują, że liczbę tę należy zwiększyć do 4,5 tys. wykonanych wyroków śmierci, głównie w więzieniach śledczych.

UKŁAD KOLONIALNY

O tym, jak wychodzi się na interesach z silniejszym, przekonuje sprawa repa-

eprasa.pl 491d86afd3

racji od pokonanych Niemiec. Ustalono je w Jałcie na 20 mld dol., a w Poczdamie uszczegółowiono, że ZSRS otrzyma swoją część dzięki „wywiezieniu odpowiednich przedmiotów ze strefy okupacyjnej sowieckiej oraz majątek niemiecki, znajdujący się za granicą".

ZSRS zobowiązał się przy tym zaspokoić polskie roszczenia – 15 proc. ze swej części odszkodowań. Tym sposobem sprowadził Polskę do roli petenta zabiegającego w Moskwie o przekazywanie należnych nam dóbr wywożonych z Niemiec.

Wykorzystał to Stalin, który kazał polskim przedstawicielom podpisać 16 sierpnia 1945 r. umowę, w której Polska zobowiązała się dostarczać od 1946 r. Związkowi Sowieckiemu węgiel po specjalnej cenie umownej. W pierwszym roku dostaw miało to być 8 mln ton, w ciągu następnych czterech lat – po 13 mln, a w następnych latach po 12 mln ton. Cena została określona w tajnym protokole na 1,22 dol. za tonę, co wynosiło mniej niż 10 proc. ceny rynkowej i nie pokrywało nawet kosztów wydobycia i transportu. W czasach, gdy węgiel stanowił artykuł najbardziej poszukiwany na świecie…

Dodajmy, że Sowieci łaskawie zrzekali się w umowie „wszelkich pretensji do mienia niemieckiego na całym terytorium Polski, łącznie z tą częścią terytorium Niemiec, która przechodzi do Polski". Wielkoduszność wynikała z faktu, że wcześniej zdążyli ją dokumentnie ograbić. Z naszych tzw. Ziem Odzyskanych i zajętych terenów niemieckich wywieźli np. 5 tys. km torów kolejowych (!) oraz zdemontowali i zabrali ponad 4 tys. zakładów produkcyjnych (z tego w Polsce – 1119!). Na wschód wywozili też zboże, pasze dla bydła oraz gonili tam stada krów i koni. Rabunkiem zajmowały się specjalne, zmotoryzowane „brygady trofiejne", zatrudniające ok. 100 tys. fachowców, w tym historyków sztuki, którzy wybierali dzieła szczególnie warte wywózki.

Stalin wymógł też na Polsce i innych krajach swego bloku rezygnację z amerykańskiego planu Marshalla, który pomógł innym państwom Europy w powojennej odbudowie. Nikt w tzw. demoludach nie śmiał odmówić towarzyszowi Stalinowi, ponieważ wyżej ceniono własne życie i zdrowie, a i wysokie stanowiska partyjne oraz państwowe. Decyzje, co wolno, a czego nie wolno, zapadały w bilateralnych rozmowach, na które delikwentów zapraszano do Moskwy, albo podczas konferencji Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych powołanego w 1947 r. w Szklarskiej Porębie, którego siedziba znajdowała się najpierw w Belgradzie, a po konflikcie z jugosłowiańskim gensekiem Tito – w Bukareszcie.

Strategiczne kwestie rozstrzygał sam Stalin. W 1949 r. głównodowodzącym (ludowego) Wojska Polskiego uczynił po prostu marszałka ZSRS Konstantego Rokossowskiego, a Rosjanami obsadził wiele kluczowych stanowisk, także w Informacji Wojskowej, która szukała wrogów i spisków głównie wśród oficerów z Polskich Sił Zbrojnych, którzy niebacznie wrócili po wojnie do ojczyzny. Wielu z nich przypłaciło to życiem. Po Październiku '56 Rokossowskiego także jego drużynę odwołano do ZSRS, ale wojska sowieckie/rosyjskie stały u nas aż do roku 1993.

Po śmierci Stalina stworzono w 1955 r. wojskowy blok demoludów, nazwany ku naszej hańbie Układem Warszawskim. Powodem miało być rzekome zagrożenie napaścią zachodnich imperialistów, a tak naprawdę – przygotowanie i przeprowadzenie ataku na zachodnią Europę. Pułkownik Ryszard Kukliński ujawnił plany Amerykanom, a później i my poznaliśmy śmiertelne zagrożenie odwetowym uderzeniem atomowym w Polskę.

KOMBINATY „MIERNYCH, ALE WIERNYCH"

Natomiast kwestie ekonomiczne rozwiązywała utworzona w 1949 r. Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej z siedzibą w Moskwie. Wprowadzenie do rozliczeń tzw. rubla transferowego o wysokiej sile nabywczej, ale bez pokrycia poza państwami bloku, umożliwiało Sowietom ogromne zyski. Na przykład kupowali oni w polskich stoczniach statki, do których my sprowadzaliśmy za dolary wyposażenie z Zachodu. Następnie wyposażenie było demontowane przez Rosjan, a my musieliśmy w ramach gwarantowanych napraw kupować je od nowa. Podczas wielkiego strajku w 1980 r. zwracali mi na to uwagę nasi stoczniowcy. RWPG utrzymała się po kres lat 80.

Ideologiczna oraz polityczna presja sowiecka wywarła piętno w dziedzinie kultury, nauki, oświaty, tradycji i obyczaju, stosunków z Kościołem i z innymi państwami, ale właśnie w gospodarce prowadziła do najbardziej widomego zastoju i regresu. System centralnego planowania i środków produkcji w rękach państwa – z preferencjami dla przemysłu zbrojeniowego – doprowadził do monstrualnej rozbudowy molocha węglowo-hutniczego. To odbiło się ujemnie na innych sektorach produkcji i w efekcie na zubożeniu społeczeństwa. Poza pierwszym planem trzyletnim (1946–1949) żaden z kolejnych, pięcioletnich, nie został zresztą zrealizowany.

Aby uniknąć protestów robotniczych, w obu pięciolatkach epoki Edwarda Gierka (1971–1980) – po siermiężnym okresie rządów Władysława Gomułki – państwo zaciągało pożyczki na Zachodzie, które miały zostać spłacone dzięki inwestycjom w produkcję atrakcyjnych towarów oraz ich zakup. Presja Sowietów spowodowała jednak znowu wyrzucanie pieniędzy na ogromne kombinaty (jak Huta „Katowice"), a bezwład umysłowy „miernych, ale wiernych" decydentów, marnotrawstwo energii i surowców oraz niechęć zatrudnionych ludzi do wykonywania bezcelowej pracy zaważyły na fiasku ambitnych zamierzeń. W systemie realnego socjalizmu typu sowieckiego było to zresztą niemożliwe.

Od innych demoludów i samego ZSRS korzystnie odróżniało Polskę kilka okoliczności. Był to Kościół rzymskokatolicki, który wyszedł zwycięsko z opresji władz, chłopstwo, które przeżyło próby skołchozowania lat 50. i posiadało 85 proc. ziemi uprawnej, niedobita prywatna drobna wytwórczość i kupiectwo oraz polskie tradycje wolnościowe. O zmianie systemu sowieckiego zarządcy bali się nawet mówić. Nie bała się natomiast część polskiej inteligencji i robotników. Triumfalny przyjazd do ojczyzny polskiego papieża Jana Pawła II (czerwiec 1979 r.) stał się zapowiedzią powstania NSZZ „Solidarność". Niedługo potem prezydentem USA został Ronald Reagan, który przyczynił się do upadku „imperium zła". Jarzmo pękło.

Ślad w psychice wielu rodaków jednak pozostał, choćby w idealizowaniu PRL-owskiej przeszłości przez funkcjonariuszy sowieckiego systemu i ich rodziny czy targowickie oraz aferalne skłonności. Tu i ówdzie pozostały złe nawyki – marnotrawstwo, nieuprzejmość, nieodpowiedzialność, niechlujstwo… Pewnie jakiś czas jeszcze ów ślad będzie dawał znać o sobie...

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

Oficer niemiecki i sowiecki podają sobie ręce pod koniec inwazji na Polskę, jesień 1939 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Totalitarni bliźniacy przeciw II RP

Grzegorz Janiszewski

Pakt Ribbentrop-Mołotow otworzył drogę do wybuchu drugiej wojny światowej. Taktyczny sojusz dotychczasowych śmiertelnych wrogów przerodził się w ścisły związek. Jednak aby do tego doszło, trzeba było zniszczyć stojącą im na drodze Polskę

Po anszlusie Austrii rozwój sytuacji w Europie zaczął przypominać rollercoaster. Stalin spodziewał się, że prędzej czy później dojdzie do konfliktu zbrojnego, ale nie miał zamiaru dać się wciągnąć w wojnę w obronie zachodnich aliantów. Hitler gotowy był odejść od nieprzejednanego dotychczas antybolszewizmu. Kluczową sprawą było rozegranie starających się zachować równy dystans do sąsiadów polskich władz. Dwóch międzynarodowych bandytów musiało się w tej kwestii dogadać, choćby zaraz potem miało sobie skoczyć do gardeł. Piloci z Legionu Condor bombardowali jeszcze w Hiszpanii sowieckich doradców i sprzęt dostarczony przez Moskwę, kiedy Stalin z Hitlerem zaczęli planować swój sojusz.

10 marca 1939 r. Stalin wygłosił słynną „kasztanową mowę", zapewniając, że ZSRS gotów jest ułożyć się z każdym państwem, niezależnie od jego ustroju. III Rzeszę przeciwstawił zachodnim demokracjom, które oskarżył o podżeganie do wojny z Niemcami. Marszałek Woroszyłow przedstawił prognozy, z których wynikało, że Francja i Wielka Brytania nie są w stanie sprostać Niemcom.

PAKT DIABŁÓW

Kalkulacja stawała się prosta, a droga do sojuszu otwarta. Trzeba było jeszcze tylko wymienić przeciwników zbliżenia na kluczowych posadach – na stanowisku ludowego komisarza spraw zagranicznych Litwinowa zastąpił Mołotow. Zaraz potem prace nad paktem ruszyły pełną parą, chociaż w tajemnicy. Stalin zerwał rokowania prowadzone z państwami zachodnimi dopiero, kiedy w sierpniu 1939 r. Hitler zgodził się na oddanie mu połowy Polski, części Łotwy i Estonii. Ribbentrop 23 sierpnia 1939 r przyleciał do Moskwy, by podpisać układ.

Po ostatnich uzgodnieniach Stalin wydał skromne przyjęcie, na którym zamiast szampanem, którego nie lubił, wychylił toast za zdrowie Hitlera szklanką wódki. Ten na wiadomość o podpisaniu paktu zaczął biegać po swoim gabinecie, uderzając pięściami w ściany i krzyczeć, że ma świat w kieszeni. „Porozumienie diabłów" weszło w życie. Los Polski został przesądzony.

Pakt liczył zaledwie siedem artykułów, które podane do publicznej wiadomości wywołały światową konsternację. Jednak prawdziwą bombą z nieco opóźnionym zapłonem był tajny protokół dodatkowy, regulujący „strefy wpływów" od Bałtyku do Morza Czarnego, de facto wyznaczający granice grabieży w razie wojny.

CIOSY Z DWÓCH STRON

Zaraz po niemieckiej agresji na Polskę do Berlina przybyła grupa sowieckich oficerów z gen. Maksymem Purkajewem na czele. Nawiązano bezpośrednią łączność między Wehrmachtem a Armią Czerwoną.

Już cztery godziny po ataku Niemcy zwrócili się do Sowietów o pomoc wojskową. Potrzeba stała się jeszcze bardziej paląca po wypowiedzeniu wojny Niemcom przez zachodnich aliantów. Hitler liczył na to, że Armia Czerwona odciąży Wehrmacht, a część jego sił będzie można

eprasa.pl 491d86afd3

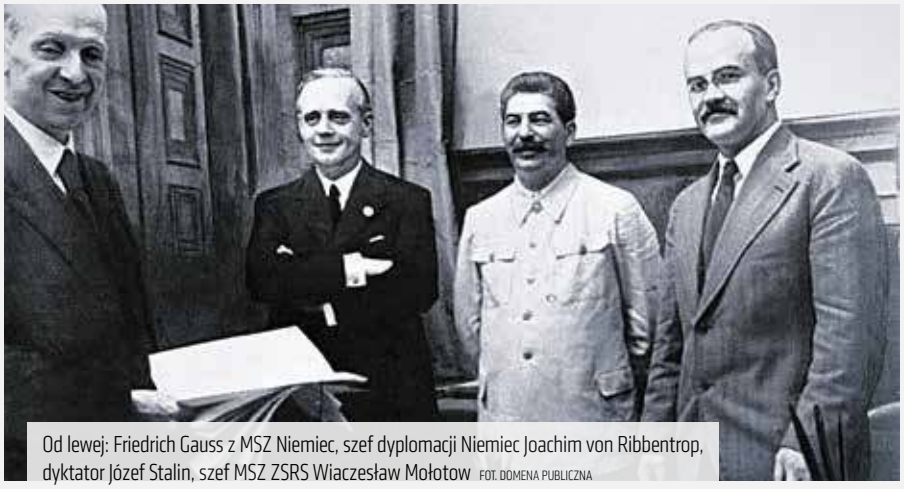

Od lewej: Friedrich Gauss z MSZ Niemiec, szef dyplomacji Niemiec Joachim von Ribbentrop, dyktator Józef Stalin, szef MSZ ZSRS Wiaczesław Mołotow FOT. DOMENA PUBLICZNA

przerzucić na zachód. Stalin jednak grał na zwłokę. Zmobilizowano jednostki przy granicy z Polską i rozpoczęto wielkie manewry, będące częścią planu agresji. Beria powołał specjalne grupy operacyjne NKWD, które pierwsze miały wkroczyć do Polski. 9 września 1939 r. Mołotow informował niemieckiego ambasadora, że Sowieci ruszą w ciągu kilku dni. Pięć dni później – że po całkowitym upadku polskich władz. Stalin czekał nie tylko na wynik kampanii Wehrmachtu w Polsce. Decyzję o wkroczeniu podjął po otrzymaniu informacji wywiadu o wynikach konferencji zachodnich aliantów w Abbeville z 12 września. Francja i Wielka Brytania postanowiły tam, że nie przyjdą Polsce ze zbrojną pomocą.

W końcu w nocy 17 września 1939 r. Stalin, Mołotow i Woroszyłow poinformowali niemieckiego ambasadora Schulenburga, że Sowieci wkroczą w ciągu kilku godzin. Ten zdążył jeszcze wnieść poprawki do sowieckiej noty informującej o interwencji, którą ok. drugiej w nocy zastępca ludowego komisarza spraw zagranicznych Potiomkin usiłował wręczyć polskiemu ambasadorowi.

Godzinę później wschodnią granicę Polski przekracza osiem sowieckich armii, liczących ponad 600 tys. żołnierzy, 4733 czołgi i 3298 samolotów. Polska, zaatakowana przez dwóch potężnych sąsiadów, nie miała żadnych szans. Po 17 września zadziwiająco silne morale polskiej armii zaczęło się załamywać. Masowo dezerterowali lojalni dotychczas poborowi pochodzenia białoruskiego i ukraińskiego. Na wieść o wejściu Sowietów i opuszczeniu kraju przez Naczelnego Wodza dowódcy rozpuszczali swoje oddziały, nie widząc szans na dalszą walkę. Działania przeciw Polsce zwieńczyła niemiecko-sowiecka defilada w Brześciu nad Bugiem 22 września. Maszerujące oddziały z trybuny honorowej pozdrawiali generałowie Heinz Guderian i Siemion Kriwoszein.

NAJLEPSI PRZYJACIELE

Pokonanie Polski bynajmniej nie zakończyło współpracy. Niecały tydzień później podpisano „Niemiecko-sowiecki układ o przyjaźni i granicy". W tajnych protokołach Litwę oddano ZSRS w zamian za Lubelszczyznę. Pod naciskiem Stalina Hitler zrezygnował z powołania kadłubowego polskiego państwa. Uzgodniono też współpracę w zakresie zwalczania „polskiej propagandy", po obu stronach nowej granicy. W wywiadzie dla „Prawdy" Ribbentrop powiedział, że przyjaźń sowiecko-niemiecka została teraz ostatecznie utrwalona, a strony nie dopuszczą państw trzecich do mieszania się w sprawy Europy Wschodniej.

Na podstawie zawartej jeszcze w sierpniu umowy handlowej do Niemiec popłynęła z ZSRS ogromna rzeka surowców. Dostawy m.in. rud miedzi, ołowiu, niklu, zbóż i roślin strączkowych opiewały na kwotę 650 mln marek. Bodaj najważniejszym surowcem była jednak ropa naftowa, bez której niemiecka machina wojenna stanęłaby w miejscu. Niemiecki dyplomata Karl Schnurre, który negocjował układ handlowy, nazwał go „szeroko otwartymi drzwiami na wschód".

Niemcy z kolei opieszale wywiązywali się ze swoich dosyć skromnych zobowiązań. Do początków 1941 r. sprzedali Rosjanom m.in. nieukończony krążownik „Lützow", 23 samoloty, dwa moździerze kalibru 210 mm i jeden egzemplarz czołgu PzKpfw III. Hitler osobiście zakazał przekazywania nowoczesnych typów uzbrojenia i jego planów.

Dwa reżimy współpracowały też na innych polach. Od samego początku wojny z Polską sowiecka radiostacja w Mińsku nadawała sygnały ułatwiające orientację niemieckim samolotom. Hitlerowskie okręty podwodne zaczęły korzystać z sowieckiej tajnej bazy „Nord" w pobliżu Murmańska, a w porcie tym chroniło się również wiele niemieckich statków i okrętów. Sowieckie lodołamacze w sierpniu 1940 r. przeprowadziły przez Przejście Północne niemiecki rajder „Komet", umożliwiając mu owocne operacje na Pacyfiku. Zabezpieczony od wschodu Hitler podczas inwazji na Francję utrzymywał przy granicy z ZSRS zaledwie kilka dywizji. Stalin wydał nawet władzom III Rzeszy 150 niemieckich komunistów, którzy schronili się w Sowietach przed nazistowskimi prześladowaniami.

W grudniu 1939 i w marcu 1940 r. w Krakowie i Zakopanem odbyły się wspólne odprawy władz niemieckich i sowieckich, dotyczące głównie przesiedleń ludności i wymiany jeńców. Kilkukrotnie spotykali się też funkcjonariusze NKWD i gestapo. Ich celem była prawdopodobnie koordynacja eksterminacji polskiej ludności, zwłaszcza elit i inteligencji oraz zwalczania ruchu oporu po obu stronach granicy. Protokoły z tych spotkań do dzisiaj nie zostały przez Rosjan odtajnione.

Zdarzały się też interwencje indywidualne. W ten sposób na prośbę Potiomkina trafiły do okupowanego przez ZSRS Lwowa córka Wandy Wasilewskiej oraz meble z jej warszawskiego mieszkania.

A KAŻDY BANDYTA MA ZA PLECAMI NÓŻ

Sojusz III Rzeszy z Krajem Rad był przez obie strony traktowany jako taktyczny, obliczony na zabezpieczenie doraźnych interesów, wynikających z sytuacji międzynarodowej. Kwestią czasu było, kiedy sojusznicy rzucą się sobie do gardeł. Pretekstem do rozluźniania stosunków była niemożność uzgodnienia podziału nowych nabytków terytorialnych. Już 14 października 1940 r. Stalin zatwierdził plan ataku na Niemcy. Hitler Dyrektywę nr 21, w sprawie zaplanowania ataku na ZSRS, podpisał 18 grudnia 1940 r. Od kwietnia 1941 r. dyplomatyczny świat żył już spodziewaną niemiecko-sowiecką wojną.

Mimo tego współpraca gospodarcza trwała w najlepsze. Ostatnie dostawy sowieckich surowców dotarły kilkadziesiąt minut przed wybuchem wojny. Jedną z przyczyn tak ścisłego sojuszu dwóch wrogów była kwestia polska. Potwierdził to sam Stalin, kiedy w czerwcu 1945 r. wypowiedział znamienne słowa: „Ważniejsze od pokonania Niemiec jest zdobycie Polski". Jego najlepszy sojusznik – Adolf Hitler – gdyby żył, pewnie przyznałby mu rację.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

Jak opowiedzieć o dramacie Polaków

Anna Szczepańska

Polskie instytucje, a także osoby prywatne podejmują różne działania, aby przybliżyć odbiorcom zagranicznym cierpienia Polski i Polaków pod dwoma totalitaryzmami. Wciąż istnieje wielka potrzeba mówienia o polskich dziejach, gdyż prawda – jak pokazują to zwłaszcza ostatnie lata – nie dociera do wszystkich

Dużą pracę na rzecz przybliżenia polskiej historii wykonuje w ostatnim czasie Instytut Pileckiego (Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego). Aktualnie prowadzi on program skierowany do absolwentów i doktorantów z USA zainteresowanych historią Europy Środkowo-Wschodniej. Uczestnicy programu będą mogli zapoznać się z dziejami totalitaryzmów w naszym regionie, a także odwiedzą Polskę.

Inne projekty skierowane są do nauczycieli z zagranicy oraz do uczniów i studentów z USA i Kanady. Inicjatywa Pilecki Project zakłada zapoznanie z dziejami Holokaustu oraz rolą Polski w czasie drugiej wojny światowej i jej walką przeciwko dwóm totalitaryzmom. Na temat dziejów Polski w trakcie drugiej wojny światowej opowiada Międzynarodowe Centrum Edukacji o Auschwitz i Holokauście istniejące przy Muzeum Auschwitz-Birkenau. Jego działania w ostatnim czasie to np. Akademia Letnia dla uczniów z zagranicy, seminarium on-line dla nauczycieli z Ukrainy oraz wystawa „Auschwitz. Nie tak dawno. Nie tak daleko" prezentowana w różnych miastach USA. We współpracy z muzeum działa także Krajowy Instytut Auschwitz-Birkenau w Hiszpanii, którego zadaniem jest szerzenie wiedzy na temat obozu.

Pewne działania promujące prowadzi także Polska Fundacja Narodowa. Są to m.in. filmy pokazywane za granicą, głównie w Stanach Zjednoczonych: „The Royal Tour" i „Hidden Poland". Obecnie wciąż trwają prace nad filmem „Raport Pileckiego", który choć zapowiadany na rok 2021, nie miał jeszcze premiery. PFN przy współpracy z innymi instytucjami organizuje wystawy plenerowe za granicą, dotyczące np. udziału Polaków w bitwie pod Monte Cassino oraz kampanie informacyjne na temat wyzwolenia obozu Auschwitz. Artykuły na temat obozu ukazały się w licznych gazetach na całym świecie.

Godną uwagi akcją jest stworzona niedawno przez europosła Patryka Jakiego strona internetowa dostępna w języku angielskim, poświęcona pamięci Rzezi Woli (thewolamassacre.com). Celem tej inicjatywy jest unaocznienie odbiorcom zagranicznym skali zbrodni popełnionych przez Niemców na narodzie polskim w trakcie drugiej wojny.

Inna ciekawa strona internetowa w całości po angielsku (polishhistory.com) prowadzona jest przez Muzeum Historii Polski. Znaleźć na niej można głównie, choć nie tylko, teksty dotyczące dziejów najnowszych Polski. Dla osób z zagranicy jest to ciekawe i rzetelne źródło informacji. Sama strona Muzeum Historii Polski jest również dostępna po angielsku, co, niestety, wciąż nie jest praktyką powszechną wśród serwisów internetowych polskich instytucji.

FOT. ADOBE STOCK

Ukazujące się co jakiś czas za granicą kłamliwe teksty dotyczące Polski, zwłaszcza jej XX-wiecznych dziejów, wymagają ciągłego prostowania. Jednym z najczęściej pojawiających się kłamstw jest twierdzenie o „polskich obozach śmierci". W walkę przeciwko tym oszczerstwom włączyło się grono prywatnych osób, które tylko dzięki zbiórkom internetowym zorganizowały kampanię „German Death Camps". W Europie Zachodniej i USA pojawiły się billboardy oraz ciężarówki oklejone plakatami z tym hasłem, wskazując, że to nie Polska odpowiada za zbrodnie niemieckich nazistów.

Na koniec warto jeszcze wspomnieć o publikacjach książkowych na temat różnych aspektów dziejów Polski w XX w., które ukazują się w języku angielskim, niemieckim oraz w innych językach (nawet chińskim). Wydawane są m.in. przez IPN, Instytut Pileckiego, Muzeum II Wojny Światowej, Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Wymienione inicjatywy nie są oczywiście jedynymi, które opowiadają o Polsce i Polakach doświadczonych przez dwa totalitaryzmy, pomimo sporej liczby takich projektów nie ustaje potrzeba opowiadania światu o naszej historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

Łukasz Warzecha

Ludzie z lewicowej kalki

Lewica, jak się wydaje, dobrze dzisiaj wyczuwa mentalne zapotrzebowanie młodzieży, dając jej łatwe i proste powody do osiągania szybkiej moralnej satysfakcji, co ogromnie ułatwiają media społecznościowe

Co by pan doradzał w związku z tym, że wśród młodych ludzi jest coraz więcej osób zafascynowanych socjalizmem?" – zapytał Leszka Balcerowicza podczas Campusu Polska Przyszłości pewien przedstawiciel młodego pokolenia. Przykładów nie trzeba było daleko szukać – były tuż obok. Wśród pytań, które padały z widowni, większość dotyczyła spraw takich jak rozkręcona inflacja czy wejście do euro (tu, nawiasem mówiąc, Balcerowicz stwierdził, że nie jest to sprawa pierwszej wagi). Były jednak również te bardzo charakterystyczne dla lewicowego instrumentarium.

Interesująca była konfrontacja byłego ministra finansów i szefa NBP z młodą kobietą, która spytała, jakie działania powinno się podjąć, żeby „zwalczać nierówności majątkowe". Leszek Balcerowicz spytał w odpowiedzi: „A obecnie nierówności majątkowe są problemem?". Rozległy się wątłe oklaski. „Czy każde nierówności majątkowe są problemem?" – pytał dalej ekonomista. „A jakie są optymalne nierówności majątkowe? Najbogatszy nie może mieć więcej niż dwa razy majątek najbiedniejszego?".

WSPÓLNY WRÓG LEWICY I PIS

To był jeden z najciekawszych momentów całego Campusu, choć mało kto go dostrzegł. Tymczasem ta sytuacja pokazała, jakimi schematami myślowymi posługuje się przynajmniej część gości platformerskiej imprezy, którzy przecież w zamyśle jej organizatorów mają zapewne stanowić zaplecze kadrowe PO, a przynajmniej jej lewego skrzydła, opartego na Trzaskowskim. Dziewczyna, która zadała pytanie Balcerowiczowi, za oczywistość niewymagającą dowiedzenia uznała, że nierówności majątkowe są same z siebie złem – i jest to dogmat współczesnej lewicy, zaczytującej się lub przynajmniej powtarzającej w formie haseł mądrości wzięte z „Kapitału" Thomasa Piketty'ego. Książki, którą – warto przypomnieć – zachwalał swego czasu także Jarosław Kaczyński.

Balcerowicz zareagował jak klasyczny liberał, nieuznający tego typu aksjomatów. I trudno nie przyznać mu racji, ponieważ nierówności są naturalną częścią gospodarki opartej na wolnym rynku, a same w sobie nie są ani złe, ani dobre – są po prostu faktem. Do ich mierzenia używa się najczęściej parametru zwanego współczynnikiem Giniego, lecz nawet jeśli wykazuje on duże nierówności dochodów, to wciąż nie znaczy to, że jest to złe samo z siebie. Nierówności mogą pełnić funkcję mobilizacyjną, podczas gdy z kolei ich gwałtowna redukcja łączy się zwykle z negatywnymi momentami historii, takimi jak wojny albo ostre kryzysy.

Co ciekawe, po spotkaniu Leszka Balcerowicza z młodzieżą na Campusie Polska komentarze w mediach prorządowych oraz opozycyjnych o lewicowym przechyle były podobne: arogancki i oderwany od obecnych realiów dinozaur liberalizmu potraktował młodych ludzi z góry. Nic dziwnego – zarówno dla lewicowej opozycji, jak i mediów sprzyjających PiS klasyczny liberalizm jest tak samo wrogiem.

Lewicowi komentatorzy nie mogli zwłaszcza wybaczyć założycielowi Fundacji Obywatelskiego Rozwoju jego starcia z młodym aktywistą, który zapytał o komunikat FOR z 2014 r. Zrelacjonowano w nim – zgodnie z prawdą – że poglądy na przeważające przyczyny globalnych zmian klimatu są zróżnicowane, a przeto ostry kurs na tłumienie wzrostu gospodarczego nie wydaje się wystarczająco uzasadniony. Młodzieniec określił tę publikację jako „klimatyczny denializm" (polskim odpowiednikiem jest „negacjonizm") i z pretensją pytał, dlaczego Balcerowicz się na to zgodził.

Był to drugi arcyciekawy moment spotkania, ponieważ na tle owego młodzieńca były prezes NBP – mający utrwalony wizerunek apodyktycznego aroganta, forsującego swoje poglądy jako jedynie słuszne – wystąpił jako obrońca otwartej debaty. Nie tylko stwierdził, że nie można nikogo potępiać za informowanie o rzeczywistym stanie rzeczy, czyli istniejącej różnicy poglądów, lecz także skrytykował używanie pojęcia „denializm klimatyczny", porównując jego stosowanie do reakcji sekty na wykroczenie przeciwko jej wierzeniom.

eprasa.pl 491d86afd3

Postępowa młoda lewica aż się zagotowała. Mogliśmy przeczytać, że Balcerowicz jest człowiekiem z przeszłości i że nie umie rozmawiać z młodymi ich językiem. W rzeczywistości jednak wcale nie chodziło tu o język, lecz o odmowę zaakceptowania obowiązującej narracji. Ten moment Campusu Polska pokazał, że pomiędzy jakąś częścią młodej klienteli opozycji a klasycznymi liberałami nie ma ani zrozumienia, ani chemii, ani sympatii. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że przy wszystkich różnicach politycznych Leszek Balcerowicz zebrałby większe oklaski na spotkaniu młodych sympatyków Konfederacji – a przynajmniej jej wolnorynkowego skrzydła.

Niektóre momenty Campusu Polska pokazały, że pomiędzy jakąś częścią młodej klienteli opozycji a klasycznymi liberałami (na zdjęciu: spotkanie z Leszkiem Balcerowiczem) nie ma ani zrozumienia, ani chemii, ani sympatii FOT. ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER

PLUSZOWY KRZYŻ

Ten epizod z Campusu Polska nie powinien jednak być zaskoczeniem dla nikogo, kto uważnie śledzi, wokół jakich idei obraca się dzisiaj aktywizm dużej części młodego pokolenia, i dostrzega, że jest to aktywizm oparty w większości na emocjach. Podczas kongresu projektu Polska 2050 Szymona Hołowni miała miejsce swego rodzaju dogrywka do sytuacji z imprezy PO. W czasie wystąpienia lidera na scenę weszło troje bardzo młodych ludzi (na oko mających poniżej 20 lat) z transparentami Grinpicu „Polska bez węgla w 2030 r.". Hołownia, który całą swoją opowieść oparł na podkreślaniu swej „zieloności" i przez wszystkie przypadki odmieniał zwrot „zielona demokracja", zmuszony był jednak zdystansować się wobec tego jawnie nierealnego postulatu. Zwracając się do klimatystów z pozorną atencją, pochwalił ich, przyznał im co do zasady rację, ale powiedział, że natychmiast kupi ich pomysł, jeżeli powiedzą mu, w jaki sposób osiągnąć cel odejścia od węgla już w 2030 r. bez krwawych niepokojów społecznych. Na to aktywiści, rzecz jasna, odpowiedzi już nie mieli.

Nie tylko tych troje – na którykolwiek ruch klimatystyczny byśmy dzisiaj w Polsce i poza nią popatrzyli, zobaczymy dwie rzeczy. Pierwsza: że ich najbardziej widoczną część tworzą ludzie młodzi albo nawet bardzo młodzi, w wieku szkoły średniej. Druga: że za przedstawianymi w skrajnie emocjonalnej formie postulatami nie idzie żaden namysł nad ich skutkami ani żadna koncepcja, jak je wprowadzić w życie bez druzgocących skutków gospodarczych i społecznych.

To jednak lewica, jak się wydaje, dobrze dzisiaj wyczuwa mentalne zapotrzebowanie młodzieży, dając jej łatwe i proste powody do osiągania szybkiej moralnej satysfakcji, co ogromnie ułatwiają media społecznościowe. Chcesz ratować świat? Walcz o klimat, potępiając „denialistów klimatycznych". Nie trzeba wiele robić – wystarczy pojawić się tu i tam z transparentem, zapełnić swoje media społecznościowe odpowiednimi wpisami i zdjęciami, ewentualnie można się przykleić do jakichś ministerialnych drzwi, a docenią cię i Szymon Hołownia, i Donald Tusk, nawet jeśli ten ostatni trochę niechętnie. Chcesz pokazać, że sprzeciwiasz się okrucieństwu? Rzucaj gromy na myśliwych, hodowców norek i w ogóle rolników, którzy „dręczą" zwierzęta, trzymając je w swoich gospodarstwach w zamknięciu lub na uwięzi. Wreszcie – chcesz się pochwalić swoją wrażliwością na niedostatek innych? Potępiaj nierówności, za niskie podatki dla „bogaczy" i domagaj się sprawiedliwości społecznej.

Rzecz jasna, te przejawy „aktywizmu" nie wejdą nigdy na poziom, na którym młodzi ludzie zaczęliby odczuwać sami lub nawet dobrowolnie mieliby się poddać skutkom własnych żądań: odczuć radykalne zbiednienie własnej rodziny, stracić kieszonkowe, przestać kupować nowe ubrania i sprzęty elektroniczne, wyrzec się podróżowania, płacić za „ekologiczną" żywność trzy razy tyle co za tradycyjną. Ten „aktywizm", nad którym tak rozpływał się z kongresowej sceny Hołownia, ogłaszając, że chce dać prawo głosu 16-latkom, to klasyczny pluszowy krzyż: maksimum moralnej satysfakcji przy minimum wysiłku umysłowego i praktycznie żadnych wyrzeczeniach.

ZMANIPULOWANI

A jednak odnosi to skutek. Ubiegłoroczny sondaż CBOS poglądów Polaków w wieku od 18 do 24 lat pokazał pierwszy raz w 20-letniej historii tych badań, że największy odsetek respondentów ma poglądy lewicowe. Dotychczas, począwszy od 2003 r., lewicowość przegrywała nie tylko z poglądami centrowymi oraz niesprecyzowanymi, lecz także prawicowymi. Gwałtowny zwrot nastąpił w 2019 r.

Można się oczywiście zastanawiać, jak CBOS oraz sami badani definiują prawicowość i lewicowość – czy za „prawicowe" są uznawane poglądy zbieżne z linią obecnej władzy, co byłoby jednak sporym nadużyciem – lecz i tak wynik daje do myślenia.

Przez lata panowało przekonanie, skądinąd zapewne trafne, że może młodzi są w jakiejś części lewicowi, ale w miarę dojrzewania, przejmowania odpowiedzialności za bliskich, zdobywania doświadczenia życiowego i majątku stają się w naturalny sposób konserwatywni, a jednocześnie bardziej liberalni gospodarczo. To już dziś może być założenie fałszywe. Winnych może być wiele czynników. Między innymi szkoła, która rezygnując z nauczania pamięciowego i linearnego, zrezygnowała tym samym z nauki klasycznego rozumowania i wnioskowania. Wskutek tego młodzi ludzie stali się znacznie podatniejsi na emocjonalne manipulacje. W Polsce duże znaczenie może też mieć natrętna, nieumiejętna, nachalna promocja sztampowego patriotyzmu, prowadzona od 2015 r., co musiało wywołać skutek odwrotny od zamierzonego.

Nawet jeżeli – co niemal pewne – Hołowni nie uda się wprowadzić czynnego prawa wyborczego od 16. roku życia (wymagałoby to zmiany konstytucji), to w kolejnych wyborach będzie głosować coraz więcej ludzi wychowanych na bezmyślnym kalkowaniu lewicowych dogmatów ekonomicznych czy społecznych. Skutki mogą być katastrofalne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

Jakie są prawdziwe motywacje decyzji papieża?

FOT. ADOBE STOCK

Paweł Chmielewski

Wokół motu proprio „Traditionis custodes" dotyczącego mszy w tzw. rycie trydenckim panuje ogromna dezinformacja. Za oficjalną wersją wydarzeń kryje się o wiele bardziej ponura rzeczywistość

Historia, którą przedstawiła nam Stolica Apostolska, brzmi w największym skrócie następująco: ojcowie Soboru Watykańskiego II chcieli reformy liturgii, która zrealizowana została przez posoborową komisję i św. Pawła VI. Niestety, część katolików powodowanych „nostalgią" nie chciała nowej mszy do tego stopnia, że niektórzy pod wodzą abp. Marcela Lefebvre'a nie wahali się przed krokami skutkującymi oskarżeniem ich przez Watykan o schizmę. Papieże Jan Paweł II i Benedykt XVI chcieli zażegnać spory, dlatego warunkowo dopuścili w Kościele rzymskim sprawowanie liturgii według mszału z 1962 r. Ich nadzieje jednak zawiodły. Pomylił się zwłaszcza Benedykt XVI, który ogłaszając w 2007 r. motu proprio „Summorum pontificum", wierzył w dobre intencje tradycjonalistów. Okazało się jednak, że to w dużej mierze ludzie krnąbrni i naruszający jedność Kościoła. Dlatego zatroskany papież Franciszek, po konsultacji z biskupami z całego świata, 16 lipca 2021 r. wydał motu proprio „Traditionis custodes" i odwołał decyzje swoich poprzedników, utrudniając sprawowanie mszy trydenckiej oraz wyrażając pragnienie, by w przyszłości nie było jej w ogóle, tak by w Kościele zapanowała wielka jedność liturgiczna.

Tę historię – pełną monstrualnych uproszczeń także w jej warstwie „historycznej", dotyczących lat posoborowych – w Polsce niemal bezkrytycznie przedstawiły wiernym największe kościelne gazety. Tłumaczenia Franciszka przekonały też najwyraźniej niektórych biskupów. Przykładem jest choćby biskup pomocniczy archidiecezji warszawsko-praskiej Jacek Grzybowski. Hierarcha udzielił niedawno wywiadu „Teologii Politycznej Co Tydzień", w którym nie tylko zaprezentował genezę „Traditionis custodes" w pełni zbieżną z oficjalną narracją, lecz także wyraził się krytycznie o tych katolikach, którzy np. przyjmują Komunię Świętą na kolanach w tych parafiach, w których zwyczajowo przyjmuje się ciało Chrystusa na stojąco. W wywiadzie dla tego samego tytułu głos zabrał też biskup pomocniczy warszawski Michał Janocha, który raczył był określić mszę trydencką jako wyraz tradycji liturgicznej mającej 400 lat, bo – jak stwierdził – wcześniej było inaczej, to znaczy w pierwszych wiekach liturgia miała być „spontaniczna". W obu wywiadach podobnych „kwiatków" jest więcej, nie chcę odnosić się do nich szczegółowo, bo jestem przekonany, że różnego rodzaju nieścisłości, które tam się wkradły, związane są po prostu z wyzwaniami chwili obecnej – biskupi mają po motu proprio Franciszka niemało

eprasa.pl 491d86afd3

pracy, utrudniając w swoich diecezjach sprawowanie liturgii w dawnym rycie gwoli budowy jedności, pokoju i zgody w Kościele. Chciałbym zwrócić uwagę jedynie na jeden aspekt całej sprawy, a mianowicie podjąć próbę odkłamania narzuconej nam przez samego Ojca Świętego opowieści o motywach, które stoją za „Traditionis custodes".

PROROK GRILLO

Papież Franciszek powiedział nam, że jego list został wydany po konsultacjach z biskupami z całego świata. Rzeczywiście, w marcu 2020 r. Kongregacja Nauki Wiary wysłała do wszystkich ordynariuszy ankietę, prosząc ich o przedstawienie oceny realizacji motu proprio Benedykta XVI.

Jednak wszyscy obserwatorzy życia kościelnego pamiętają, że obecny następca św. Piotra miał zwyczaj już nieco wcześniej publicznie narzekać na „sztywność" i „rygoryzm" zwolenników liturgii tradycyjnej. Już w roku 2016 – a więc cztery lata przed wysłaniem wspomnianej ankiety, która miałaby jakoby przesądzać o konieczności wprowadzenia ograniczeń – wyjawił, że jego zdaniem młodzi ludzie, którzy garną się do mszy trydenckiej, pozbawieni są „prawdziwej miłości", a motywują ich raczej „poczucie zagrożenia" i „skostniałość". Wkrótce wypowiedział też zdanie, które było szeroko komentowane w konserwatywnych mediach katolickich: „Reforma liturgiczna jest nieodwracalna".

We własnym kręgu Ojciec Święty narzekał chyba na tradycjonalistów jeszcze bardziej. Do tego stopnia, że już w roku 2017 jeden z najbardziej wpływowych włoskich liberalnych teologów zapowiedział, że „Summorum pontificum" zostanie niedługo odwołane… Był to Andrea Grillo, wykładowca Papieskiego Instytutu Liturgicznego Świętego Anzelma w Rzymie. Grillo w cytowanej wypowiedzi ogłosił, że Franciszek jest zdeterminowany, by anulować dokument swojego poprzednika, a czeka tylko na to, aż ten umrze. Profesor gorąco popierał plany papieża – we Włoszech od dawna prowadził swoistą antytrydencką krucjatę.

Nic dziwnego, że liturgia przedsoborowa nie leży temu „wybitnemu" teologowi. Uczony jest przecież otwarty na postulat udzielania błogosławieństwa parom homoseksualnym, wprowadzenia diakonatu kobiet czy zrewidowania nierozerwalności małżeństwa. Trudno te wszystkie elementy wkomponować w starą mszę, nieprawdaż? Tym bardziej że msza wczech czasów pełna jest wyrazów najwyższego kultu dla Eucharystii, a prof. Grillo nie jest bynajmniej przekonany o realnej obecności ciała i krwi Jezusa Chrystusa pod postaciami eucharystycznymi. Podkreśla, że transsubstancjacja to nie jest dogmat.

Andrea Grillo już w 2017 r. ogłosił, że los „Summorum pontificum" jest przesądzony, Franciszek deklaruje „nieodwracalność" reformy

Andrea Grillo już w roku 2017 ogłosił, że los „Summorum pontificum" jest przesądzony, Franciszek deklaruje „nieodwołalność" reformy. Z perspektywy czasu to właśnie tamten okres można przedstawić jako moment, w którym powstaje „Traditionis custodes", nawet jeżeli napisano je dopiero później. Tezę, że wszystko zostało obmyślone wcześniej, potwierdza też fakt kolejnej publikacji Grilla – z marca 2020 r. Tuż po rozesłaniu do biskupów ankiety z pytaniami o „Summorum pontificum" włoski teolog miał już gotowy plan działania na rzecz jego usunięcia. W jednym z artykułów zaproponował Franciszkowi przekazanie pełni władzy nad liturgią Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów oraz biskupom ordynariuszom. Postulował też całkowite usunięcie pozostałości po komisji Ecclesia Dei, którą w 1988 r. Jan Paweł II utworzył na potrzeby dialogu ze środowiskami tradycyjnymi. W „Traditionis custodes" Franciszek spełnił te postulaty jeden do jednego. Prorok, ten Grillo? Chyba tak – bo w momencie, w którym opublikował swój artykuł, Kongregacją Kultu Bożego kierował kard. Robert Sarah, zwolennik linii Benedykta XVI. Teoretycznie w tej sytuacji żadnych zmian nie należało się spodziewać. Sarah czekał jednak na przejście na emeryturę i Grillo musiał wiedzieć, że ten, kto go zastąpi, będzie miał zupełnie inne podejście. Tak stało się w istocie.

GRUPA Z SANKT GALLEN

W styczniu 2021 r. papież Franciszek wymienił skład Kongregacji. Kardynała Saraha zastąpił abp Arthur Roche, Brytyjczyk, protegowany kard. Cormaca Murphy'ego-O'Connora, jednego z członków wpływowej grupy z Sankt Gallen – tej samej, która na konklawe w latach 2005 i 2013 promowała kandydaturę Jorge Maria Bergoglia. Sekretarzem Kongregacji został bp Vittorio Viola, wykładowca tej samej uczelni co prof. Grillo, rzymskiego Anselmianum. Mentorem bp. Violi był bp Luca Brandolini, współpracownik abp. Bugniniego. Bugnini przekazał swój pierścień biskupi Brandoliniemu, Brandolini z kolei – Violi. Podsekretarzem Kongregacji Franciszek uczynił z kolei ks. Aurelia Garcíę Macíasa, który na Anselmianum uzyskał doktorat.

Nowa ekipa natychmiast wzięła się do roboty. Nie musiała przejmować się ankietą – jej wyniki zostały przez Watykan utajnione, zatem można było z pełnym spokojem zrealizować napisany już dawno na Anselmianum plan. Tak się stało. Najpierw w marcu 2021 r. niemal całkowicie wyrzucono z bazyliki św. Piotra mszę trydencką, a wreszcie w lipcu ogłoszono feralne motu proprio. Gotowe. A tym, którzy sarkaliby, że to dyshonor wobec Benedykta, można zawsze powiedzieć: taka była wola biskupów na świecie, przeprowadziliśmy przecież badanie ankietowe. Kto chce, niech wierzy. W świetle powyższych informacji uważam to jednak za naiwność.

Rozumiem, że biskupi, także w Polsce, pragną wyjść naprzeciw oczekiwaniom Ojca Świętego. Nauczanie Kościoła wzywa przecież wszystkich katolików do tego, by okazywali posłuszeństwo następcy św. Piotra także wtedy, gdy nie przemawia ex cathedra.

To posłuszeństwo nie może jednak zastępować ani eliminować krytycznego namysłu. Tymczasem w świetle przedstawionej wyżej – jak sądzę, prawdziwej – genezy „Traditionis custodes" uzasadnione jest nabranie poważnych wątpliwości co do zasadności wprowadzanych przez papieża rozstrzygnięć. Wygląda bowiem na to, że nawet jeżeli u ich źródła znajduje się duszpasterska troska Franciszka, to zarazem nie brakuje tam również solidnego ładunku radykalnej ideologii określonych gremiów eksperckich.

Biskupi mogą użyć swojej władzy na różne sposoby, także po to, by tę sprawę wyważyć i oddzielić słuszne intencje od tych niewłaściwych. Pochopnie podjęte decyzje wprowadzające surowe ograniczenia można jeszcze zmienić. Tego wszystkim życzę, o to proszę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

Więzienie na Białołęce, 1982 r.
FOT. ARCHIWUM TOMASZA MICHALAKA/FOTONOVA

Internowanie na Białołęce

Tomasz Cukiernik

Z obozu na Białołęce Stanisław Michalkiewicz napisał do gen. Wojciecha Jaruzelskiego list, w którym odnosił się do zarzutu działalności antysocjalistycznej, pod którym został internowany, błyskotliwie sprowadzając go do absurdu. Oczywiście żadnej odpowiedzi na ten list nie otrzymał

Po wprowadzeniu stanu wojennego przez pewien czas Stanisław Michalkiewicz ukrywał się, bo myślał, że zostanie wezwany na milicję. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Zaskoczyło go to. Sądził nawet, że to jakiś podstęp ze strony SB, żeby go skompromitować w jego środowisku. Zdaniem jednego z esbeków nieinternowanie dziennikarza po 13 grudnia 1981 r. było niewątpliwym przeoczeniem, bo „Michalkiewicz nie zaniecha nigdy swojej działalności politycznej – taką ma naturę". Dopiero 10 maja 1982 r. inspektor MSW, który prowadził dochodzenie w sprawie Michalkiewicza o kryptonimie Sten, zaproponował zatrzymanie go na 48 godzin lub nawet internowanie. Chodziło o to, aby nie mógł wziąć udziału w uroczystości kościelnej i manifestacji pod pomnikiem Orląt Lwowskich, w których co roku uczestniczył.

I rzeczywiście, 12 maja o godz. 8.30 w mieszkaniu Michalkiewicza w towarzystwie umundurowanego milicjanta pojawił się esbek.

– Gdy przyszli po ojca w celu internowania, to starał się sprawnie wyjść, żeby się nie rozglądali i nie zrobili przeszukania, bo mieliśmy w domu bibułę – wspomina Mateusz Michalkiewicz.

Składano tam wówczas pierwszy numer „Wezwania".

Funkcjonariusz w stopniu podpułkownika był tak skacowany, że aż litość brała. Widać było, że się męczy. Poszli na komendę milicji na Ursynowie. Podczas przesłuchania można się było zorientować, że nic o Michalkiewiczu nie wie. Spytał go, czy teraz też odmówi podpisania warunków zaproponowanych mu przez komisję weryfikacyjną w „Zielonym Sztandarze", na co Stanisław Michalkiewicz odpowiedział, że tak. Z kolei na pytanie, co sądzi o wzywaniu i angażowaniu młodzieży do działań skierowanych przeciwko porządkowi publicznemu, a nawet ustrojowi, odpowiedział, że młodzież ma prawo do prawdziwej historii i wolności swej ojczyzny, a obecna historia jest zakłamana.

PIERWSZA NOC NA DOŁKU

Po tej wstępnej rozmowie odwieziono Michalkiewicza do Komendy Dzielnicowej MO Warszawa-Mokotów i osadzono w areszcie. Jednocześnie zaproponowano internowanie go w związku z faktem, że opozycjonista zachowuje postawę negatywną wobec obecnej rzeczywistości.

Funkcjonariusze dali mu ostatnią szansę. Podczas przesłuchania została mu przedstawiona propozycja współpracy z bezpieką. W pewnym momencie esbek powiedział tak:

– Panie Michalkiewicz, a może byśmy wspólnie budowali Polskę… – zrobił przerwę – ale socjalistyczną? – Pogroził mu palcem przed nosem, żeby zdał sobie sprawę z konsekwencji odmowy.

– Proszę pana, ja się na budownictwie nie znam, ale wiem, że w Biurze Politycznym PZPR jest Albin Siwak. On jest majstrem budowlanym, to z nim budujcie Polskę socjalistyczną – odpowiedział.

– Taaak? A to jedziemy do pałacu Mostowskich [Komenda Stołeczna MO].

Tak się ta próba werbunku skończyła.

– To trochę zabrzmiało groźnie, bo nie było wiadomo, po co tam pojedziemy i czym się to skończy, ale okazało się, że z powodu kaca nie miał jeszcze decyzji o internowaniu i skierowaniu mnie na Białołękę – opowiada redaktor.

Decyzję nr 251 o internowaniu w Ośrodku Odosobnienia na Białołęce podpisał komendant wojewódzki MO. W uzasadnieniu napisał, że po 13 grudnia 1981 r. Michalkiewicz uczestniczył w działalności antysocjalistycznej wymierzonej przeciwko interesom wewnętrznym PRL.

Noc z 12 na 13 maja Michalkiewicz spędził na dołku (tymczasowa cela dla zatrzymanych) w komendzie. W niewielkim pomieszczeniu siedziało ośmiu stłoczonych aresztantów. Były tam tzw. dechy, czyli coś w rodzaju legowiska. Aresztowani dostali trzy koce i spali ściśnięci obok siebie. Było tak ciasno, że wszyscy musieli się przewracać równocześnie, bo pojedynczo by się nie udało.

Kiedy pierwszy raz celę odwiedził profos (podoficer aresztu), pytał każdego o powód zatrzymania. Michalkiewicz odpowiedział, że nie wie, bo rzeczywiście jeszcze nie wiedział. Potem profos zapytał włamywacza, a ten również powiedział, że nie wie. Wtedy uznał, że aresztanci kpią z niego, i krzyknął do recydywisty:

– Co jest, kur.a? Jak się odpowiada?! Naucz się odpowiadać prawidłowo: „Podejrzewają mnie o kradzież, panie plutonowy, ale to chu.a prawda". Powtórz!

eprasa.pl 491d86afd3

Na dołku siedział m.in. 21-latek, ale już recydywista. Zdążył dostać jeden wyrok, a teraz zatrzymano go za kradzież. Nabrał zaufania do Michalkiewicza i radził się go w sprawach życiowych. Miał jakiś problem z narzeczoną i zwracał się do Michalkiewicza per „zgredzie”, ale to nie było złośliwe.

– Zgredzie, to jak to tam tego? – pytał.

I Michalkiewicz mu odpowiadał.

– Przekonałem się, że złodzieje są najbardziej zdemoralizowani, bo jak zawieruszyły mu się papierosy, wezwał profosa i ten nas po kolei obszukiwał. Siedzieliśmy przecież razem w celi! No świnia. Nie znalazł tych papierosów. Prawdopodobnie już je wypalił. Straciłem do złodziei wszelkie romantyczne sentymenty – wspomina Michalkiewicz.

Regulamin przewidywał, że rano profos otwiera celę i na 15 minut aresztanci idą do toalety. Jeśli ktoś nie zdążył załatwić sprawy, to miał problem, bo potem już nie było takiej możliwości.

AMBASADA PRZY SPACERNIAKU

Michalkiewicz spędził w celi dzień, noc i następnego dnia ok. godz. 11 zabrali go do pałacu Mostowskich. Wjechali na dziedziniec. Michalkiewicz siedział w radiowozie i pilnował go milicjant, a inspektor poszedł po brakujące do internowania dokumenty. Nie było go przez półtorej godziny, a kiedy wrócił z papierami, pojechali prosto na Białołękę.

W notatce inspektora czytamy: „Decyzję o internowaniu przyjął bez żadnych protestów. Na sugestię, że czas pobytu w ośrodku uzależniony jest od jego postawy, tj. rozsądku politycznego, zareagował, że wszystko jest w ręku Boga. Podkreślił, że jest wierzącym i praktykującym katolikiem i z pokorą przyjmuje swój los. Wyjaśnił również, że nie życzy sobie jakichkolwiek odwiedzin i rozmów z SB. Nie miał również żadnych zleceń do przekazania rodzinie. Mimo takiej postawy internowanego proponuję rozmowę z nim po 10-dniowym pobycie w ośrodku”.

Z obozu na Białołęce Michalkiewicz napisał do gen. Wojciecha Jaruzelskiego list, w którym odnosił się do zarzutu działalności antysocjalistycznej, pod którym został internowany, błyskotliwie sprowadzając go do absurdu. Argumentował to tym, że Lenin, którego autorytetu ani kompetencji w tej sprawie nikt chyba nie ośmieli się podważać, zdefiniował socjalizm jako „władzę radziecką plus elektryfikację całego kraju”. Tymczasem on nigdy nie był przeciwny elektryfikacji, zwłaszcza całego kraju, a po drugie gen. Jaruzelski wielokrotnie podkreślał, że stan wojenny nastał w wyniku jego suwerennej decyzji, a nie zarządzenia władzy radzieckiej, z którą Polska jest tylko związana międzypaństwowym sojuszem. Zatem u nas żadnej władzy radzieckiej nie ma, więc nie mógł prowadzić działalności antysocjalistycznej. Oczywiście żadnej odpowiedzi na ten list nie otrzymał.

W niedziele księża odprawiali msze, a w ostatniej celi odbywała się spowiedź. Przychodził bardzo porządny jezuita o. Andrzej Zarzycki – mężczyzna wielkiej postury, miał pseudonim Słoń. Był poczciwy i naiwny. Raz kogoś spowiadał, a na ścianie w sali widniał napis: „Wszyscy ubecy to chu.e”. Zrobił na nim wrażenie i podczas kazania powiedział: „Jak wy piszecie, że ci ubecy to chu.e, to oni sobie pomyślą, że wy też jesteście tacy sami chu.e”.

– Pierwszy raz słyszałem, żeby ksiądz podczas kazania rzucał chu.ami – wspomina Michalkiewicz.

Kiedy skończyła się msza, podszedł do księdza internowany Bąk.

– Proszę ojca, proszę zachować poczucie rzeczywistości. To nie my ich trzymamy, tylko oni nas.

Wtedy o. Zarzycki trochę się zawstydził.

Obowiązkowo wychodziło się też na spacerniak. Przy spacerniaku stał budynek administracyjny, który internowani nazywali ambasadą. Kiedy widzieli tam esbeka, to grupa na spacerze przerywała wszelkie czynności, odwracała się w jego stronę i krzyczała: „Gierek! Partia! Gierek! Partia!”. Esbecy nie wiedzieli, jak reagować. Niektórzy jajcarze dołączali się do skandowania, a inni się wściekali i wymyślali internowanym. Michalkiewicz kiedyś trafił na takiego, który strasznie się zdenerwował i doniósł na niego do komendanta. Za karę komendant pozbawił go prawa wychodzenia na spacery.

Nie trwało to długo. Część Białołęki zajmował obóz dla internowanych, a resztę – normalne więzienie. W więzieniu pracowali sympatyczni lekarze, którzy pytali go o przebyte choroby. Podał, że był chory na gruźlicę, bo rzeczywiście był, ale już się wyleczył. W takim razie lekarka zaleciła mu dodatkowe spacery. To było niedługo po tej karze. Michalkiewicz chodził więc nie na jeden spacer, a na dwa.

SIATKÓWKA W KALESONACH

Wśród internowanych na Białołęce panowała moda, żeby nazywać gen. Jaruzelskiego Pinochetem.

– Jaka szkoda, że to nieprawda – mówił na to Michalkiewicz.

Uważał, że rządy autorytarne mogą okazać się korzystne dla państwa, tak jak korzystne dla Chile okazały się rządy gen. Augusta Pinocheta, który najpierw uratował kraj od komunizmu, a potem wprowadził go na ścieżkę szybkiego wzrostu gospodarczego. Ale mogą się także okazać niekorzystne, tak jak rządy gen. Jaruzelskiego.

Choć z widzenia znali się wcześniej, to osobiście Michalkiewicz poznał Janusza Korwin-Mikkego dopiero na Białołęce, kiedy ten akurat w kalesonach grał na spacerniaku w siatkówkę. Tak twierdzi. Natomiast Korwin-Mikke opowiada, że poznali się, gdy pozwolono im razem oglądać mistrzostwa świata w piłce nożnej, odbywające się wtedy w Hiszpanii. Tak czy inaczej, od razu świetnie się porozumiewali. Zdaniem Korwin-Mikkego zaprzyjaźnili się, bo mieli podobne poglądy polityczne. Michalkiewicz zaś wspomina:

– Zainteresowałem się nim, bo Korwin tym, co mówił, odbiegał zupełnie od reszty. Oni mówili o podmiotowości społeczeństwa, a Korwin o podatkach i łatwości zakładania interesów. Nie wiedziałem, kto to jest – czy wariat, bo on czasami przeciwko całej sali potrafił stanąć, czy człowiek o dużej odwadze cywilnej. Kiedy go bliżej poznałem, przekonałem się, że jest to człowiek o bardzo sprecyzowanych poglądach i o odwadze cywilnej. Ta znajomość wpłynęła również na mój sposób myślenia o różnych sprawach.

Już 2 lipca 1982 r. z uwagi na spokojne zachowywanie się Michalkiewicza, a także na fakt, że był jedynym żywicielem rodziny, wnioskowano o zwolnienie. 23 lipca komendant wojewódzki MO podpisał decyzję nr 449 o uchyleniu internowania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment książki Tomasza Cukiernika pt. „Michalkiewicz. Biografia”.

Przy pisaniu tego rozdziału autor korzystał ze źródeł IPN: IPN BU 0222/203, IPN BU 448/329 i IPN BU 0787/58442.

eprasa.pl 491d86afd3

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Egzekutorzy z CIA

Zabójstwo jako narzędzie polityki zagranicznej? Oczywiście. To norma w postępowaniu reżimów totalitarnych. Ale – jak wynika z nowej książki Annie Jacobsen – nie tylko ich. Po takie metody sięgają również Stany Zjednoczone, państwo uznawane za ostoję demokracji i praw człowieka.

Według autorki niemal wszyscy prezydenci USA podejmowali decyzje o odebraniu komuś życia. W waszyngtońskim żargonie nazywane jest to „trzecią opcją". Stosuje się ją wtedy, gdy zawodzi dyplomacja (opcja pierwsza), a wojna (opcja druga) jest zbyt kosztowna.

„Wszystkie operacje specjalne są tajne, zaplanowane tak, by można było wiarygodnie zaprzeczyć – pisze Jacobsen. – Niekiedy nazywa się je asem w rękawie prezydenta. Najskrajniejszą ich formą jest zabicie przywódcy lub wpływowej osobistości i właśnie na takich przypadkach się skupiam w tej książce". Co ciekawe, takie zabójstwo jest zgodne z amerykańskim prawem, a konkretnie z 50. Kodeksem Stanów Zjednoczonych.

Akcja książki rozgrywa się w krajach Ameryki Łacińskiej, w Iraku, Afganistanie, Pakistanie, Jemenie, Libanie i innych państwach. Jej bohaterami są znakomicie wyszkoleni funkcjonariusze ściśle tajnego Wydziału Akcji Specjalnych CIA. Zabójcy gotowi w każdej chwili przemieścić się w dowolne miejsce globu, aby wykonać swoją misję.

Na ich celowniku znajdują się ludzie „ukrywający się w ziemiankach w północno-zachodnim Pakistanie", a także osoby żyjące „w apartamentowcach pierwszego świata, sojuszniczych krajach NATO". Ich nazwiska figurują na specjalnie przygotowanej przez amerykańskie służby „czarnej liście".

Annie Jacobsen w „Zaskocz, zabij, zniknij" opisuje również drugą stronę pracy CIA. Czyli zapobieganie zabójstwom dokonywanym przez wrogów USA. Najbardziej katastrofalnym scenariuszem dla amerykańskich służb jest „AOP" (attack on principal). Chodzi o zamordowanie prezydenta. Niewiele zabrakło, aby z ręki zamachowca zginął Ronald Reagan, ciężko ranny w zamachu w 1981 r. W 1963 r. zamordowany został John F. Kennedy.

„Zaskocz, zabij, zniknij" czyta się jak sensacyjny thriller. Ale książka ma tę przewagę nad dziełami tego gatunku, że opisuje prawdziwe wydarzenia. ©℗

★★★★★★

ANNIE JACOBSEN
„ZASKOCZ, ZABIJ, ZNIKNIJ"
REBIS

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Z Sowietami nie walczyć...

Rankiem 17 września 1939 r. w sztabie Naczelnego Wodza w Kołomyi dla wszystkich było jasne, jakie są cele Sowietów, którzy przekroczyli polską granicę. W południe, po rozważeniu wszystkich możliwych opcji, marszałek Śmigły zdecydował, że Wojsko Polskie musi opuścić kraj i kontynuować wojnę w oparciu o sojuszników.

Decyzję Naczelnego Wodza zakomunikowano w następujących słowach: „Sowiety wkroczyły. Zarządzam ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z Sowietami nie walczyć, tylko w razie natarcia z ich strony lub próby rozbrojenia naszych oddziałów. Zadanie dla Warszawy i Modlina, które mają się bronić przed Niemcami, bez zmian. Oddziały, do których podeszły Sowiety, powinny z nimi pertraktować w celu wyjścia z garnizonów do Rumunii lub Węgier".

Nie był to rozkaz zabraniający walki, ale jeżeli zacytuje się sam początek i zakończy się na zdaniu „Z Sowietami nie walczyć", to wtedy słowa Śmigłego rzeczywiście brzmią fatalnie. Szczególnie gdy doda się komentarz, że „Rydz powinien wypowiedzieć wojnę ZSRS, ale tego nie zrobił".

Faktycznie jednak Rzeczpospolita nie musiała wypowiadać wojny Sowietom. Zgodnie bowiem z prawem międzynarodowym napadnięte państwo nie musi wypowiadać wojny agresorowi. Związek Sowiecki zaatakował Polskę, a tym samym oba państwa znalazły się w stanie wojny, dokładnie tak samo jak 1 września Niemcy. I jedni, i drudzy napadli na Polskę, Rzeczpospolita nie wypowiedziała wojny III Rzeszy i nie musiała tego robić wobec ZSRS.

Zresztą Śmigły jako Naczelny Wódz nie miał nawet do tego kompetencji, gdyż były to sprawy pozostające w gestii prezydenta. Ignacy Mościcki wygłosił dwa orędzia i w pierwszym z 1 września powiedział, że „nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i Historii". Natomiast w drugim, z 17 września, stwierdził, że „gdy armia nasza z bezprzykładnym męstwem zmaga się z przemocą wroga od pierwszego dnia wojny aż po dzień dzisiejszy, [...] nasz sąsiad wschodni najechał nasze ziemie, gwałcąc obowiązujące umowy i odwieczne zasady moralności".

W pierwszym orędziu ani razu nie padło słowo „wojna", ale nikt nie miał wątpliwości, że ona wybuchła. Podobnie oczywisty był stan wojny z ZSRS po 17 września, także dla naszych aliantów. Gdy bowiem na przełomie lat 1939 i 1940 Francuzi i Brytyjczycy szykowali się do zbrojnego uderzenia na Rosję, angielskie okręty wojenne u wybrzeży Norwegii i Finlandii miały działać pod naszą banderą, gdyż Polska była w stanie wojny z ZSRS. Warto o tym pamiętać. ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

Już 20 września w „Do Rzeczy” dodatek

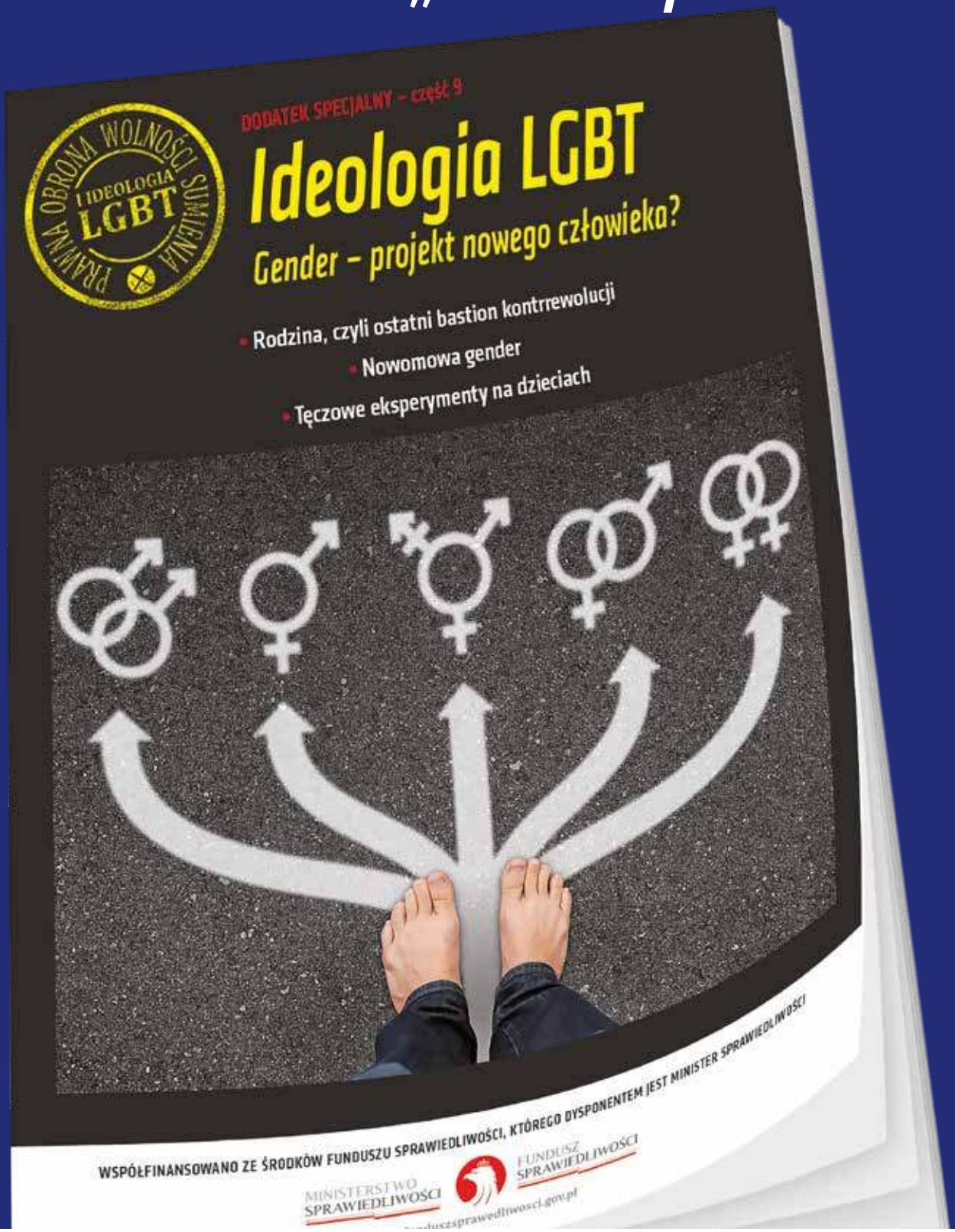

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 491d86afd3

Z Péterem Szijjártó, ministrem spraw zagranicznych i handlu Węgier
rozmawia Jacek Przybylski

UE musi się zmienić

JACEK PRZYBYLSKI: Powiedział pan niedawno, że Węgry chcą silnej Unii Europejskiej. To znaczy, że nie ma już groźby huxitu?

PÉTER SZIJJÁRTÓ: Wyjście Węgier z Unii Europejskiej nigdy nie było w naszym planie. Huxit istniał jedynie w umysłach tych, którzy lubią tworzyć science fiction. A ci, którzy rozpowszechniają te fałszywe informacje, to osoby, które kłamliwie przedstawiają Węgry jako kraj antyeuropejski.

Myślę, że jednym z największych problemów Unii Europejskiej jest to, że nie ma w niej miejsca na cywilizowaną debatę demokratyczną. Gdy bowiem tylko myślisz w sposób, który nie pasuje do mainstreamu, to natychmiast stajesz się celem ataków i przykleja ci się gębę anty-Europejczyka.

My zaś wierzymy, że jeśli poważnie mamy traktować Unię Europejską jako instytucję demokratyczną, to musi być w niej miejsce na różne opinie, wiele punktów widzenia i różne sposoby myślenia. Niestety, obecnie tak nie jest.

Tak więc wierzymy, że nasze miejsce jest w Unii Europejskiej, ale sama UE musi się radykalnie zmienić. Ta zmiana jest konieczna choćby po to, aby Unia mogła być bardziej konkurencyjna, silniejsza i atrakcyjniejsza. Twarde dane są alarmujące. W ciągu ostatnich 20 lat – od 2000 do 2020 r. – udział Unii Europejskiej w światowym PKB spadł z 21 proc. do 18 proc. W tym samym okresie udział Chin wzrósł z 4 proc. do 18 proc.

Jednocześnie udział Unii Europejskiej w globalnych wydatkach socjalnych wynosi 27 proc. Taki stan rzeczy jest trudny do utrzymania na dłuższą metę. Zmiany w Unii są więc konieczne. UE stanie się bardziej konkurencyjna i silniejsza, gdy poszczególne kraje narodowe staną się bardziej konkurencyjne i silniejsze. Aby te reformy miały szanse powodzenia, niezbędna jest jednak wolna i demokratyczna debata.

Pański kolega z rządu minister Mihály Varga jasno ostrzegał w sierpniu, że Węgry mogą przemyśleć swoją obecność w Unii, gdy staną się już płatnikiem netto do unijnego budżetu. Czy kiedykolwiek rząd w Budapeszcie próbował policzyć, czy Węgrom opłaca się być w UE?

Jesteśmy krajem, którego gospodarka jest bardzo otwarta. Mierzy się to najczęściej relacją eksportu do PKB. W naszym przypadku wynosi on 83 proc., co daje nam 11. miejsce na świecie.

77 proc. naszego eksportu trafia do krajów Unii Europejskiej, co oznacza, że

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 491d86afd3

sprawne funkcjonowanie jednolitego rynku jest dla nas kluczowe. Trzeba jednak pamiętać, że nasze członkostwo – podobnie jak członkostwo Polski – przynosi duże korzyści także Unii jako takiej.

Po pierwsze, w 2004 r., kiedy przystępowaliśmy do Unii Europejskiej i otwieraliśmy nasz rynek, zachodnioeuropejskie firmy zyskały w nim duży udział, osiągnęły olbrzymie zyski, z których lwią część przetransferowały do swoich krajów, przyczyniając się do powiększenia dobrobytu mieszkańców tych państw.

Po drugie: sama Komisja Europejska szacuje, że ok. 70 proc. środków unijnych kierowanych do krajów Europy Środkowej wraca do krajów Europy Zachodniej poprzez przetargi finansowane przez Unię Europejską, a wygrywane przez zachodnie firmy. Korzyści są więc obopólne i podkreślanie jedynie zysków jednej ze stron jest niesprawiedliwe.

Czy te zachodnie firmy mogą pomóc w rozwiązaniu konfliktu między Brukselą a Budapesztem czy Warszawą?

Jako minister spraw zagranicznych i handlu jestem odpowiedzialny również za inwestycje. Mam więc regularne kontakty z międzynarodowymi firmami, które inwestują na Węgrzech. I powiem panu szczerze: na 99,9 proc. spotkań z inwestorami w ogóle nie ma mowy o polityce.

Przedstawiciele tych firm nie są zainteresowani prowadzeniem debat politycznych. Dlaczego? Ponieważ za pomocą kampanii politycznej można kształtować wizerunek danego kraju tylko w przypadku tych osób, które nigdy w nim nie były.

Światowi liderzy zachodnich korporacji otrzymują regularne raporty bezpośrednio od swoich prezesów na Węgrzech lub w Polsce. Ci zaś wiedzą doskonale, że oba kraje są dobrze funkcjonującymi demokracjami, że nie ma w nich wcale dyktatury, że zapewniona jest w nich wolność słowa, zgromadzeń etc. Mają wiarygodne informacje, więc nie obchodzą ich fake newsy. Liderzy tych wielkich firm doskonale wiedzą więc, że cały ten polityczny szum wokół nas jest bezpodstawny.

Warto przy okazji podkreślić jeszcze jedną rzecz: roczny obrót handlowy między Niemcami a czterema krajami Grupy Wyszehradzkiej jest o 73 proc. wyższy niż handel między Niemcami a Francją. Fakty mówią więc same za siebie.

Nie sądzę, aby nasze sukcesy gospodarcze przekonały do czegokolwiek liderów politycznych zachodniej części Europy, a zwłaszcza liberalnego mainstreamu, są to jednak jasne dowody na to, że w naszych krajach wszystko, co istotne, działa tak, jak powinno.

W przypadku Polski i Węgier UE zawiesiła jednak wypłatę pieniędzy z Krajowych Planów Odbudowy. Jak brak tych funduszy wpłynie na węgierską gospodarkę? I kiedy wreszcie ten pat się zakończy?

Przede wszystkim powód, dla którego Polsce i Węgrom nie zatwierdzono jeszcze Krajowych Planów Odbudowy, ma charakter czysto polityczny i ideologiczny.

W przypadku Polski chodzi o państwową regulację systemu sądownictwa. Z kolei w naszym przypadku poszło o prawną ochronę dzieci przed propagandą seksualną. I to są prawdziwe powody, przez które Bruksela nie zatwierdza naszych planów naprawczych.

Jeśli chodzi o Węgry, to przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen poprosiła już nawet o wyznaczenie daty, aby mogła przylecieć na Węgry i ogłosić zatwierdzenie planu odbudowy, ale po przyjęciu przez nasz krajowy parlament ustawy o ochronie dzieci odwołała to spotkanie. Ten fakt mówi za siebie.

Kiedy się patrzy na wyniki polskiej czy węgierskiej gospodarki, nie ma oczywiście żadnego realnego powodu ekonomicznego, aby Komisja mogła nie zatwierdzić naszych planów odbudowy. Podobnie jak w Polsce, tak i na Węgrzech gospodarka jest w znakomitej formie. Nasz wzrost PKB w drugim kwartale wyniósł aż 18 proc. Możemy więc rozpocząć projekty, które uwzględniliśmy w Krajowym Planie Odbudowy bez żadnych pieniędzy z unijnego budżetu, pokrywając wszystkie wydatki z budżetu Węgier.

Wzrost gospodarczy Polski i Węgier rzeczywiście robi wrażenie, zwłaszcza gdy porówna się tempo powrotu do szybkiego rozwoju naszego regionu i krajów zachodnich. Z czego wynika ten sukces?

Myślę, że naszą największą zaletą jest po prostu zdrowy rozsądek. To na nim opieramy naszą politykę niezależnie od tego, czy chodzi o sprawy gospodarcze, podatkowe czy kwestie bezpieczeństwa, zwłaszcza dotyczące migracji.

To właśnie zdrowy rozsądek sprawia, że Polska i Węgry stosują niskie stawki podatkowe, a także dbają o inwestorów, udzielając im wszelkiej niezbędnej pomocy i ograniczając biurokrację.

Wspomniał pan o problemie migracji. Jak duży kryzys wywołało przejęcie przez talibów władzy w Afganistanie i czy ma pan nadzieję, że tym razem więcej krajów zaakceptuje taką politykę jak Węgry, które odmawiają przyjmowania wielkich rzesz migrantów?

Pod koniec ubiegłego tygodnia odbyło się dwudniowe spotkanie ministrów spraw zagranicznych UE w Słowenii i – muszę powiedzieć – byłem nim bardzo sfrustrowany i rozczarowany. Wprawdzie już nie tylko Węgry, Polska, Czechy, Słowenia i Chorwacja mówią otwarcie o problemie migrantów, lecz także rzeczywiście coraz więcej państw jest gotowych odważnie mówić o konieczności uniknięcia błędów w polityce migracyjnej, które popełniono w 2015 r. Jednocześnie większość krajów UE i tak podejmuje teraz dokładnie takie same decyzje, jak w roku 2015.

Oświadczenie, że wszyscy Afgańczycy, którzy czują się zagrożeni, powinni mieć możliwość opuszczenia kraju, jest w obecnych okolicznościach jednym z najbardziej nieodpowiedzialnych stwierdzeń, jakie można sobie wyobrazić.

Wszyscy Afgańczycy, którym nie podoba się życie w ich własnym państwie, uznają takie słowa jako zaproszenie do Europy. Stanie się więc to samo, co w roku 2015, gdy kanclerz Merkel ogłosiła, że wszyscy Syryjczycy niezależnie od tego, jak dotrą do Niemiec, będą mogli złożyć w Niemczech wniosek o azyl. Co się wówczas stało? Wszyscy na południowej granicy Węgier podawali się za Syryjczyków, oczywiście bez żadnych dokumentów, które mogłyby to potwierdzić. Obecnie – według raportów, które otrzymujemy od straży granicznej – połowa przybyłych na naszą południową granicę uważa się za Afgańczyków.

Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że w Afganistanie toczy się już wojna domowa na pełną skalę i że połowa ludności – cała populacja to ok. 39 mln – korzystała z międzynarodowej pomocy humanitarnej jeszcze przed przejęciem władzy przez talibów, a 4 mln musiały już opuścić swoje domy i uciekać do innej części kraju, a do tego wszystkiego dołożymy brak chęci lub zdolności krajów sąsiednich do powstrzymania presji migracyjnej, to sądzę, że w nadchodzących miesiącach musimy być

eprasa.pl 491d86afd3

– Jeśli nie kupimy rosyjskiego gazu, to nie będziemy mieli jak ogrzewać naszych mieszkań – mówi szef MSZ Węgier (z prawej) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przygotowani na ogromną falę nielegalnej migracji.

Czy presja na przyjmowanie kolejnych wielkich fal migrantów może być częścią wojny hybrydowej przeciwko Zachodowi? Mimo że Afgańczycy to w większości muzułmanie, to nie obserwujemy tego samego rodzaju presji na bogate kraje muzułmańskie jak na Europę.

Z pewnością międzynarodowy mainstream – sponsorowany głównie przez George'a Sorosa – próbuje zniszczyć jakiekolwiek związki narodów z ich z dziedzictwem, historią czy kulturą. Im więcej obcokrajowców przyjeżdża do danego kraju, tym trudniej jest narodowi odwoływać się do swego dziedzictwa kulturalnego, religii itd.

Celem wspierania masowej migracji do Europy jest więc nic innego jak zniszczenie znaczenia państw narodowych. To jest również jeden z aspektów debaty, którą toczymy obecnie w ramach Unii Europejskiej. Federaliści chcą ustanowić coś, co moglibyśmy nazwać Stanami Zjednoczonymi Europy i co byłoby rodzajem unii okręgów federalnych z jednym imperialnym centrum w Brukseli. My opowiadamy się za utrzymaniem Unii Europejskiej takiej, jaką powinna być, czyli za potężnym sojuszem silnych narodów.

Ta bitwa nie jest już przegrana?

Nie sądzę. Dopóki my, kraje Europy Środkowej, w sposób jednoznaczny i zjednoczony reprezentujemy swój pogląd na kwestię migracji, dopóty wciąż możemy mieć nadzieję. Pod tym względem niezwykle ważna jest rola Grupy Wyszehradzkiej. Patrząc wstecz na ostatnie lata, można zauważyć, że gdy w ramach Unii toczyły się najważniejsze debaty, kraje Europy Środkowej mogły bronić swoich interesów właśnie dzięki temu, że występowały razem, zjednoczone.

Gdybyśmy próbowali walczyć samodzielnie, z pewnością byśmy przegrali. Weźmy choćby przykład obowiązkowych kwot relokacji. One już teraz byłyby w Unii stosowane, gdyby nie to, że kraje środkowoeuropejskie tak bardzo się w tę kwestię zaangażowały. Myślę więc, że dopóki współpraca wyszehradzka układa się dobrze, dopóty jest nadzieja na wygraną.

Według najnowszego sondażu opinii prawie 20 proc. Polaków uważa Węgry za najważniejszego sojusznika naszego kraju, zaraz po Stanach Zjednoczonych. Czy pan uważa Polskę za najważniejszego sojusznika Węgier?

Tak, bez wątpienia. Dla nas Polska jest czymś więcej niż sojusznikiem, więcej niż przyjacielem, jest naszym bratem. Nasze braterstwo ma bardzo długą historię. A dla nas, Węgrów, choć kwestie praktyczne są istotne, to bardzo ważne są również kwestie pozamaterialne.

Wielu Polaków z rezerwą podchodzi jednak do węgierskiej polityki zagranicznej ze względu na bliskie relacje Budapesztu w Moskwą. Mniej więcej tydzień temu ogłosił pan wiadomość o zawarciu porozumienia z Gazpromem w sprawie nowego długoterminowego kontraktu gazowego. W jakim stopniu ta umowa wpłynie na suwerenność państwa węgierskiego? I jak bardzo Polska powinna się obawiać coraz większej zależności Węgier od Rosji?

Polityka zagraniczna, a zwłaszcza polityka energetyczna, musi mieć oparcie w faktach. A obecna rzeczywistość Europy Środkowej jest taka, że trasy dostaw pozwalają na przesyłanie dużych ilości gazu wyłącznie z Rosji.

Jeśli nie kupimy rosyjskiego gazu, to nie będziemy mogli ogrzewać naszych domów i dostarczać energii dla naszej gospodarki. Myślę, że nikt nie może tego od nas oczekiwać.

Gdyby Amerykanie zdecydowali się na wydobycie gazu z Morza Czarnego, gdzie liderem projektu jest Exxon Mobil, to mielibyśmy inną sytuację. Jednak decyzja w tej sprawie wciąż nie została podjęta, a nasze roczne zużycie gazu wynosi ok. 10 mld m sześc., z czego nie więcej niż 1,5 mld można pokryć ze źródeł krajowych.

Zakontraktowaliśmy 1 mld m sześc. gazu z terminalu LNG w Chorwacji, płacąc znacznie wyższą cenę niż za rosyjski gaz, ale zrobiliśmy to ze względów strategicznych. Nadal potrzebujemy jednak 7,5 mld m sześć. A jeśli przyjrzymy się trasom dostaw, to wszyscy dostarczają jedynie rosyjski gaz, nawet gazociąg z Austrii. Jest więc oczywiste, że trzeba dogadać się z Gazpromem. Nasz nowy kontrakt na dostawy rosyjskiego gazu nie tylko nam nie zagraża, lecz także wręcz zwiększa suwerenność naszego kraju. Gdybym bowiem nie był w stanie zawrzeć porozumienia z Gazpromem, to stalibyśmy się bezbronni w kwestii dostaw gazu do kraju. Tymczasem zawarłem bardzo dobrą, elastyczną umowę na 10 plus 5 lat na 4,5 mld m sześc. za znacznie niższą cenę, niż obowiązuje w ramach wygasającej obecnie wieloletniej umowy gazowej.

Do Amerykanów i wszystkich tych, którzy zarzucają nam działanie sprzeczne z bezpieczeństwem narodowym Węgier, mam zaś pytanie: Gdzie są Stany Zjednoczone, kiedy mówimy o eksploatacji gazu w Europie i budowie nowych sieci przesyłowych? Jeśli Amerykanie potrafią wymienić inny gazociąg, z którego mogę czerpać duże ilości gazu, to jestem gotowy. Takiego jednak nie ma.

Nowy kontrakt zakłada jednak dostawy z ominięciem ukraińskiego gazociągu.

To prawda. My sami na tym akurat tracimy, bo nowy szlak przesyłowy zastępuje m.in. gazociąg prowadzący z Ukrainy przez Węgry do Serbii i Bośni.

Po drugie Nord Stream 2 również omija Ukrainę. Skoro więc powstaje Nord Stream 2, to naprawdę nikt nie może mieć do nas pretensji. My, Węgrzy, nie jesteśmy głupi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

FOT. ADOBE STOCK

HOMOFOBICZNY PSEUDOATAK POŚLADKOWY

Wszystkie hiszpańskie media żyły – przez chwilę – tragedią 20-letniego homoseksualisty z Madrytu. Biedny chłopak miał paść ofiarą okrutnego ataku homofobów, którzy wyryli mu nożem na pośladku wulgarny napis. Premier kraju zapowiedział walkę z homofobią, zaplanowano nawet posiedzenie parlamentarnej komisji ds. przeciwdziałania przemocy. Szybko wyszło na jaw, że monitoring nie zarejestrował takiego zdarzenia. Dwudziestolatek przyznał, że wszystkich okłamał. Nie został napadnięty, napis na pośladku wykonał mu znajomy, a on ten napis chciał mieć.

ABORCJA W MEKSYKU BEZKARNA

Sąd Najwyższy w Meksyku orzekł w ubiegłym tygodniu, że karanie za dokonanie aborcji jest niezgodne z konstytucją tego państwa. Nikt nie ma złudzeń, że to krok w kierunku liberalizacji prawa antyaborcyjnego. Na to zapewne tylko czekają klientki klinik aborcyjnych z pobliskiego Teksasu, w którym akurat właśnie aborcja stała się nielegalna od momentu, kiedy słyszalne jest bicie serca płodu.

DOWCIPNY JAK ISLANDZKI POLITYK

Eyjolfur Armannsson, kandydat Partii Ludowej w wyborach parlamentarnych na Islandii, w programie telewizyjnym „Oddvitaaskourn Visis" postanowił podzielić się z widzami dowcipem o tym, jak z wieży Eiffla wszyscy wyrzucali to, czego w ich kraju jest pełno. Francuz – croissanta, Polak – kiełbasę, a Islandczyk… Polaka. No boki zrywać! Tylko Polacy coś humoru nie mają – ambasada RP w Rejkiawiku interweniowała w tej sprawie.

WYBRANKA BISKUPA

Hiszpański biskup Xavier Novell odszedł ze stanu kapłańskiego. Zdarza się. Zakochał się w kobiecie. Też się zdarza. Wybranka Novella ma jednak nietypowe zajęcie – jak podają hiszpańskie media, jest autorką powieści erotycznych… o zabarwieniu satanistycznym. Według prasy były biskup obecnie poszukuje pracy w Barcelonie. Szuka posady agronoma.

STRZELANINA PRZEZ MASECZKĘ

Pandemia działa ludziom na nerwy. W jednym z supermarketów w Dnieprze na Ukrainie doszło do strzelaniny. Jeden pan nie chciał zasłonić twarzy maseczką. Innemu klientowi to się nie spodobało. Na tyle, że gdy wyszli na zewnątrz, ten bardziej przestrzegający higieny wypalił do drugiego z rewolweru. Bywa oczywiście i odwrotnie. W Odessie dwóch klientów pobiło kasjera, bo zwrócił im uwagę, że powinni zasłaniać twarz. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Niech sobie klęczą

Przed zakończonym remisem 1:1 meczem z Polską reprezentacja Anglii znów uklękła na Stadionie Narodowym. Anglicy, wzorem Amerykanów, klękają na znak wsparcia dla marksistowskiego ruchu Black Lives Matter. Symboliczny gest sprzeciwu wobec rasizmu wprowadził na stadiony czarnoskóry zawodnik ligi NFL Colin Kaepernick. W ciągu ostatnich lat na kolana przed pierwszym gwizdkiem karnie padają również Irlandczycy, Belgowie czy Niemcy.

I chociaż zwyczaj ten skłania wielu kibiców do gwizdów, to ja uważam, że powinniśmy pozwolić im klękać. Trzeba bowiem przyznać, że mają za co przepraszać. Niemcy za zbrodnie wojenne do końca świata powinni padać na kolana przed każdym meczem w Warszawie i w każdym innym polskim mieście. Brytyjczycy też mogliby latami ładnie przepraszać nas za Jałtę czy sposób potraktowania podczas parady zwycięzców walczących o Anglię polskich lotników.

Belgowie mogą przepraszać za bezczelne wypowiedzi ich nieudolnych premierów, choć akurat belgijscy piłkarze zamiast klękać, mogliby po prostu przywozić na każdy mecz kilka ciężarówek belgijskich czekoladek i piwa.

Na szczęście są również drużyny, których zawodnicy nie pozwalają robić z siebie małpek w zoo. Na murawie nie klękają nie tylko Polacy, lecz także Chorwaci, Szkoci czy Węgrzy. Zamiast tego zawodnicy pokazują naszywkę na koszulkach z napisem „UEFA Respect". Dzięki temu oddają wszystkim szacunek, ale sprzeciwiają się upolitycznianiu sportu. Polak czy Węgier klękają bowiem tylko przed Bogiem i przyszłą żoną. Poza tym, jeśli każdy mecz będzie składał się z klękania i całowania tęczowej flagi, odśpiewania „Międzynarodówki" i wygłoszenia poprawnej politycznie samokrytyki przez każdego piłkarza (z rezerwowymi włącznie), to prawdziwe piłkarskie emocje będzie można przeżywać już tylko na orlikach. ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

Pozorna zmiana

Grzegorz Kucharczyk

W sondażach przedwyborczych w Niemczech mocne przetasowanie. Patrząc jednak na programy wyborcze największych partii, można odnieść wrażenie, że bez względu na to, kto by wygrał, będzie tak samo, tylko bardziej

Kilka tygodni przed wyborami do Bundestagu zaplanowanymi na 26 września w sondażach zyskuje SPD, a chadecy systematycznie tracą. Także Zieloni nie utrzymali mocnej pozycji z wiosny. Z badań opublikowanych 24 sierpnia przez ośrodek Forsa wynika, że na socjaldemokratów chce głosować 23 proc. wyborców, na partie chadeckie (CDU i CSU) – 22 proc., na Zielonych – 18 proc., a na liberalną FDP – 12 proc. Poparcie dla „antysystemowej" AfD oscyluje wokół 11 proc.

Skalę zmiany preferencji niemieckich wyborców pokazuje zestawienie tych wyników z badaniem tego samego ośrodka z 14 lipca. Wtedy poparcie dla chadeków wynosiło 30 proc. Na drugim miejscu byli Zieloni z 19 proc. poparcia, a SPD była na trzecim miejscu z 15 proc., niewiele więcej niż AfD.

Gdyby te prognozy sondażowe utrzymały się 26 września, oznaczałoby to, że chadecy w porównaniu ze swoim wynikiem z 2017 r. odnotowaliby stratę niemal 12 punktów procentowych, osiągając w ten sposób najgorszy wynik

eprasa.pl 491d86afd3

FOT. GETTY IMAGES

w całej historii Bundesrepublik. Z kolei socjaldemokratom udałoby się zatrzymać spadkowy trend, który zarysował się w wyborach w 2002 r. (38,5 proc.) i swoje apogeum osiągnął w 2017 r. (20,5 proc.).

POLITYKA KONSENSUSU I KORDONU

Potwierdzenie takich wyników sondażowych w dniu wyborów oznaczałoby ponadto brak szans na odtworzenie „wielkiej koalicji" w przyszłym parlamencie. Pomijając kwestię „woli politycznej", decydująca byłaby arytmetyka. Chadecy i socjaldemokraci mieliby po prostu za mało głosów w nowym Bundestagu, by stworzyć rząd.

W tej sytuacji komentatorzy mówią o innych konstelacjach – „afgańskiej" (od barw flagi Afganistanu), złożonej z chadeków, SPD i Zielonych, „jamajskiej" (chadecy, FDP, Zieloni) lub „świateł ulicznych" (Ampelkoalition), złożonej z SPD, Zielonych i liberałów z FDP. Pojawiają się również głosy o możliwości koalicji „czerwono-czerwono-zielonej" zbudowanej przez SPD, Zielonych i komunistyczną Die Linke. Poparcie dla tej ostatniej w ostatnich badaniach sondażowych oscyluje wokół 7 proc. Partia ta już dawno przestała być wyłącznie „ugrupowaniem nostalgii za NRD". Choć swój żelazny elektorat ma we wschodnich landach, to chęć głosowania na Die Linke deklaruje również wielu „Wessis" (obywateli dawnej RFN).

W zjednoczonych Niemczech rządził już każdy z każdym. Wspomniane rozwiązania koalicyjne testowane są bowiem na poziomie landów, gdzie już od kilku lat zdarza się współpraca między chadekami a Zielonymi lub SPD i postkomunistyczną Die Linke (np. w Berlinie). Jest jeden wyjątek. Nie ma mowy o współpracy z AfD, która systematycznie ograniczana jest „kordonem sanitarnym", co skutkuje zawieraniem egzotycznych koalicji w parlamentach krajowych, zwłaszcza we wschodnich landach, gdzie poparcie dla Alternatywy dla Niemiec sięga powyżej 20 proc.

LOKOMOTYWA CZY OBCIĄŻENIE

Skąd jednak ta zmiana trendu w poparciu dla największych partii politycznych w Niemczech? Obserwatorzy wskazują w tym kontekście na jakość tzw. lokomotyw wyborczych poszczególnych ugrupowań, czyli wystawionych przez nie kandydatów na kanclerza. Wspomniane badanie ośrodka Forsa z 24 sierpnia wskazuje, że kandydat SPD Olaf Scholz (obecny wicekanclerz i minister finansów w gabinecie Angeli Merkel) cieszy się poparciem 34 proc. wyborców, kandydatka Zielonych Annalena Baerbock – 13 proc., a kandydat chadeków Armin Laschet budzi sympatię jedynie u 12 proc. respondentów.

Podobną kolejność pokazują badania sondażowe zrobione po pierwszej debacie telewizyjnej (zorganizowanej przez stacje RTL i ntv) tych trojga polityków, która odbyła się 29 sierpnia. Sondaże wskazywały na Scholza jako jej zdecydowanego zwycięzcę (36 proc.). Na drugim miejscu była Baerbock (30 proc.), a stawkę zamykał Laschet (25 proc.).

W czasie debaty kandydat SPD prezentował się według ankietowanych najbardziej merytorycznie. Źle odebrano zbyt ofensywny styl Lascheta. Prawdziwym strzałem w stopę okazało się krytykowanie przez kandydata chadeków sposobu ewakuacji personelu Bundeswehry z Afganistanu, co odebrano jako niezgrabne usiłowanie odcięcia się od własnego rządu. Na tym tle zdecydowanie lepiej wypadł Scholz, podkreślający konieczność stałego zaangażowania Niemiec w misje humanitarne na całym świecie.

KOGO ZATOPI WIELKA POWÓDŹ?

Gdy na początku lat 60. ubiegłego wieku brytyjscy torysi wygrali wybory, desygnowany przez nich na premiera Harold Macmillan na pytanie, co może stać na przeszkodzie realizacji jego programu, powiedział: „Wydarzenia, proszę państwa. Wydarzenia". To czynnik, który można zaważyć również w przebiegu każdej kampanii wyborczej. Rozpisana na etapy przez specjalistów od marketingu politycznego kampanijna strategia nagle bierze w łeb w obliczu niespodziewanych wydarzeń. W przypadku aktualnej kampanii wyborczej w Niemczech takim wydarzeniem stała się w połowie lipca katastrofalna powódź, która szczególnie mocno dotknęła Nadrenię Północną-Westfalię – land, którego premierem jest Armin Laschet.

Zawsze w tego typu przypadkach całe odium i gniew poszkodowanych spadają na rządzących. Nie mówiąc o stracie wizerunkowej dla całych Niemiec, które nagle stały się odbiorcą pomocy w usuwaniu skutków powodzi. Jeszcze gorzej, gdy rządzący zdają się mieć w głębokim poważaniu dramatyczny los swoich współobywateli. Podczas jednej z gospodarskich wizyt na terenach dotkniętych powodzią media uchwyciły roześmianego kandydata chadeków na kanclerza, który najwyraźniej świetnie się bawił w czasie przemówienia prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera. Na nic zdały się powtarzane seryjnie przez Lascheta przeprosiny za swoje niestosowne zachowanie. Widok ubawionego premiera landu walczącego z powodzią to obraz silniej przemawiający niż tysiące słów.

Wpadki zaliczyła również kandydatka Zielonych. Wykryto, że spore fragmenty książki Baerbock są żywcem przepisane

eprasa.pl 491d86afd3

z internetowych źródeł. Ponieważ jednak publikacja nie miała charakteru naukowego, a raczej charakter materiału propagandowego wspomagającego kampanię Zielonych, sprawa przycichła. Gorzej było z nieścisłościami odkrytymi w oficjalnym życiorysie Baerbock – okazało się, że nie współpracowała z organizacjami, na które się powoływała. W tej sytuacji kandydatowi socjaldemokratów wystarczyło nie popełniać gaf i mieć czystą kartę biograficzną, by zyskiwać w sondażach. Do tej pory Olaf Scholz, pozujący na merytorycznego i przewidywalnego polityka, oba te warunki spełnia.

NA DRODZE DO MITTELEUROPY 2.0

„Wydarzenia" mogą jeszcze zadziałać na samym finiszu kampanii wyborczej. Patrząc jednak na programy wyborcze największych partii niemieckiego mainstreamu politycznego, nie sposób nie odnieść wrażenia, że ktokolwiek by wygrał, będzie tak samo, tylko bardziej.

W sprawach polityki zagranicznej CDU, SPD, Zieloni i FDP mówią właściwie jednym głosem. Wszyscy akcentują konieczność wzmocnienia „suwerenności Unii Europejskiej" (czytaj: jej federalizację pod kierunkiem najsilniejszego państwa, czyli Niemiec) oraz „otwarcia nowego rozdziału w relacjach euroatlantyckich" (niewerbalizowana ulga po odejściu Trumpa). Nie ma również rozbieżności w ocenie polityki rosyjskiej i chińskiej, choć w tym pierwszym przypadku są pewne różnice w akcentach. Chadecy mówią o Rosji, że „jest wyzwaniem dla naszych wartości". O wiele ostrzej wypowiadają się wobec państwa Putina Zieloni. Wokół Nord Stream 2 panuje natomiast pełen milczenia konsensus wszystkich partii.

Partia Baerbock na tle innych ugrupowań prezentuje w odniesieniu do ogólnych kierunków niemieckiej polityki zagranicznej czysto ideologiczne założenia. W programie wyborczym Zielonych mówi się o konieczności prowadzenia po 26 września „feministycznej polityki zagranicznej", ponieważ – jak piszą Zieloni – „kobiety, dziewczęta i zmarginalizowane grupy, takie jak osoby LGBTQI, są w szczególny sposób dotknięte wojnami, konfliktami i biedą. […] Chodzi o to, aby wychodząc ze zdywersyfikowanych perspektyw, wzmacniać i chronić kobiety, dziewczęta i zmarginalizowane grupy".

Na tym tle nawet deklaracja wyborcza SPD, pozbawiona takich ideologicznych manifestów, brzmi bardzo umiarkowanie. Potwierdza to tylko, że we współczesnych Niemczech najważniejszą partią „ideowej lewicy" są Zieloni.

W programach wyborczych najważniejszych niemieckich partii politycznych Polska czy kwestia stosunków polsko-niemieckich jest właściwie nieobecna albo wspominana jedynie przy okazji (np. w kontekście Trójkąta Weimarskiego). Jeśli jednak wczytać się w te przedwyborcze deklaracje, to widać wyraźnie, że ktokolwiek by wygrał 26 września, w relacjach między Berlinem a Warszawą również będzie obowiązywać zasada „to samo, tylko bardziej". Zyskujący w ostatnich sondażach socjaldemokraci w swoim programie wyborczym zapowiadają: „Nie akceptujemy tego, że coraz częściej na próbę wystawia się naszą europejską wspólnotę wartości, a populistyczne i nacjonalistyczne rządy ograniczają niezależność wymiaru sprawiedliwości i podstawowe prawa [obywatelskie]". SPD domaga się również powołania w ramach UE specjalnego Funduszu na rzecz Demokracji i Praworządności, który miałby wspierać rozwój współpracy społeczeństw obywatelskich.

Z kolei CDU w swoim programie wyborczym zapowiada „wzmacnianie niepodległości wschodnich partnerów w ramach UE, jak również znaczne wsparcie dla ich politycznej oraz gospodarczej modernizacji w kierunku europejskich państw prawnych". Kluczowe pytanie brzmi jednak: Co w sytuacji, gdy obywatele w jednym z takich państw będą mieli kaprys wyniesienia do władzy rządu populistycznego i nacjonalistycznego, który niepodległość i europejską wspólnotę wartości rozumieć będzie inaczej aniżeli politycy SPD, CDU, nie mówiąc już o zielonych zwolennikach feministycznej polityki zagranicznej? Czy wtedy w pełni zadziała logika Mitteleuropy 2.0, czyli dyrektywa: „Możecie się modernizować, tylko w taki sposób i tylko w takim zakresie, jaki my – depozytariusze europejskiej wspólnoty wartości – wam wskażemy"? Wydaje się, że w obecnej sytuacji rolę szklanego sufitu mającego ograniczać polskie perspektywy rozwojowe odgrywać będzie polityka klimatyczna wspierana przez wszystkie niemieckie partie polityczne.

„SILNE RODZINY" – SŁOWA A CZYNY

Jedność moralno-polityczna panuje wśród największych niemieckich stronnictw politycznych również w odniesieniu do innych kwestii: wspomnianej polityki klimatycznej, cyfryzacji, rozbudowy zabezpieczeń społecznych. To zglajchszaltowanie najwyraźniej widać w podejściu do polityki rodzinnej. Cały polityczny mainstream wystrzega się definiowania rodziny jako trwałego związku mężczyzny i kobiety ukierunkowanego na prokreację. Najbardziej na lewo pod tym względem są liberałowie z FDP. Udała im się nie lada sztuka. Przegonili w tej konkurencji Zielonych.

„Wolni demokraci", rozważani w niemal wszystkich potencjalnych układankach koalicyjnych po wyborach, stwierdzają: „Rodzina jest dla nas wszędzie tam, gdzie ludzie w sposób trwały i wiążący przejmują odpowiedzialność wobec siebie". FDP domaga się również wprowadzenia obok małżeństwa (od 2017 r., za sprawą chadeków i SPD, dostępnego „dla wszystkich") nowej instytucji: wspólnoty odpowiedzialności. Miałaby być ona złożona z „dwóch lub więcej pełnoletnich osób, które są sobie osobiście bliskie, które nie są sobie poślubione, nie pozostają w związku partnerskim i nie są spokrewnione". Osoby te powinny „możliwie w sposób odbiurokratyzowany tworzyć wspólnotę odpowiedzialności".

Partia Angeli Merkel, wspierająca legalizację tzw. małżeństw jednopłciowych i opisaną procedurami aborcję, deklaruje, że „opowiada się za przyjaznym stosunkiem wobec rodziny" i chce, aby „jak najwięcej ludzi decydowało się na życie z dziećmi". Paradoksalnie, o wiele bardziej rodzinna w swoich deklaracjach jest SPD. W programie wyborczym zapisała: „Dzieci i młodzież potrzebują silnych rodzin. Potrzebują miłości, zainteresowania i wiele wspólnie spędzanego czasu. Przyszłość naszego społeczeństwa zależy od tego, czy ludzie decydować się będą na posiadanie dzieci i będą je w najlepszy z możliwych sposobów prowadzić ku samodzielnemu życiu".

Wygląda na to, że po kilkunastu latach przejmowania przez Merkel postulatów programowych innych partii SPD stała się bardziej konserwatywna, a CDU faktycznie bez literki „C" bezideową partią władzy. Oczywiście mówimy o deklaracjach programowych. Jednak dotychczasowa praktyka rządzenia pokazała, że „przyjazny stosunek do rodziny" chadeków w niczym nie różnił się od socjaldemokratycznej opcji na rzecz „silnej rodziny".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

Tajniki wywrotowej działalnosci KGB

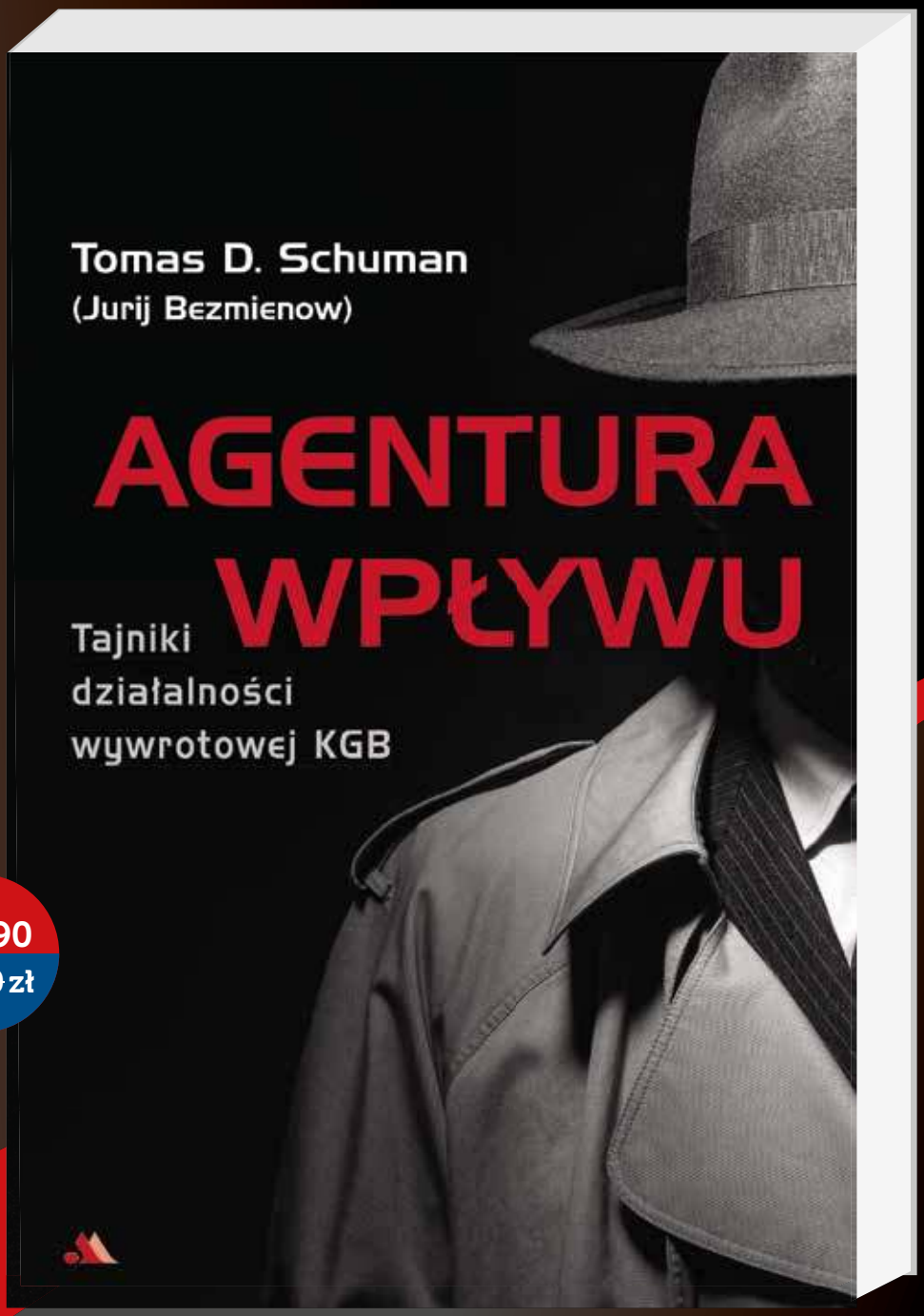

14,90
~~19,90~~ zł

Tomas D. Schuman
Agentura wpływu
WYDAWNICTWO AA, 14×20, s. 128,
miękka, cz.-b. fotografie

Ta książka dziś wydaje się jeszcze bardziej aktualna. Jak stworzyć chaos, konflikt wewnętrzny i sparaliżować wroga – czyli nas.

prof. Andrzej Nowak

eprasa.pl 491d86afd3

Teksas na wojnie z Bidenem

Piotr Włoczyk

Przemysł aborcyjny w Teksasie został tymczasowo sparaliżowany dzięki bardzo zmyślnej ustawie przeforsowanej przez proliferów. Czy SB8 ma szansę zmienić układ sił w wojnie o „prawo do wyboru"?

W tej sprawie zaskoczeni są właściwie wszyscy. Nie tylko medialni zwolennicy „prawa do wyboru", którzy z niepokojem na twarzach relacjonują kolejne przypadki odsyłania przez kliniki Planned Parenthood kobiet umówionych na aborcje. Również po stronie ruchu pro-life widać zdziwienie, że w końcu, niemal po 50 latach od decyzji Roe v. Wade, w jednym ze stanów realnie – przynajmniej na razie – udaje się sparaliżować działanie przemysłu aborcyjnego.

– Jesteśmy bardzo mile zaskoczeni skutecznością nowej strategii ochrony nienarodzonych dzieci. Każda próba ochrony życia nienarodzonych to po prostu dobra strategia, a wygląda na to, że nowe teksańskie prawo ma potencjał, by ratować każdego roku dziesiątki tysięcy nienarodzonych dzieci – mówi „Do Rzeczy" Carol Tobias, przewodnicząca National Right to Life Committee, największej w USA organizacji pro-life, która koordynuje prace amerykańskich obrońców życia.

BICIE SERCA

Celem ustawy SB8 jest zakaz przeprowadzania aborcji powyżej szóstego tygodnia ciąży, ale teksańscy republikanie podeszli do tej kwestii inaczej niż konserwatywni politycy z sąsiednich stanów. Do tej pory robiono to bowiem w „tradycyjny" sposób, czyli stan uchwalał prawo, które zabraniało dokonywania aborcji od momentu, gdy podczas badania wykryte zostanie bicie serca. Zazwyczaj ma to miejsce już w szóstym tygodniu ciąży. „Klasyczna" ścieżka przewiduje, że za egzekwowanie prawa odpowiadają instytucje stanowe. To jednak oznaczało, że każda z takich ustaw była – w świetle orzeczenia Roe v. Wade – uznawana „na starcie" za niekonstytucyjną i sądy blokowały ją, jeszcze zanim weszła w życie.

W przypadku teksańskiej ustawy SB8 jest jednak inaczej. Tamtejsi republikanie stwierdzili bowiem, że najlepiej będzie oddać egzekwowanie przepisów w ręce zwykłych obywateli. Tym sposobem od 1 września każdy obywatel USA może pozwać każdego, kto na terenie Teksasu pomaga kobiecie dokonać aborcji po szóstym tygodniu ciąży. Pozwanymi mogą być krewni kobiety, a nawet (teoretycznie) kierowca taksówki, który wiedząc, że jego klientka jest w zaawansowanej ciąży, wiezie ją do gabinetu aborcyjnego. Prawdziwym celem SB8 są jednak kliniki aborcyjne oraz ich pracownicy.

W przypadku wygranej sprawy sądowej skarżący ma otrzymać od drugiej strony 10 tys. dol. oraz zwrot wynagrodzenia dla adwokata. I właśnie zapis o egzekucji prawa przez zwykłych obywateli okazał się bardzo problematyczny dla lobby aborcyjnego. Sąd Najwyższy stwierdził bowiem, że niejasne pozostaje na razie, czy można wnioskować o tymczasowe zablokowanie tego prawa, skoro to nie władze stanowe będą egzekwowały zakaz aborcji po szóstym tygodniu. Decyzją 5:4 najważniejsi amerykańscy sędziowie stwierdzili, że nie odniosą się do wniosku przemysłu aborcyjnego o zablokowanie SB8. W ten sposób po raz pierwszy od 1973 r. w jednym ze stanów zaczęły obowiązywać przepisy, które w bardzo istotny sposób uderzają w „prawo do wyboru".

Efekty już widać. Gabinety aborcyjne zmuszone są masowo odsyłać klientki, co oznacza dla nich narastające straty (każda aborcja w pierwszym trymestrze to koszt co najmniej 500 dol.). Marva Sadler, kierowniczka kliniki aborcyjnej

eprasa.pl 491d86afd3

Protest zwolenników aborcji po tym, jak Teksas uchwalił ustawę SB8, Austin, 1 września 2021 r.

FOT. SERGIO FLORES/THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES

Whole Women's Health w Fort Worth, jednym z największych miast Teksasu, załamywała ręce na antenie lokalnej telewizji: „Nie możemy zapewnić opieki naszym pacjentkom, ponieważ badania USG potwierdziły, że w obecnych warunkach nie są w stanie poddać się naszej procedurze".

Lobby aborcyjne podkreśla, że w szóstym tygodniu ciąży wiele osób (mówienie w kontekście ciąży tylko o kobietach uznawane jest coraz powszechniej za transfobię) nie wie, że doszło do zapłodnienia. Według szacunków podawanych przez Planned Parenthood wejście w życie teksańskiego prawa oznacza, że ok. 85 proc. potencjalnych klientek nie będzie mogło skorzystać z „procedury".

INTERWENCJA BIDENA

„Prawo to zostało tak napisane, że może być trudno walczyć z nim w sądach. To ogromna zmiana w wojnie o prawo do aborcji, która może być zachętą dla innych podmiotów, które chciałyby ograniczyć dostęp do aborcji" – przyznaje „The New York Times". I faktycznie – już siedem innych stanów rządzonych przez republikanów planuje uchwalić bliźniacze przepisy.

„To nic innego jak niszczenie społeczeństwa, demokracji i konstytucji. To przerażające" – komentowała na antenie ABC News Alexis McGill Johnson, przewodnicząca Planned Parenthood.

– Przeciwnicy tego prawa twierdzą, że to „ekstremalne" przepisy. Tymczasem niektóre stany w Ameryce pozwalają na dokonywanie aborcji – z jakiegokolwiek powodu – przez całe dziewięć miesięcy ciąży. Obrona życia nigdy nie jest żadnym „ekstremizmem" – mówi „Do Rzeczy" Carol Tobias.

W ten coraz gorętszy spór włączył się też Joe Biden, po raz kolejny publicznie występując przeciw fundamentalnej kwestii dla Kościoła katolickiego, do którego amerykański prezydent cały czas się przyznaje. Jeszcze dekadę temu Biden twierdził, że choć osobiście uważa, iż życie zaczyna się w momencie zapłodnienia, to jednak nie zamierza nikomu narzucać swojej „interpretacji". Dziś już jednak amerykański prezydent nie zgadza się z tą opinią i twierdzi, że z człowiekiem mamy do czynienia dopiero na jakimś bliżej niesprecyzowanym „późniejszym etapie" rozwoju płodowego.

Tuż po wejściu w życie SB8 Biden ogłosił, że teksańska ustawa jest w swoim duchu „nieamerykańska" i stanowi „bezprecedensowy atak" na „prawa kobiet". – Całkowicie obcy ludzie będą mogli teraz zgodnie z prawem wtrącać się w najbardziej prywatne i osobiste decyzje dotyczące zdrowia, przed którymi stoją kobiety – powiedział amerykański prezydent, informując przy okazji, że zlecił sprawdzenie, czy rząd federalny ma narzędzia, dzięki którym możliwe byłoby powstrzymanie SB8.

Merrick Garland, prokurator generalny USA, ogłosił w zeszłym tygodniu, że rząd federalny będzie bronił dostępu do aborcji w Teksasie. Przypomniał, że od 1994 r. obowiązuje w USA „FACE Act" (Freedom of Access to Clinic Entrances) – ustawa federalna dająca gwarancję swobodnego wejścia do lokali oferujących aborcje. FBI ma czuwać nad przestrzeganiem prawa, na razie jednak nie wiadomo jeszcze dokładnie, jak to „czuwanie" miałoby wyglądać. Dodatkowo liderzy Partii Demokratycznej wezwali Departament Sprawiedliwości, by pozywał do sądu wszystkie osoby, które będą pozywały w oparciu o SB8.

KORPORACJE KONTRATAKUJĄ

Oprócz czołowych polityków Partii Demokratycznej, celebrytów i organizacji feministycznych do chóru nieprzejednanych krytyków teksańskiej ustawy dołączyły największe korporacje, które rozpoczęły szantażowanie stanowych władz. Tuż po wejściu w życie SB8 magazyn „Forbes" opublikował sondaż, z którego miałoby wynikać, że aż dwie trzecie Amerykanów z wyższym wykształceniem będą unikały kontaktów biznesowych z Teksasem właśnie z powodu antyaborcyjnego prawa. Gubernator Teksasu Greg Abbott przekonuje jednak, że jego rząd nie ugnie się, a na razie i tak Teksas jest na szczycie listy stanów, jeżeli chodzi o wewnętrzną migrację – żaden inny stan nie przyciąga do siebie aż tylu przybyszów z innych stanów.

Wiele o atmosferze biznesowej wokół SB8 mówi przypadek Johna Gibsona, szefa Tripwire Interactive, firmy tworzącej gry komputerowe. Tuż po wejściu w życie teksańskiej ustawy antyaborcyjnej Gibson napisał na Twitterze: „Jestem dumny z decyzji Sądu Najwyższego, która podtrzymuje prawo w Teksasie zakazujące aborcji po wykryciu u dziecka bicia serca".

Wobec wezwań do bojkotu firmy Gibson został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska. Jego przeciwnicy zarzucali mu „upolitycznianie" działalności firmy, choć w drugą stronę ta logika nie działa. Współpracujące z Tripwire Interactive firmy otwarcie wskazywały, że groźba bojkotu wynika z „nieakceptowalnego" stanowisko Gibsona, ale same ostro potępiały teksańską ustawę.

Do akcji sprzeciwu wobec SB8 dołączyły też platformy przewozowe Uber i Lyft, deklarując, że zapewnią swoim kierowcom opiekę prawną w przypadku pozwów i dodatkowo zadeklarowały wsparcie finansowe dla Planned Parenthood.

Czy nowe teksańskie prawo ma szansę w realny sposób zmienić przebieg wojny o aborcję w USA? – Dziś nie wiemy, jak długo to prawo będzie utrzymane w mocy, ponieważ niewykluczone, że któryś z sądów znajdzie w końcu sposób, by je zatrzymać. Jednak to nowe podejście może mieć bardzo dalekosiężne skutki na prawodawstwo w innych stanach – podkreśla Carol Tobias z National Right to Life Committee.

Do kolejnej wielkiej bitwy o aborcję dojdzie już tej jesieni, gdy amerykański Sąd Najwyższy wypowie się na temat konstytucyjności ustawy antyaborcyjnej uchwalonej przez republikanów z Missisipi. Amerykańscy proliferzy liczą, że wobec przewagi konserwatywnych sędziów (5:4) uda się – przynajmniej częściowo – naprawić szkody wyrządzone przez Roe v. Wade.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

Agnieszka Niewińska

Rzemiosło uratowane

Szyją płaszcze, robią szczotki, naprawiają parasole, ale klientów im ubywa. Aby zmienić ten trend, z pomocą rzemieślnikom przyszło młode pokolenie

Szpulki z nićmi trudno byłoby zliczyć. Setki, w różnych kolorach, poukładane są na półkach, poustawiane w papierowych pudełkach. Na ścianie wiszą dziesiątki wykrojów. Za maszyną z centymetrem przewieszonym przez szyję siedzi krawcowa Stefania Ziółkowska. Swój zakład przy ulicy Wiejskiej 24 we Włocławku otworzyła w 1984 r. – Wykonuję wszystkie możliwe poprawki krawieckie – mówi. A jeśli klient sobie życzy, to uszyje na miarę i sukienkę, i płaszcz. – Jestem już na emeryturze, ale jest ona niewielka, więc cały czas pracuję. Zakład jest blisko domu, pracę lubię, a przez lata nagromadziłam tyle sprzętu, że żal byłoby teraz wszystko zostawić – opowiada.

Przy ulicy Pabianickiej 50 w Łodzi zakład szewski prowadzi pan Andrzej Buksiński. Usługi szewskie to rodzinna tradycja. W 1956 r. zakład założył ojciec pana Andrzeja, Henryk. – W tym zawodzie nie wystarczy zmienianie fleków. Trzeba umieć wszystko. Ja uczyłem się od taty – mówi Andrzej Buksiński. Naprawia nie tylko buty, lecz także torebki czy paski. Na razie nie ma następcy. – Młodzi się tego fachu nie uczą. To jest zawód ginący, choć oczywiście zakłady szewskie nie znikną za chwilę. Sądzę jednak, że za 10 lat już ich prawie nie będzie – podkreśla szewc. Jak mówi, buty przychodzą naprawiać do niego i młodzi, i starsi. – Tyle że jest ich dużo mniej niż kiedyś – dodaje. Nie myśli jednak o zamknięciu zakładu. – Został mi rok do emerytury, więc na razie zakład będę prowadził – zaznacza.

KRAWIEC W INTERNECIE

Jak podaje Ministerstwo Rozwoju Pracy i Technologii, w Polsce w izbach rzemieślniczych zrzeszonych jest blisko 300 tys. przedsiębiorców. Część z nich to rzemieślnicy na emeryturze. Rzemiosło to kilkaset zawodów. Obok szewców i krawców to także m.in. rękawicznicy, kapelusznicy, kaletnicy, grawerzy, tapicerzy, parasolnicy, złotnicy, szczotkarze, cukiernicy czy piekarze. O wielu z tych fachów mówi się jako o ginących. Aby zakłady te nie zniknęły z naszych ulic, w pomoc rzemieślnikom zaangażowało się młode pokolenie. Zajęło się tym, by informację o rzemieślnikach można było znaleźć w Internecie i na mapach.

„Dziadkowie Biznesu" to projekt studentów Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, zrealizowany w ramach ogólnopolskiej olimpiady Zwolnieni z Teorii. Polega ona na zaplanowaniu i przeprowadzeniu przez uczniów i studentów projektu społecznego. Studenci UW postanowili dotrzeć do biznesmenów seniorów, prowadzących zakłady rzemieślnicze, kwiaciarnie, cukiernie, księgarnie czy sklepy. Opisali ich historie, zrobili zdjęcia, zebrali adresy, dane kontaktowe i zajęli się marketingiem w mediach społecznościowych. Tylko na Facebooku „Dziadków Biznesu" obserwuje ponad 40 tys. użytkowników.

Wśród promowanych przedsiębiorców jest pani Teresa, która w Katowicach od 30 lat prowadzi lodziarnię, pan Jan z Torunia – szewc od 1944 r. czy pan Mariusz z Lublina prowadzący od 1992 r. pracownię szklarsko-ramiarską. Autorzy „Dziadków Biznesu" odwiedzili także panią Stefanię Ziółkowską. – Przyszli do mnie studenci, którzy chcieli porozmawiać o biznesie na emeryturze – wspomina pani Stefania. I dodaje, że nie przypuszczała, iż tamta rozmowa przysporzy jej klientów. – Po trzech miesiącach zaczęły pojawiać się u mnie osoby, które o moim zakładzie przeczytały w Internecie. Mam sporo pracy – cieszy się. Przyznaje, że pandemia takim zakładom jak jej pracownia krawiecka dała mocno w kość. – W styczniu i lutym nie miałam co robić. Myślałam o tym, że gdy przyjdzie kolejny taki miesiąc, to trzeba będzie zamknąć działalność– mówi.

Andrzej Buksiński, którego zakład również znalazł się w projekcie „Dziadkowie Biznesu", też ma nadzieję na to, że przybędzie mu klientów. Właśnie wrócił

eprasa.pl 491d86afd3

FOT. ADOBE STOCK

z urlopu, więc łodzianie mogą już oddawać swoje buty i torby do naprawy.

– Nasza uwaga została skierowana w stronę seniorów i zdecydowaliśmy się zająć problemem wykluczenia cyfrowego osób starszych. Tak powstała ta inicjatywa. Wyszukujemy biznesy prowadzone przez seniorów, którzy nie prowadzą żadnej kampanii promocyjnej czy marketingu w mediach społecznościowych – opowiadał w materiale na stronie www.uw.edu.pl współautor projektu „Dziadkowie Biznesu" Jan Bawolik, student zarządzania na UW. – Satysfakcja jest ogromna. Szczególnie kiedy kontaktujemy się z naszymi seniorami, o których pisaliśmy, i słyszymy od nich, że ustawiają się do nich kolejki, a myśleli już o zamknięciu biznesu. Kiedy widzimy, że nasz projekt faktycznie działa, to jest to dla nas motywujące. Widzimy też po reakcji osób, które nas obserwują, że jest to przydatna inicjatywa. To są rzeczy, które popychają nas do przodu i sprawiają, że chcemy dalej pomagać i nie przestawać – dodawał Bawolik.

Warszawskich rzemieślników łatwo znaleźć na mapie. Przygotowało ją stowarzyszenie Miasto Jest Nasze. – Mapa jest dostępna w Internecie pod adresem www.rzemieslnicy.waw.pl, ale drukowaliśmy ją także w formie ulotek – mówi Anna Fiszer ze Stowarzyszenia Miasto Jest Nasze. Podkreśla, że projekt okazał się podwójnym sukcesem. – Po pierwsze warszawskim rzemieślnikom przybyło klientów, do niektórych wręcz ustawiały się kolejki. Po drugie stworzeniem własnej mapy rzemieślników zainteresowały się inne miasta. Powstała już taka mapa we Wrocławiu a wiele innych miast jest zainteresowanych tych projektem – opowiada Anna Fiszer.

Jak mówi głównym problemem rzemieślników czy innych drobnych przedsiębiorców jest to, że mało kto o nich wie. – Wielu z nich działa tak jakby byli wciąż w latach 90. Internet jest dla nich obcy, nie znajdziemy tam o nich żadnych informacji. Jeśli ktoś nie wie, że w jego najbliższej okolicy działa szewc czy rękawicznik, to w sieci nie jest w stanie ich znaleźć. Choć oczywiście są też takie osoby, które z sukcesem zaistniały w sieci. Część rzemieślników niechętnie jednak podchodzi do tematu stron internetowych. Nawet jeśli pomoże się im w stworzeniu własnej witryny, to sami nie będą jej uaktualniać. Wielu skłania się ku przejściu na emeryturę, więc nie myślą już o reklamie, wyjściu z informacją do klientów, a już z pewnością o prowadzeniu sprzedaży przez Internet. Problemem dla wielu zakładów jest też lokalizacja. Bywa, że muszą opuścić zajmowany od lat lokal ze względu na niekorzystną politykę miasta, która winduje ceny najmu. Po przeprowadzce rzemieślnika klientom trudno odnaleźć zakład – tłumaczy Anna Fiszer.

Co do losów rzemiosła jest jednak optymistką. Jej zdaniem w dużych miastach wiele zawodów przetrwa. – Możemy już mówić o nowej fali rzemiosła. Kiedyś potrzebny był dyplom czeladniczy. Dziś ludzie, już bez dyplomów, otwierają własną działalność. W Warszawie pojawiły się zakłady renowacji obuwia. Pracujące tam osoby potrafią zdziałać cuda, ale obchodzenia się z butami uczą się od rzemieślników. A ci bardzo chętnie dzielą się swoją wiedzą – mówi Anna Fiszer. I dodaje. – O szewców jestem spokojna, podobnie jak o rzemieślnicze piekarnie czy cukiernie, które w dużych miastach powstają na każdym rogu. Ostatnio modne jest nie tylko naprawianie butów czy ubrań, ale także noszenie oryginalnych nakryć głowy. Zaniknąć może jednak fach rękawiczników. Rękawiczki na miarę sprawiają sobie nieliczni.

OSIEDLOWY SKLEP CZY SIECIÓWKA?

Z naszych ulic znikają nie tylko zakłady rzemieślnicze. Coraz mniej jest nienależących do dużych sieci sklepów, kwiaciarni, księgarń. Wyprawki szkolne częściej kupujemy w dużych marketach i w Internecie niż w osiedlowych sklepach papierniczych i księgarniach, takich jak Syrenka w Kielcach prowadzona od 50 lat przez panią Basię, do której odwiedzin zachęca projekt „Dziadkowie Biznesu".

Stowarzyszenie Miasto Jest Nasze przygotowało mapę warszawskich rzemieślników. Podobna mapa powstała we Wrocławiu

Mateusz Perowicz, koordynator aplikacji Pola, za pomocą której możemy zeskanować produkt i sprawdzić m.in., czy produkuje go firma z polskim kapitałem i na terenie naszego kraju, podkreśla, że każda decyzja zakupowa ma znaczenie. – Wybierając konkretny produkt, wspierajmy konkretnego przedsiębiorcę, stojący za nim kapitał i politykę firmy. Jeśli ktoś woli wspierać zagraniczny koncern, to w takiej postawie nie ma nic negatywnego. Gorzej, jeśli konsument nie ma świadomości, gdzie trafiają jego pieniądze – mówi. I dodaje: – Różnica pomiędzy osiedlowym sklepem a zachodnią siecią marketów jest dość znacząca i dotyczy podatków. Robiąc zakupy w małym, lokalnym sklepie, mamy gwarancję, że zostawione tam pieniądze przyczynią się do rozwijania naszej najbliższej okolicy czy usług publicznych. W zagranicznej sieci sklepów takiej gwarancji nie mamy. Wśród 10. największych sieci handlowych w Polsce nie ma ani jednej z polskim kapitałem. Z opublikowanego przez Ministerstwo Finansów zestawienia wynika, że część sieci handlowych w ogóle nie płaci w Polsce podatku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Emeryci przyszłością narodu. Serio?

Jako potencjalnemu przyszłemu emerytowi – a kto nim nie jest? – tytułowe hasło powinno mi przypaść do gustu. Powinno mi się podobać tym bardziej, tym mocniej, im bliżej jestem granicy uzyskania prawa do przejścia na emeryturę, a ta przecież – nie tylko w moim przypadku – jest coraz bliżej, a nie coraz dalej. A jednak hasło to nie podoba mi się nic a nic. I nic a nic nie podoba mi się ciągłe zabieganie przez rządzących polityków o głosy emerytów – ponad 6 mln emerytów, o czym warto pamiętać, by lepiej zrozumieć ich desperację. Zabieganie na przeróżne sposoby – niemal wyłącznie za pomocą pieniędzy bezceremonialnie wyciąganych z kieszeni młodszych Polaków: dzieci, wnuków i prawnuków tychże emerytów.

Nie podoba mi się więc to niezwykle kosztowne dla podatników i fatalne w skutkach dla polskiego rynku pracy obniżenie wieku emerytalnego z 67 lat dla kobiet i mężczyzn do na powrót 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn. Nie podobają mi się te wszystkie ekstraordynaryjne podwyżki emerytur, fundowane zresztą przeważnie (wyłącznie?) posiadaczom niższych świadczeń (co de facto oznacza karanie tych, którzy zapracowali na wyższe), te wszystkie 13. i 14. emerytury, to ostatnio obiecane de facto zniesienie podatku dochodowego od większości emerytur (bo wygląda na to, że pomysł znacznego podniesienia kwoty wolnej od podatku zaplanowany jest głównie „pod emerytów"). Toż za to wszystko słono płacą dziś i będą płacić w przyszłości dzieci, wnuki i prawnuki emerytów. Nasze dzieci, nasze wnuki i nasze prawnuki.

Owszem, niektóre z tych pomysłów – z tych wydatków publicznych – miałyby sens, gdyby wprowadzano je z umiarem, bacząc na stan publicznej kasy i nie fundując ich na kredyt – na rachunek wystawiony właśnie naszym dzieciom, wnukom i prawnukom. (Tym bardziej że gospodarstwa domowe emerytów są u nas – relatywnie, w porównaniu z pozostałymi – całkiem nieźle sytuowane).

A nasze dzieci, wnuki i prawnuki… Cóż, chcąc nie chcąc, będą na te ekstrawagancje łożyć – wszelako tylko do chwili, gdy przytłoczone coraz trudniejszym do udźwignięcia ciężarem finansowanych przez siebie wydatków po prostu się od tego – w ten czy inny sposób – uchylą. Na przykład wyjeżdżając na dłużej lub na stałe z ojczyzny – śladem już niemal 2,5 mln (!) polskich emigrantów z ostatnich dekad, którzy wybrali życie w którymś z państw, gdzie przyszłością narodu są ci, którzy powinni nią być – najbardziej dynamiczni, najbardziej pracowici, zazwyczaj młodsi niż starsi – i to na nich się stawia w podatkowo-budżetowych kalkulacjach. A nie emeryci – z całym szacunkiem dla nich, dla ich dorobku oraz zasług i z całą należną im (lecz nie ponad miarę) pomocą. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ludowe głosowanie nad maseczkami

Pamiętają państwo głośną scenę, kiedy to w Jeżowem poseł Konfederacji Grzegorz Braun – wielokrotnie już wykluczany z obrad Sejmu za brak maseczki – pokazał obecnego tam na naradzie w sprawie szczepień ministra Niedzielskiego w otoczeniu swoich współpracowników i miejscowych urzędników – oczywiście bez maseczki? Maseczka, symbol covidowych restrykcji, który – wedle deklaracji szefa resortu zdrowia – ma z nami zostać na lata, stała się już tylko rekwizytem dla gawiedzi.

Mam więc dla pana Niedzielskiego przykrą wiadomość: maseczki zostały w Polsce praktycznie zniesione w głosowaniu ludowym

Jako uczestnik różnych spotkań i konferencji mogę powiedzieć szczerze: jeżeli politycy maseczki zakładają, to niemal wyłącznie do kamer. Chwilę po tym, jak te się zwiną, idą np. do bufetu, zwykle towarzyszącego konferencjom, i tam oczywiście już bez maseczki wdają się w bliskie kontakty społeczne z innymi uczestnikami. Podczas tych spotkań za brak maseczki na twarzy nikt nie goni.

Szczególnym pod tym względem doświadczeniem było tegoroczne Forum Ekonomiczne w Karpaczu. Jego twórca i szef, Zygmunt Berdychowski, zapowiadał testy, sprawdzanie paszportów covidowych, pobieranie próbek od niezaszczepionych, a maseczki miały być w ogóle niekwestionowaną oczywistością. Otóż nic z tego nie miało miejsca. Nie tylko na palcach jednej ręki w kilkutysięcznym tłumie można było policzyć osoby w maseczkach, ale nawet nie było weryfikacji certyfikatów szczepionkowych, o jakichś próbkach nie mówiąc. Pełna wolnoamerykanka. I nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek był tym jakoś szczególnie zaniepokojony.

Dzieje się więc, przynajmniej na razie, to, co można było przewidywać jako względnie optymistyczny scenariusz: politycy i urzędnicy mówią jedno – grzmią, grożą, uchwalają ustawy i zatwierdzają rozporządzenia – zaś rzeczywistość idzie swoim torem, weryfikując te zapędy. Mam więc dla pana Niedzielskiego przykrą wiadomość: maseczki zostały w Polsce praktycznie zniesione w głosowaniu ludowym. Ludzie mają pana ministra i jego zalecenia tam, gdzie lądują zużyte „kagańce". Dała o sobie znać nasza polska anarchia, która już wiele razy ratowała nas z różnych opresji. I bardzo dobrze. ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

Ekologia nie jest za darmo

Urszula Hofman

Sebastian Juszczak

Inwestorzy wdrażają w życie coraz to nowsze ekologiczne pomysły nie tylko z uwagi na zadowolenie przyszłych mieszkańców czy też na zalety marketingowe.

Istnieje wiele i wciąż powstają nowe przepisy czy normy, które nakładają na inwestorów obowiązki zastosowania określonych ekologicznych rozwiązań w budownictwie.

Jednakże warto zastanowić się nad tym, czy aby przepisy nakładające obowiązek rozwiązań ekologicznych są faktycznie środowiskowo efektywne i czy nie stanowią zbyt wysokiego obciążenia finansowego dla kupujących i przyszłych użytkowników mieszkań.

Z badań wynika, że blisko 80 proc. kupujących stwierdza, że ekologiczne rozwiązania mają znaczenie przy wyborze mieszkania. Jednak tylko ok. 55 proc. badanych wskazuje, że byłaby gotowa zapłacić więcej za ekorozwiązania, przy czym aż 20 proc. badanych wskazało, że nie chciałoby dopłacać. Pamiętajmy, że ekologia nie jest za darmo. Na etapie realizacji budowy koszty ekologicznych rozwiązań ponosi inwestor, ale ostatecznie zawsze ten koszt jest wkomponowany w cenę mieszkania. A ceny stale rosną. Ekologiczne rozwiązania powinny zapewniać tańsze użytkowanie obiektu, ale niestety koszty zakupu, montażu czy później naprawy ekologicznych rozwiązań są często wyższe.

Dlatego politycy – zarówno krajowi, jak i unijni – przy ustalaniu regulacji narzucających zwiększone wymogi w zakresie ekologii powinni mieć również na uwadze ich koszt. A czasem – niezależnie od słusznych intencji – przyjmowane przepisy nie przynoszą proporcjonalnych korzyści dla środowiska w porównaniu z ceną, którą muszą za nie zapłacić kupujący mieszkania.

Jednym z takich przykładów są zwiększone wymogi energetyczne dla nowego budownictwa w zakresie zapotrzebowania budynków na nieodnawialną energię pierwotną, które obowiązują od początku tego roku. Nie wgłębiając się w techniczne zagadnienia, przepisy zaostrzają parametry izolacyjne okien, ścian czy stropów. Zmiany w zakresie izolacji cieplnej wiążą się ze wzrostem cen materiałów budowlanych, a tym samym zwiększeniem kosztów budowy. Według szacunków dopasowanie okien do wymogów zawartych w przepisach rozporządzenia podniesie ich cenę o ok. 30–35 proc. Natomiast okres zwrotu wykorzystanej energii z danej inwestycji wyniesie kilkadziesiąt lat w przypadku okien pionowych, a w przypadku okien dachowych nawet ponad 100 lat. Projektowane rozwiązanie przewiduje nieproporcjonalne koszty w stosunku do oferowanych korzyści środowiskowych, ponieważ badania pokazują, że obecnie niewielka część ciepła przenika i jest tracona w bilansie ciepła przez okna.

Nawet jeśli projektant przewidzi całą gamę ekologicznych rozwiązań zwiększających efektywność energetyczną budynku, to i tak musi dotrzymać wspomnianych wyższych wskaźników izolacji ciepła. A projektanci mają dostęp do wielu rynkowych innowacji w zakresie energooszczędności. Rozwiązania te są nie tylko bardziej przyjazne dla środowiska, lecz także ich zastosowanie wpływa na obniżenie bieżących rachunków mieszkańców. Ponadto możliwe do zastosowania rozwiązania cechuje dużo szybsza stopa zwrotu. Przykładem będą instalacje wykorzystujące odnawialne źródła energii (OZE) – np. panele fotowoltaiczne czy pompy ciepła.

Inną kłopotliwą regulacją jest rozporządzenie ministra klimatu i środowiska, które weszło w życie w maju b.r. jako odpowiedź na wzrost elektromobilności w Polsce. Przepisy te zakładają, że obecnie budowane budynki muszą posiadać minimalną moc przyłączeniową, tak jakby co drugi mieszkaniec inwestycji miał mieć samochód elektryczny. Jednak aktualna liczba samochodów elektrycznych w Polsce nie stanowi nawet procentu użytkowanych aut, a za zwiększone wymogi zapłacimy wszyscy. Niestety, przepisy nie zawierają żadnego mechanizmu stopniowego zwiększania minimalnej mocy, powiązanego z przyrostem aut elektrycznych w nadchodzących latach. Skutki? Operatorzy energii już teraz muszą rozbudować sieci energetyczne, a koszty ponoszą kupujący. Nierzadko inwestorzy, w związku z koniecznością rozbudowy sieci na potrzeby przyłączenia stacji do ładowania samochodów elektrycznych, muszą ponosić koszty budowy stacji transformatorowych. Ostatnio komentowany dość szeroko był przypadek, gdzie inwestor realizujący kameralne osiedle, musiałby zwiększyć koszt jednego metra mieszkania o 4464,28 zł z uwagi właśnie na konieczność wybudowania sieci transformatorowej. Infrastrukturą mediów powinni zajmować się jej gestorzy, jednakże oczekiwanie na rozbudowę sieci przez spółki elektryczne trwa zazwyczaj wiele lat. A do tego dochodzą koszty utrzymania sieci, za które wszyscy płacimy wciąż zwiększające się rachunki.

To tylko dwa przykłady regulacji, które są słuszne w celu, ale niewłaściwe w środkach.

Warto zastanowić się nad rozwiązaniami innowacyjnymi, które uczynią nieruchomość bardziej korzystną dla środowiska bez znacznego zwiększania kosztów realizacji. Jako przykład warto wspomnieć o prefabrykacji i zastosowaniu betonu absorbującego dwutlenek węgla. Materiał prefabrykowany, posiadający certyfikat antysmogowości, produkowany jest w fabryce HM Factory w Sochaczewie. Z wykorzystaniem materiału antysmogowego realizowane są w większości budynki Grupy Inwest. Zastosowanie nowoczesnej technologii antysmogowości nie wpływa docelowo na wyższe koszty użytkowania mieszkania.

Jako społeczeństwo powinniśmy coraz silniej kłaść nacisk na rozwiązania ekologiczne, ale też logiczne oraz innowacyjne. Nie chodzi o to, aby inwestować więcej bez rozwoju technologii – grubsze okna, więcej prądu – przecież ekologicznie to też więcej kosztuje. Polska nie znajduje się w strefie ekologicznej, gdzie prąd produkowany jest tylko przez fotowoltaikę. Ustanawiajmy proporcjonalne i logiczne regulacje. Ostatecznie ekologia nie jest za darmo.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 491d86afd3

Piękne dzielnice

Joanna Bojańczyk

„L'Agence" – serial Netflixa – to galanteria, choć z gatunku dokumentalnych. Ale przy okazji ciekawe studium obserwacyjne fragmentu współczesnego świata. Agencja luksusowych nieruchomości prowadzi nas do miejsc i ludzi, do których rzadko docieramy

Beaux quartiers", piękne dzielnice. Każdy paryżanin wie, o co chodzi. Tak nazywa się południowo-zachodnią część miasta. Neuilly, Auteuil, Passy, Boulogne, czyli „dzielnice powszechnie uważane za najbogatsze w Paryżu, spokojne, zamożne i bardzo drogie" – mówi Wikipedia.

To wszystko tereny łowcze bohaterów dokumentalnego serialu francuskiego „L'Agence". Polecam go wszystkim tym, którzy chcą przyjemnie spędzić wieczorną godzinę. Tak, to galanteria serialowa, choć z gatunku dokumentalnego. Ale przy okazji ciekawe studium obserwacyjne pewnego fragmentu współczesnego świata. Miejsc i ludzi, do których rzadko docieramy. Poza Paryżem bohaterka serialu, agencja luksusowych nieruchomości Kretz i Partnerzy, oferuje luksusowe wille i posiadłości w Grecji, Portugalii, Brazylii, na Florydzie. Sprzeda zamek, znajdzie odpowiedzialnego lokatora dla pięknego domu pod Paryżem. Wyszuka nietypowe luksusowe miejsce w Paryżu na pokaz prasowy dla firmy jubilerskiej. Warunek: widok z okna na dwa zabytki...

Agencję założyli państwo Kretzowie, małżeństwo 60-latków. Wcześniej nie zajmowali się nieruchomościami – ona była nauczycielką, on wykonywał zawód bliżej nieokreślony. Ale wciągnęli się w ten biznes i wciągnęli do niego synów. Wszystko jest tu piękne, optymistyczne i luksusowe. Rodzina Kretzów – wzorowa, kochająca się i wspierająca nawzajem. Eleganccy, zamożni, zadowoleni z życia, pięknie mieszkają, jeżdżą teslą.

Z klientami, równie eleganckimi i kulturalnymi jak oni, wszystko się udaje. Nikt się nie targuje, nie narzeka, nie oszukuje. Biznes w pięknych realiach Paryża idzie jak z płatka. To wszystko jest aż tak idealne. Nic dziwnego, że stało się obiektem zainteresowania producentów Netflixa, którzy zobaczyli w tym materiał na serial. Cóż gwarantuje lepszą oglądalność niż bajka o bogaczach i ich hermetycznym świecie?

LADY WHO LUNCH

Towarzyszymy Kretzom w kolejnych transakcjach. Z nimi i z ich klientami zwiedzamy mieszkania, lofty, domy, zamki. Miejsca, których nie zobaczylibyśmy w czasie wycieczki z przewodnikiem biura turystycznego.

Oto 150 metrów, trzy sypialnie i salon, w centrum Paryża. Umeblowanie i wyposażenie supernowoczesne, na ścianach dzieła współczesnych artystów, taras jak łąka kwietna, widok na wieżę Eiffla. Całkowita prywatność. Dwa i pół miliona euro.

Loft w modnej dzielnicy Marais, zaadaptowany w budynku dawnej fabryki koronek na nowoczesne „inteligentne" mieszkanie z dwoma sypialniami i pięknym tarasem. Półtora miliona euro.

Nie tylko Paryż. Agencja Kretz i Partnerzy oferuje nieruchomości w całej Francji. Dom w Prowansji można mieć za 2 mln euro. Dwustuletnia willa na Ibizie z basenem i tarasowym ogrodem – 2,5 mln. W bonusie domek dla gości na terenie posiadłości, z kilkoma sypialniami, całkowicie wyposażony.

Jeszcze ciekawsze niż te cudowne mieszkania, domy i zamki jest poznanie tych, którzy je kupują. Kandydaci na właścicieli nie są specjalnie wylewni. Oto pięćdziesięcioparoletni projektant ogrodów (pracował dla króla Maroka) z młodszą o 25 lat partnerką, Marokanką, początkującą projektantką mody. Szukają pięknego, oryginalnego, położonego z dala od innych domu z dużym ogrodem. Budżet: od 2 do 4,5 mln.

Pani koło siedemdziesiątki, z gatunku „ladies who lunch" (bogate niepracujące kobiety, które spędzają czas na lunchach z przyjaciółkami). Mieszkanie wybiera ona, ale decyduje i płaci mąż. Obejrzała już 30 mieszkań, żadne jej nie zainteresowało. Szuka tarasu z całkowitą prywatnością i szerokim widokiem na Paryż.

Elegancka pani koło pięćdziesiątki zainteresowana mieszkaniem w XVII-wiecznej kamienicy przy placu Wogezów, w jednej z najlepszych lokalizacji w Paryżu, w której transakcje zdarzają

eprasa.pl 491d86afd3

„L'Agence" to ciekawe studium obserwacyjne miejsc i ludzi, do których rzadko docieramy. Rodzina Kretzów (na zdjęciu) jest wzorowa, kochająca się i wspierająca nawzajem. Eleganccy, zamożni, zadowoleni z życia, pięknie mieszkają, jeżdżą teslą FOT. MATERIAŁY PRASOWE

się raz na rok. Bardzo podoba się jej 130-metrowe mieszkanie, ale jeszcze bardziej młody i przystojny agent, 30-latek Martin Kretz...

UKRYTY BASEN ITP.

Kto ma budżet od 2 do 15 mln euro, ten może stawiać wymagania. Wymóg pierwszy i najważniejszy dla kandydatów na właścicieli: absolutna prywatność. Duże pieniądze lubią ciszę (pomińmy kwestię dlaczego). Nikt nas nie widzi, my nie widzimy nikogo. Jeśli to mieszkanie – to na tarasie będzie można opalać się nago i urządzać intymne kolacje, jeśli dom – to koniecznie duża działka, najlepiej parę hektarów, bez czegokolwiek poza drzewami lub morzem w zasięgu wzroku. Plus gwarancja potwierdzona w merostwie, że obok nie powstaną apartamentowiec ani hotel.

Wymóg drugi: cisza. Nie ma mowy, żeby w sąsiedztwie znajdowała się ruchliwa ulica, o dyskotece nie mówiąc. Głośni sąsiedzi wykluczeni. Tu ma zadziałać dyskretny wywiad agencji – sąsiedztwo ma być sprawdzone.

Wymóg trzeci: miejsce nietypowe z autentycznym wystrojem, zachowanymi fragmentami starej konstrukcji, stolarki, wyposażenia. Klienci doceniają autentyzm, cenią rzeczy wyjątkowe, wartościowe, dzieła sztuki. Kafelki z Leroy Merlin nie przejdą.

Agenci Kretzów mają swojej techniki. Trzeba klienta zaskoczyć (efekt wow pożądany). Po wejściu do mieszkania/domu pokazać największe, najbardziej efektowne pomieszczenie, najlepiej salon. „Nie prowadź od razu do kuchni, nawet jeśli jest najbliżej drzwi" – poucza starszy brat młodszego, który wdraża się do biznesu. Jednak nawet zamożny klient ma trudności z podjęciem decyzji. Na niezdecydowanych psychologowie firmy Kretz mają swoje sposoby. Nie czując entuzjazmu klienta, wyjmują asa z rękawa. Może to być imponujący ogród na dachu („Proszę usiąść na chwilę i poczuć atmosferę"), dekoracja wykonana przez znanego architekta. Można zaskoczonego klienta zaprowadzić do ukrytego basenu, odkryć przed nim czarodziejski widok z sypialni, odsłonić przestrzeń gościnną zamaskowaną za ścianą biblioteki. Klient jest zdobyty.

Gdy w grę wchodzi bardzo poważna transakcja – o wartości kilkunastu milionów euro – a dodatkowo kupujący jest człowiekiem o znanym nazwisku, nie załatwia on sprawy osobiście. Przysyła zaufaną osobę doskonale zorientowaną w jego gustach i potrzebach. Ona wyczuje, co w danym miejscu jest OK, a czego zleceniodawca nie zaakceptuje. Transakcja odbywa się w warunkach całkowitej dyskrecji.

Między poszczególne transakcje realizatorzy serialu wpletli epizody z (niby) życia rodzinno-zawodowego Kretzów. Zabieg paradokumentalny, telenowelowy może się spodobać, bo ociepla raport i wprowadza „czynnik ludzki"... A to bracia się pokłócili (zaraz się pogodzili), a to jeden z synów się żeni i uczestniczymy w jego ślubie na wyspie Ré. Nie wiem, czy kłótnie, śluby i rodzinne kolacje państwo Kretzowie odgrywali specjalnie dla Netflixa, wygląda to sztucznie, ale chciałabym wierzyć, że istnieją tacy ludzie, takie rodziny, takie plastikowe szczęście.

Dobrze jest również przyjrzeć się działaniu agencji nieruchomości. Nawet tak nietypowej jak ta, promil rynku. Wszystko przebiega profesjonalnie. Właściciele mieszkania nie są obecni przy pokazywaniu. Agent jest dobrze przygotowany do prezentacji, zna dokładnie dane obiektu: sprawy własnościowe, opłaty za energię, gaz, wywóz śmieci, kwestie wspólnoty, także szczegóły budowlane mieszkania: z czego jest parkiet, na które strony wychodzą okna, jak naświetlone są poszczególne pomieszczenia. Nie ma mowy, żeby pilot odpalający gazowy kominek nie zadziałał.

„L'AGENCE: LUKSUSOWE NIERUCHOMOŚCI"
FRANCJA 2021

GDZIE TU WSCHÓD?

Polski widz serialu siłą rzeczy zaczyna tamtą rzeczywistość porównywać z naszą. Różnica zamożności w skali kraju i mniejszej – miast, standardu mieszkań, poziomu życia – jest oczywista. Rezydencja w Prowansji nijak się ma do domku letniskowego nad Zalewem Zegrzyńskim. Haussmanowskiego mieszkania przy Ogrodzie Luksemburskim nie da się porównać z mieszkaniem w „apartamencie" osiedla deweloperskiego zbudowanego na peryferiach… W porównaniu z Paryżem, Londynem czy Nowym Jorkiem jesteśmy biedną osadą. Warszawa jest miastem odbudowanym, próżno by szukać takich miejsc jak w Paryżu oraz inwestorów takich jak tamtejsi.

Ale też wydawałoby się, że nasz rynek jest łatwiejszy do opanowania dla agenta, przynajmniej powinien być. Tymczasem o tym, że działanie rynku nieruchomości jest jeszcze mało profesjonalne, może się przekonać każdy, gdy pozna agentów w akcji. Można to zapewne zrzucić na karb wieku dziecięcego rynku, który istnieje u nas zaledwie od 30 lat i nie ma jeszcze wypracowanych utrwalonych standardów działania.

– Z którego roku ten dom? – pyta klient. Agentka nie wie, pyta właściciela, który też nie wie. Dla niej lata 50., 60. czy 30. to to samo. Agenci często nie znają miasta ani jego historii. Nie wiedzą, z czego i jak budowano, niewiele interesuje ich architektura. – Kto projektował dom? – A czy to jest istotne dla sprawy? – pyta zdezorientowana.

Zamiast przedstawiać klientowi konkretne informacje, agent zachwala. „Ładny pokój... Dużo światła. Tu jest sypialnia – pokazuje, wchodząc do pokoju z łóżkiem, jakby klient nie miał oczu. Na jaką stronę wychodzą te okna? – pyta klient. Agent nie wie. W panice szuka kierunków na kompasie komórki.

Trochę może przesadzam, ale tak to na razie wygląda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

TEST „DO RZECZY": ROBOT ODKURZAJĄCO-MOPUJĄCY ECOVACS DEEBOT T9

Funkcja odkurzania i zmywania podłogi na mokro w jednym urządzeniu, możliwość jednoczesnego odświeżania powietrza podczas odkurzania, długi czas pracy na jednym ładowaniu oraz sprawnie działający algorytm do omijania przeszkód połączony z laserową nawigacją – to największe zalety robota Deebot T9 istniejącej od ponad 20 lat chińskiej firmy Ecovacs.

T9 to kolejny model robota, który ma ułatwić człowiekowi życie, zwalniając go ze żmudnego obowiązku odkurzania i mopowania podłóg. I trzeba przyznać, że radzi sobie z tym zadaniem całkiem nieźle. Sprawnie odkurza większą część mieszkania lub danego poziomu domu. Pracuje w miarę szybko i stosunkowo cicho. Jego przewagą nad modelami konkurencji jest wbudowany odświeżacz powietrza, który jest zaskakująco przydatnym bajerem: w posprzątanych pomieszczeniach robot zostawia rzeczywiście przyjemny, świeży zapach.

Robota można zaprogramować na odkurzanie o konkretnych porach. W dowolnej chwili za pomocą aplikacji da się również włączyć urządzenie z dowolnego miejsca na ziemi (w którym jest Internet). Trzeba jednak pamiętać, że aby zmienić funkcję z odkurzania na mopowanie, trzeba też ręcznie zmienić przystawkę na taką, która zawiera również zbiornik na wodę i płytę wibrującą z matą ścierającą. Wyjeżdżając na wakacje, lepiej więc zostawić robota gotowego do zwykłego regularnego odkurzania.

Bardzo fajną opcją jest też możliwość wyboru siły ssania odkurzacza (dostępne są cztery tryby: od cichego do maksymalnego+). W trybie mopowania użytkownik może z kolei wybrać m.in. to, ile wody robot powinien używać podczas zmywania podłóg. Do zalet należy też dodać stosunkowo cichą pracę, niemal zupełnie bezgłośny powrót do stacji bazowej oraz estetyczne wzornictwo. Dużym plusem jest też długi czas pracy na jednym ładowaniu. Według producenta wynosi on nawet 175 minut, co jest więcej niż wystarczającym wynikiem, aby posprzątać nie tylko mieszkanie, lecz także nawet cały jeden poziom w dużym domu jednorodzinnym.

Wady? W trybie zwykłego odkurzania Deebot T9 potrafił zawiesić się na grubym dywanie lub po prostu podczas sprzątania omijał fragmenty podłogi z grubymi dywanami. Wada druga: choć w przypadku mniejszych mieszkań funkcja mapowania powinna zdać egzamin, to właściciele domów jednorodzinnych o większej powierzchni muszą przed zakończeniem tworzenia pierwszej wirtualnej mapy wypić szklaneczkę czegoś na uspokojenie – sztuczna inteligencja wymaga bowiem wówczas sporo cierpliwości i tolerancji na błędy (np. dodawanie na mapie pomieszczeń, których w rzeczywistości nie ma). Kiedy jednak po którejś próbie proces mapowania zakończy się już sukcesem, robot działa naprawdę bardzo dobrze.

Mimo swoich wad Deebot T9 zasługuje na solidną czwórkę w pięciogwiazdkowej skali. Niestety, robot nie należy do najtańszych na rynku. Bez stacji dokującej kosztuje 2699 zł, a ze stacją, która automatycznie opróżnia pojemnik na kurz, jego cena rośnie do 3499 zł. ©℗

Jacek Przybylski

ŻARÓWKA Z... LICENCJĄ NA ZABIJANIE

LIFX Clean to inteligentna żarówka, która dzięki trybowi światła HEV (high-energy visible light) może być używana do niszczenia bakterii takich jak E. coli (nie zabija jednak wirusów). Dezynfekowane obiekty trzeba umieścić blisko żarówki i naświetlać przez dłuższy czas (w aplikacji można wybrać czas do 12 godzin). Czy to działa? Producent twierdzi, że tak, choć nie wiadomo, czy żarówka w domu sprawdzi się tak samo dobrze jak w laboratorium. Według twórców gadżetu żarówka współpracuje z Alexą, Hey Google i Siri, a do poprawnej pracy potrzebuje tylko wi-fi. Żarówki są już dostępne w Polsce. Niestety, wzornictwo pasuje bardziej do garażu niż salonu. Żarówka jest też zabójcza dla portfela: jedna kosztuje aż 370 zł, a za dwupak trzeba zapłacić 630 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

INTELIGENTNA MATA DO JOGI

YogiFi to połączenie tradycyjnej maty do jogi ze sztuczną inteligencją i odpowiednią aplikacją. Według producenta taki zestaw potrafi zastąpić doświadczonego trenera, analizować postępy podczas treningów i wskazać prawidłowy sposób wykonywania ćwiczeń. Gadżet można również sparować z zegarkami takich producentów jak Apple, Fitbit etc. W zeszłym roku gadżet kosztował na jednym z portali crowdfundingowych 99 dol. W tym roku producent sprzedaje już swoją matę w 17 krajach świata za 399 dol ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 491d86afd3

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pręgierz

W dawnej Polsce kamienny pomnik hańby stanowił nieodłączny szczegół widoku każdego dużego miasta, poczynając od Krakowa, a skończywszy na Warszawie, Poznaniu czy o wiele mniejszym Szydłowcu. Zwykle był to kamienny słup zwieńczony kulą albo rzeźbą ukazującą kata, rycerza lub alegorię sprawiedliwości. Warszawski, który do połowy XIX w. znajdował się przy ratuszu, u wylotu ulicy Nowomiejskiej, miał postać słupa, na którym umieszczono figurę starca z brodą, trzymającego w jednym ręku uciętą głową, a w drugim – miecz sprawiedliwości. Ten w Poznaniu zwieńczony jest statuetką rycerza, a we Wrocławiu – figurką kata dzierżącego miecz i pęk rózeg.

Pręgierz zwany był także, jak podaje Gloger, „Piłatem" albo „pręgą", gdyż służył jako narzędzie, przy którym wymierzano drobniejsze kary, w tym piętnowanie, czyli wspomnianą „pręgę". Nie zawsze przeprowadzał je osobiście kat – często bił jego pomocnik, czeladnik zwany „niedobrym", „budelem", „szargarzem" albo „hyclem".

Pręgierze znajdowały się także w mniejszych miasteczkach – tam budowano drewniane, podczas gdy w stolicy i rezydencji króla wznosiły się solidne, kamienne, wzorowane zapewne na niemieckich.

Przy każdym pręgierzu znajdowała się żelazna kuna, zwana także „klubą" lub „skublicą", był to zazwyczaj przykuty do słupa łańcuch zakończony obrożą zamykaną na szyi skazanego, który musiał w ten sposób spędzić nawet po kilka dni wystawiony na pośmiewisko, obrzucany błotem i śmieciami. W Krakowie wspomniane kuny znajdowały się także przy wejściu do kościoła Mariackiego – gdzie z kolei umieszczano grzeszników – takie zresztą znaleźć można było przy większości polskich kościołów do końca XVIII w. Podobna, aczkolwiek nieco mniej wygodna kuna utrzymująca grzesznika na sztywno przy ścianie zachowała się w kościele św. Katarzyny w Przecławicach, inne znajdziemy w Przedborzu, Płocku i Żórawinie.

Kara kuny mogła być bardzo dotkliwa – jak podaje Szymon Wrzesiński, pewien młynarz Wojciech z Zagórzan spędził przykuty pięć tygodni za cudzołóstwo.

Kogo bito i piętnowano „u pręgi"? Przede wszystkim, jak piszą Jan Kracik i Michał Rożek, drobnych złodziejaszków, ladacznice i swarliwe przekupki, czasem, np. przykład w Anglii, żony, które zdradzały przejawy „jędzowatości" – wówczas mąż mógł nałożyć jej maskę hańby lub zawołać pachołka miejskiego i kazać przykuć ją do pręgierza.

Według prawa magdeburskiego karaniu u pręgi podlegały w Krakowie kradzieże, w których zagrabiono mienie warte mniej niż trzy złote. Wówczas złodziejaszek, jak pisze Bartłomiej Groicki, „u pręgi ma być bity, włosy mają być oberżnione, co zowią łacinnicy poenam in cute et crinibus (karą na skórze i włosach)". Gdyby zaś złodziejaszek włosy miał krótkie? I na to był sposób – „tedy kawalec ucha albo nosa miasto włosów urzynają, a jeśliby ucha nie miał, na twarzy bywa nacechowan". Niezależnie od tych kar dodatkowych złapanych na złodziejstwie „za każdym razem miotłami u pręgi biją". Często kara pręgierza była tylko wstępem do dalszych męczarni, a nawet stracenia.

Pręgierz w Poznaniu na ilustracji z „Encyklopedii staropolskiej" (Gloger) z XIX w.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Gdzie dziś w Polsce zachowały się pręgierze? Przede wszystkim ten na Starym Rynku w Poznaniu, ozdobiony figurą rycerza. Kolejny stoi na rynku we Wrocławiu, niestety jest kopią pochodzącego z 1492 r., gdyż oryginał został mocno uszkodzony w 1945 r., w czasie oblężenia miasta przez Rosjan. W Krakowie pręgierz znajdował się naprzeciwko ratusza, w pobliżu pałacu Spiskiego. Był kolumną, w górnej części trzonu miał kunę – obręcz na szyję i okowy na ręce. W pierwszej połowie XIX w. przeniesiono go do Mydlnik i ustawiono przy drodze z Łobzowa, dziś jest podstawą pod świętą figurę (obecnie to prywatna posesja).

Unikalnym zabytkiem jest pochodzący z początku XVII w. pręgierz w Szydłowcu ustawiony przed ratuszem – ostatni raz używany był w 1788 r. Co ciekawe, znajduje się tutaj również drugi pręgierz – przeznaczony dla kobiet i zwany Zośką; oba widoczne są na rycinie Zygmunta Vogla przedstawiającej Wielki Rynek w 1795 r. Historia nie była jednak dla tego ostatniego łaskawa, bo na początku XIX w. kolumnę rozebrano, część wykorzystując jako… nagrobek ks. Stanisława Straszaka, zmarłego w 1833 r., inny fragment rzeźby zamurowano zaś w ścianie ratusza. Odnaleziony w czasie remontu budowli połączony został z resztą pręgierza, odrestaurowany, ustawiony przed ratuszem i uroczyście odsłonięty w 2009 r. ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

Inteligentny lek potrafi niszczyć chłoniaka

Katarzyna Pinkosz

– Jestem szczęściarą: czwartą osobą w Polsce, która otrzymała nowoczesny lek. Dobrze by było, żeby inne osoby też mogły skorzystać z tak innowacyjnej terapii – mówi 49-letnia Joanna, która choruje na chłoniaka rozlanego z dużych komórek B

Kąpiąc się, pani Joanna wyczuła pod pachą spore zgrubienie. Zaniepokoiło ją to tak, że szybko poszła do lekarza. Pani doktor od razu wypisała skierowanie na USG. Potem biopsja, kolejne badania i diagnoza: chłoniak rozlany z dużych komórek B (DLBCL). To najczęściej rozpoznawany chłoniak u dorosłych. Agresywny, szybko się rozwija, dlatego dla dalszego rokowania pacjenta bardzo ważne jest, żeby jak najszybciej została postawiona diagnoza i rozpoczęte leczenie.

Chłoniaki to nowotwory wywodzące się z tkanki chłonnej. Profesor Iwona Hus, kierująca Oddziałem Chorób Układu Chłonnego w Instytucie Hematologii i Transfuzjologii w Warszawie i przewodnicząca Polskiego Towarzystwa Hematologów i Transfuzjologów, wyjaśnia, że generalnie można podzielić chłoniaki na takie, które rozwijają się powoli (indolentne), oraz te o szybkim, agresywnym przebiegu, jak właśnie DLBCL. – Jeśli chorego nie zaczniemy szybko leczyć, to czas jego przeżycia można liczyć w miesiącach, czasami nawet w tygodniach. Jednak dobrą wiadomością jest to, że jeśli leczenie jest rozpoczęte jak najszybciej, to pacjent ma szansę nawet na całkowite wyleczenie. W przypadku DLBCL każdy tydzień ma znaczenie dla rokowania chorego – podkreśla prof. Hus.

Najczęstszymi objawami chłoniaków są właśnie powiększenie węzłów chłonnych, zgrubienie na szyi, pod pachą, a także powiększenie wątroby, śledziony. Często pojawiają się także objawy ogólne (gorączka, poty nocne, chudnięcie, zmęczenie, częste infekcje). Objawy zależą również od tego, gdzie jest zlokalizowany chłoniak (a może być zlokalizowany nie tylko w węzłach chłonnych, lecz także np. w ścianie żołądka, gruczołach piersiowych, skórze). Na DLBCL najczęściej chorują osoby po 60. roku życia, choć zachorowania zdarzają się też u osób młodszych, jak u pani Joanny.

WALKA O ŻYCIE

Leczenie w pierwszej linii jest dobrze znane już od wielu lat i często bardzo skuteczne: polega na zastosowaniu przeciwciała monoklonalnego (rytuksymabu) w połączeniu z chemioterapią. – Dzięki temu ok. 60 proc. chorych jesteśmy w stanie wyleczyć. Problem jest z pozostałymi 40 proc. pacjentów, u których choroba jest albo oporna na leczenie, albo powraca. Niestety, w takim przypadku staje się znacznie trudniejsza do opanowania – podkreśla prof. Hus.

Młodszym pacjentom, którzy są w dobrym stanie ogólnym i nie mają chorób współistniejących, można jeszcze zaproponować wysokodawkowaną chemioterapię, a później autologiczne przeszczepienie szpiku. Niestety, tylko połowa chorych zakwalifikowanych do chemioterapii uzyskuje taką odpowiedź na leczenie, że jest możliwa transplantacja szpiku. Część osób dzięki temu może być wyleczona, jednak dla pozostałych pacjentów do niedawna nie było już żadnej możliwości pomocy, poza leczeniem paliatywnym. Obecnie takie opcje już się pojawiły. Pierwsza to terapia CAR-T (w tym wskazaniu jeszcze w Polsce nierefundowana), druga to nowoczesny lek: polatuzumab vedotin, zarejestrowany w styczniu 2020 r. w tym

eprasa.pl 491d86afd3

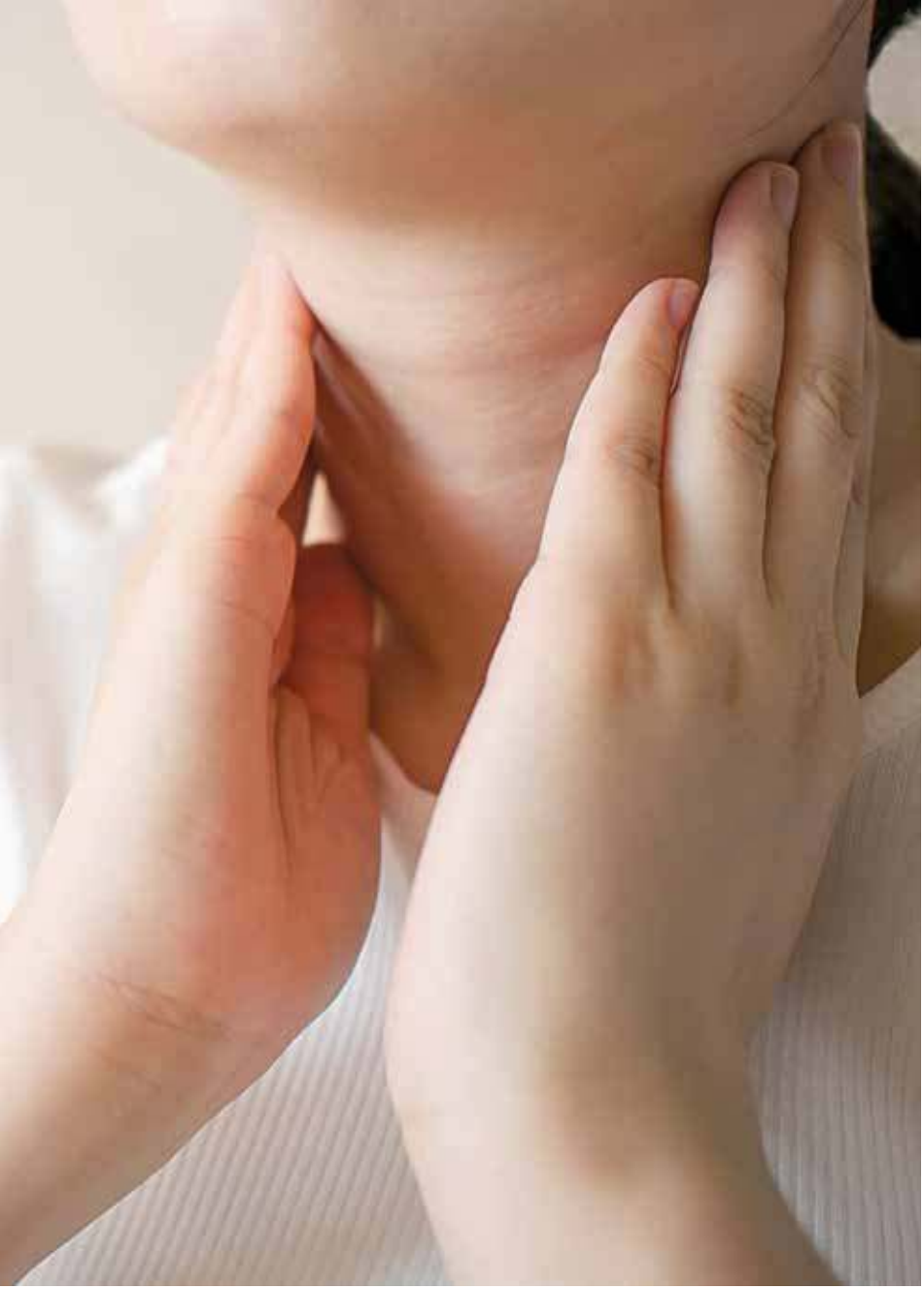

FOT. ADOBE STOCK

wskazaniu w Europie. – To lek nowej generacji, składający się jakby z dwóch leków: przeciwciała monoklonalnego oraz z cytostatyku (czyli chemioterapii). Przeciwciało ma doprowadzić cytostatyk do komórki nowotworowej, tam zostaje on wchłonięty, a następnie niszczy on komórki chłoniaka – wyjaśnia prof. Hus. Profesor Wojciech Jurczak, kierujący Pododdziałem Leczenia Nowotworów Układu Chłonnego w Klinice Onkologii Klinicznej Narodowego Instytutu Onkologii w Krakowie, obrazowo porównuje działanie nowego leku do… barana wypełnionego siarką z legendy o smoku wawelskim. – Baranek został połknięty przez smoka wawelskiego, siarka spaliła go od środka. Tu jest podobnie: przeciwciało monoklonalne wprowadza toksynę do komórek chłoniaka. Podajemy lek z chirurgiczną precyzją. Gdybyśmy taką toksynę podali nie w sposób celowany, skutki uboczne mogłyby uniemożliwić leczenie. Taka terapia powoduje ponad dwukrotne wydłużenie czasu przeżycia chorych. To jest nokaut w porównaniu z zastosowaniem chemioterapii – przekonuje prof. Jurczak.

DOSTĘPNOŚĆ LECZENIA

Polatuzumab vedotin w Polsce nie jest jeszcze refundowany (choć otrzymał już pozytywną opinię Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji). Polskie ośrodki mogły go stosować u pacjentów w ramach badań klinicznych, gdy jeszcze nie był zarejestrowany. Obecnie, dopóki nie będzie refundowany, dopóty jedyną możliwością, by podać go choremu, jest procedura RDTL (Ratunkowego Dostępu do Technologii Lekowych). – Jestem szczęściarą, bo dostaję najnowszy lek i dzięki temu żyję. Dobrze by było, żebym nie tylko ja i trzy inne osoby w Polsce dostawały takie leczenie – mówi pani Joanna.

Uzyskanie leczenia poprzez procedurę RDTL nie jest proste i nie wszyscy chorzy są tak leczeni. Tymczasem w przypadku nawrotu choroby również niesłychanie ważny dla dalszych losów pacjenta jest czas: im szybciej podejmie się leczenie, tym większa szansa na to, że choroba się cofnie lub zatrzyma. – Tu nie można mówić: za miesiąc, za rok. Ja mam leczenie. Ale ile jest takich osób, które czekają? – dodaje pani Joanna.

Profesor Jurczak zwraca uwagę, że co prawda chorym można by również zaproponować terapię CAR-T, jednak wymaga to znacznie więcej procedur przygotowawczych: limfocyty T trzeba pobrać, poddać modyfikacji, podać pacjentowi. To trwa, a w przypadku chorych bardzo liczy się czas. – Przełom w leczeniu DLBCL nie jest możliwy bez nowych technologii, eskalacja dawek chemioterapii nie jest już najskuteczniejszą metodą leczenia – zaznacza ekspert.

Leczenie w pierwszej linii jest dobrze znane już od wielu lat i często bardzo skuteczne

Pani Joanna cieszy się drugim życiem, które ma dzięki leczeniu, chce jednak, by mogli z niego korzystać też inni chorzy. – Pan Bóg po to pozostawił mnie na świecie, żebym tu coś jeszcze dobrego zrobiła, nie dla siebie, tylko dla innych – zaznacza. – Chłoniaka rozlanego z dużych komórek B można dziś pokonać lub żyć z nim wiele lat, warunkiem jest jednak możliwość dostępu do nowych terapii, których w Polsce bardzo brakuje. Muszą o nich też wiedzieć pacjenci, dlatego właśnie powstała Fundacja Pokonaj Chłoniaka. Pacjenci muszą też walczyć o to, żeby dostępność do nowoczesnych terapii w Polsce była taka sama jak w innych krajach, choćby w Czechach – zaznacza prof. Jurczak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 491d86afd3

ŁOSOŚ NA ODPORNOŚĆ

Powoli nastaje jesień, ale to nie znaczy, że na naszym stole będzie nudno. Żeby zadbać o trendy i prostotę w kuchni oraz o zdrowie i odporność, polecam... casserole, czyli zapiekane warzywa z surowym łososiem, podane z sosem chrzanowo-parmezanowym i siekaną pietruszką. Łosoś to niesamowita ilość białka, aminokwasów i wielu innych wartości odżywczych. Smakuje doskonale w każdej postaci. Dla poszukujących kulinarnych eksperymentów z łososiem polecam podawanie tej ryby w różnych zupach, takich jak chociażby angielski chowder. Ale dziś serwujemy casserole.

Składniki:

- 1 kalafior
- 1 brokuł
- po 2 papryki czerwone, zielone i żółte
- 3 marchwie
- 2 selery
- 2 pory
- 2 limonki
- 2 cytryny
- 2 selery naciowe
- 50 g chrzanu
- 50 g tartego parmezanu
- 70 g natki pietruszki
- 1 l śmietanki kremówki 30-procentowej
- 1 opakowanie roszponki
- migdały
- sól, pieprz

FOT. GABRIEL PRZYBYLSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Przygotowanie:

Łososia oprawiamy, myjemy dokładnie pod bieżącą wodą i osuszamy. Brokuł, kalafior, marchew, papryki, por i seler myjemy, obieramy i siekamy w grube plastry. Rozgrzewamy na patelni oliwę i prażymy sól, pieprz i zioła. Dorzucamy skrojone warzywa, podsmażamy, ale niezbyt długo, by pozostały twardawe. Warzywa wykańczamy masłem i świeżo zsiekanym czosnkiem. Mieszamy, dodajemy sok z limonki i cytryny. Przekładamy wszytko do naczynia żaroodpornego.

Na patelni rozgrzewamy śmietanę kremówkę i doprowadzamy ją do momentu, aż zacznie się proces redukcji (odparowywania). Dodajemy chrzan i zsiekaną natkę pietruszki. Wszystko mieszamy, czekamy, aż sos zacznie gęstnieć. Dokładamy łyżeczkę masła i czekamy, aż sos sam zgęstnieje.

Do naczynia dokładamy świeżo pokrojony seler naciowy, zalewamy wszystko naszym sosem i wkładamy do piekarnika rozgrzanego do 180 st. C. Pieczemy z włączonym termoobiegiem przez 10 min. Dokładamy łososia wykrojonego w ładne steki, posypujemy solą, pieprzem i ziołami prowansalskimi. Pieczemy ponownie do momentu, aż łosoś nie zacznie się ścinać.

W osobnym garnku wytapiany masło i czekamy, aż się spieni. Dodajemy mąkę i cały czas mieszamy. Doprowadzamy do momentu zasmażki. Dodajemy bardzo powoli mleko i doprowadzamy do momentu uzyskania gęstego sosu.

Zapiekankę wykładamy na talerz, układamy na niej łososia, polewamy po wszystkim sosem.

Dekorujemy płatkami parmezanu, migdałami i świeżą roszponką. ©℗ ***oprac. raw***

Patryk Kwieciński jest szefem kuchni.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dobre rady i maniery

Kto od wielu lat udziela nam bezcennych rad na wszystkie problemy życia? Oczywiście Amerykanie. Od czasu, gdy na rynku księgarskim przestało dominować kilka państwowych domów wydawniczych, zalewają go amerykańskie poradniki. Byliśmy – i jesteśmy – przez Amerykanów pouczani, jak odnieść sukces, jak zdrowo się odżywiać, jak schudnąć, jak ćwiczyć, jak zdobyć przyjaciół, pieniądze, szczęście itp. Myślałam, że to się ostatnio trochę uspokoiło, bo też nasz stosunek do Ameryki nie jest już taki jak kiedyś, czyli całkiem bezkrytyczny.

Ale nie. Trzymam właśnie w ręku książkę Amy Alkon „Dobre maniery dla miłych ludzi, którzy czasem mówią k...a". Zachwala wydawca: „Nowoczesny przewodnik dobrych manier. Realistyczne rady na realne sytuacje i mnóstwo dobrego humoru". Rzeczywiście, na brak rad nie można się skarżyć; co do humoru, to jest go tyle, że chciałoby się, żeby przez chwilę było poważnie. Pani Alkon istotnie jest dowcipna, ale też widocznie uważa, że poradnictwo na poważnie jest już passé, nikt tego nie przeczyta. Musi być śmiesznie. Toteż mamy tu wiele sytuacji zabawnie opisanych i – co przyznaję – życiowo. Każdy z nas doświadczył nudziarzy, którzy niczego nie umieją powiedzieć krótko, natrętów, którzy dzwonią nie wiadomo po co, chamów, którzy ogłuszają nas niechcianą głośną muzyką itp. Amy Alkon daje rozwiązania, zapewniam, wiele z nich rozsądnych i sympatycznych.

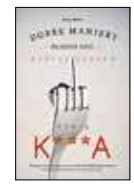

AMY ALKON „DOBRE MANIERY DLA MIŁYCH LUDZI, KTÓRZY CZASEM MÓWIĄ K...A"
GRUPA WYDAWNICZA RELACJA 2016

I rzeczywiście z tym humorem to ma rację. Na drętwo się nie da. Pamiętam, jak w dawnym „Twoim Stylu" rad ze śmiertelną powagą udzielał Edward Pietkiewicz, były dyplomata. Było tam o tym m.in., że rano dama ma włożyć suknię poranną, a o piątej – popołudniową. Żeby ktoś nie myślał, że to było za Franza Josepha. Nie – w latach 90.!!! Nie dziwię się, że autorzy poradników wybierają konwencję zabawową.

Książeczka ta nigdy nie pozwala nam jednak zapomnieć, że znajdujemy się w Ameryce. Jako przykład najbanalniejszych artykułów spożywczych autorka wymienia masło orzechowe, które w Stanach rzeczywiście jest masowo jedzone, ale o którym, jak sądzę, w Polsce 90 proc. ludzi nie ma pojęcia. Albo coś takiego: „W sytuacji, gdy dzwonisz do swego lekarza, by podyktować numer ubezpieczenia, a włącza się automatyczna sekretarka na recepcji". Jaki numer ubezpieczenia? O co chodzi? – zapyta ktoś czepialski (jak ja). Itp., itd.

Trudno, trzeba czepialstwo odpuścić. Miło się to czyta, lekko, przyjemnie. Ale czy będziemy od tego lepiej wychowani? W razie czego zawsze można winę zwalić na Amerykanów. U nas inny zwyczaj. ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Gdzie jest grypa?

Jeszcze w zeszłym roku spekulowałem sobie, że grypa nas wykończy. Niestety – wykrakałem. Myślałem, że gdy przyjdzie sezon na grypę, ta pomiesza się nam z COVID i fala zwyczajowej grypy pod koniec roku zaprowadzi nas w zaułek reagowania jak na pandemię i zamykania szpitali, by ratować covidowców. Nie przewidziałem, że skala będzie aż tak duża, że reakcje władz doprowadzą do skokowego wzrostu „cichych ofiar COVID", który spowodował ponad 40 tys. ponadnormatywnych zgonów już na przełomie października i listopada.

Potem zacząłem się zastanawiać nad fenomenem zniknięcia grypy. Ta jakby się zamieniła miejscami z COVID, ale przecież nie mogło tak być, bo porównanie COVID do grypy to największa herezja według koronaentuzjastów. Wtedy wyspekulowałem sobie kilka wariantów – dlaczego tak mogło się zdarzyć. Wygrywał logiczny wniosek, że – skoro grypa nie mogła ot, tak sobie zniknąć z planety, to diabeł ukrywa się w metodzie. To znaczy, że grypa jest i testy PCR wykrywają ją jako koronawirusa, w związku z czym miliony ludzi lądują z grypą na kwarantannie, zamiast – jak zwykle to było do tej pory – pod kołderką i ze wszystkim, co wzmacnia organizm. Uprzednio nabywają zaś odporności na świeżaku, prowadząc zdrowy tryb życia, a nie stresując się w zamknięciu kwarantann.

Dziś znalazłem naukowe potwierdzenie słuszności mojej hipotezy, które wyjaśnia cały ten splot tragicznych okoliczności (oczywiście przy założeniu, że świat się pomylił, a nie sterował w tę stronę). Otóż okazało się z badań amerykańskiej CDC przeprowadzonych na testach (czyli testy testów), że pozytywny test światowo uznawany za standard (przynajmniej u nas) wcale nie oznacza zakażenia. CDC wycofało się z testów PCR, ponieważ uznało, że nie są one w stanie odróżnić zakażenia COVID od zwyczajnej grypy i w obu przypadkach wskazują wynik pozytywny. To, nie waham się użyć tego słowa, epokowe odkrycie.

Przypomnę, że to dopiero testy WYWOŁAŁY pandemię, bo bez nich nie wiedzielibyśmy, że mamy kłopot.
Statystyka zresztą pokazuje, że nawet z testami wciąż nic strasznego się nie dzieje

Pal licho, bo to robota dla śledczych, czy to się stało przez pomyłkę spanikowanych władz, które szukały wszelkich wyjść, czy to było działanie zamierzone. Przypomnę, że to dopiero testy WYWOŁAŁY pandemię, bo bez nich nie wiedzielibyśmy, że mamy kłopot. Statystyka zresztą pokazuje, że nawet z testami wciąż nic strasznego się nie dzieje. A więc władze reagowały tylko na alarmistyczne dane zakażeń, chociaż wyszło dziś, że pokazywały one w równej mierze COVID co sezonowe grypy. A więc te pozytywnie fałszywe testy, nagłaśniane przez media w postaci rosnących statystyk, wprowadziły panikę wśród ludu i nadreakcję władz, bo przecież „coś trzeba zrobić". A więc na wszelki wypadek wszyscy w maski i zamykamy biznesy, by było widać naocznie, że reagujemy.

Piszę o tym, bo ten scenariusz może nas czekać. Władze zapowiadają czwartą falę, widocznie znają tę prawidłowość, że ona i tak przyjdzie w sezonowym rytmie, bo obecne dane nie wskazują na żadne cuda. Ja wiem, że dzienny wzrost z 1 do 10 zakażonych to 1000 proc. Ale ile się tak można bawić? Zaraz zakażenia tak testowane mogą wystrzelić do góry i zacznie się panika, wzmacniana przez przebierające nogami media. Bo nie wiem, czy zauważyliście – zrobiło się w mediach nudno, bo nie ma COVID. A ile można jechać z propagandą szczepionkową i tropieniem szczepoterrorystów? Zaraz się zacznie wchodzenie do lejka. Najpierw parę powiatów, potem województwa, czerwone, zielone, żółte. Rzec można – tęczowe. Potem wzajemna wrogość Polaków i szukanie wewnętrznych winnych tej sytuacji, jakby lockdowny były jakimiś żywiołami, na które nie mamy wpływu, a nie decyzjami administracyjnymi niekompetentnych gron.

I najgorsze, że bez ogólnej refleksji ten stan się będzie… sezonowo powtarzał. Że będziemy mieli cztery pory roku: lockdown, lockdown, lockdown i lato. Dziwi mnie jedno – wszystkie złe wieści na temat koronawirusa rozchodzą się szybko i są w postępowaniu władz natychmiast aplikowane jako strategie. Wszelkie „dobre" wieści, że coś może pójść lepiej, albo, co nie daj Boże, żeśmy się gdzieś mogli pomylić i można z tego wyjść na świat, okazują się zaś zwalczane i przemilczane. Czyli mamy międzynarodówkę obostrzeń, a dobre praktyki są lokalne i wyciszane. ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Gdy dzieci cię uczą

Jakieś ćwierć wieku temu (jak to brzmi!) pracowałem w gazecie, której redaktor naczelny był technologicznie zacofany. Nie ogarniał np. komputera, który był już wówczas standardem w pracy redakcyjnej. Naczelnego poddano zatem presji z wielu stron, by przesiadł się z maszyny do pisania na komputer.

Nie było łatwo, ale po miesiącach przekonywania i zaklinania w redaktorskim gabinecie zainstalowano w końcu lśniącego maca, a naczelny zasiadł za klawiaturą i napisał pierwsze zdanie. Składało się ono z trzech wulgaryzmów, czasownika i dwóch spójników, co wywołało oczywiście wielki entuzjazm w zespole.

Jestem teraz mniej więcej w wieku tego naczelnego i co chwila muszę nadrabiać technologiczne braki. Różnica jest jedna: mojego dawnego szefa edukowali jego rówieśnicy albo ludzie tylko ciut młodsi. Ja dzisiaj pracuję z ludźmi w wieku mojej córki. Sytuacja jest trochę jak ze sztuk socrealistycznych. W zakładzie pojawia się nowy młody specjalista, który chce wprowadzać nowe metody pracy. Starsi pracownicy z początku się opierają, ale w końcu dociera do nich, że te nowe metody są naprawdę dobre, i zaczynają je stosować, a po drodze aresztują amerykańskiego szpiega lub najemnego sabotażystę. To u nas jest podobnie, z wyjątkiem tego szpiega. Młodzi pokazują mi rozmaite aplikacje, dzięki którym zespołowa praca i zarządzanie zespołem stają się znacznie prostsze i bardziej przejrzyste.

To nieco krępujące, ile ja – niby szef i to siwy – uczę się od tych młodziaków. Ale trzeba się pogodzić z tym, że świat nowoczesnych technologii ludzi naszego pokolenia przytłacza i onieśmiela, a dla nich jest po prostu powietrzem, którym oddychają od urodzenia. Te ich ogromne i budzące podziw kompetencje mogą prowadzić do sytuacji, która właściwie już się dzieje. W popkulturze, reklamach, a trochę i w polityce pojawia się coraz silniejszy przekaz, żeby to oni – ci młodzi – przejęli stery i prowadzili nas ku nowoczesności, bo przecież oni tę nowoczesność najlepiej rozumieją. Wiedzą, którą aplikację wybrać, ale także jak uratować Ziemię i uczynić ją lepszym miejscem.

Wracając jednak na moje podwórko. Widzę, jak wiele się od nich uczę. Ale widzę też, jak wiele oni muszą się jeszcze uczyć. O ile wirtualny świat raczej nie ma dla nich tajemnic, o tyle ten rzeczywisty kryje mnóstwo pułapek, w które sami kiedyś wpadaliśmy, zbierając doświadczenia. Ciekawie jest obserwować, jak młodzi wpadają w te pułapki, szamoczą się, są zdezorientowani, zszokowani i oburzeni. A potem gramolą się z tych dołów i dochodzą do ważnych wniosków głównie na temat ludzi, którzy nie zawsze są tacy, jakimi się wydają. Oraz efektów swych działań, które nie zawsze okazują się tak imponujące, jak zakładali.

Zatem jeszcze wielu rzeczy muszą się dowiedzieć. Chociaż nie, to złe słowo. Oni muszą to przeżyć. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Niewyrównane rachunki krzywd

Małgośka – mówią mi – dajcie spokój z domaganiem się reparacji wojennych. Było, minęło! Dziwne – mówię – Theodor Adorno uważał, że po Auschwitz poezja jest niemożliwa, a okazuje się, że to jednak sprawiedliwość i pamięć jest niemożliwa lub źle widziana. Biedna Merkel, miała już „mgłę covidową" na długo przed pandemią, gdy dziękowała za uwolnienie Niemiec od dyktatury nazistowskiej. Kto ich tam wie, co jeszcze wymyślą? Może więc wystawienie rachunku wróci im pamięć zdarzeń?

My, Polacy, przywykliśmy, że w krajobrazie, zwłaszcza warszawskim, prawie nie ma zabytków. A jak coś się trafi, to odbudowane po zniszczeniach działań spółki Hitler & Stalin. Pod tym względem to my jesteśmy jak Kanada, wszystko „nówka sztuka", a na dokładkę w centrum stolicy zamiast pięknie zachowanej katedry – szpetny pałac Stalina. Najpierw nie wolno było upomnieć jednego Wielkiego Brata, teraz zaś trzeba zmilczeć krzywdy przed drugim Wielkim Bratem.

Podróżując po Europie, przywykłam przełykać gorycz, że innym się wszystko „ostało" i biletują wejścia, zarabiają, przyciągają, pysznią się. Ile czasem niedowierzania, że w Hiszpanii, która sprytnie zachowała neutralność w obu wojnach światowych, śpię w hotelu, który ma strop z XVI w. i skrzypiący kufer, w którym garderobę trzymała jakaś Dulcynea z Toboso. U nas takie rzadkie skarby ocalałe z pożogi byłyby już za szkłem, na wystawie i z karteczką: „Nie dotykać eksponatów". A w Toledo czy Ávili właściciel hotelu nawet ręki po kaucję nie wyciąga, bo widocznie jeśli turysta rozwali szafę z XVII w., to się weźmie i wstawi inny antyk od babki. A bierzcie i zużywajcie, turyści! To są niepojęte sprawy dla Polaka, który od małego rośnie w krajobrazie zrujnowanym przez totalitaryzmy i nawet nie zna zapachu staroci sprzed wieków.

Syty nie zrozumie głodnego" – tłumaczyłam się kiedyś znajomemu właścicielowi antykwariatu w Toledo, gdy stary Joaquin dziwił się, że dotykam nabożnie okucia ksiąg, głaszczę ich skórę i wącham starodruki. Miał skarby, o jakich marzyłoby niejedno muzeum druku w Europie. – Jak ja panu zazdroszczę – wzdychałam. – Siedzi pan w skarbcu i ma przed nosem portal katedry. Ale potomkowie dawnych imperiów i dziedzice obecnych nigdy nie zrozumieją, co czują ludzie żyjący od wieków w „strefie zgniotu".

Ci, którzy zgnietli, splądrowali i spalili, jako rasa panów mogliby również po pańsku wynagrodzić straty. Tym bardziej że kolejny raz przywiedli Europę na skraj szaleństwa, od teorii czystej rasy do jej wybuchowej mieszanki. ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zwierzęta ludzkie i pozaludzkie

Inwencja słowotwórcza niektórych przywódców Wielkiego Resetu cywilizacyjnego jest doprawdy niezwykła. Ryszard Legutko nazwał ich walkę „logomachią". Być może pani Sylwia Spurek wynalazła określenie „zwierzęta pozaludzkie", a może był to ktoś inny, kogo zacytowała. Nieważne. Ważne, by się bliżej przyjrzeć znaczeniu tego określenia. Jeśli bowiem istnieją „zwierzęta pozaludzkie", to niewątpliwie oznacza to, że ludzie są zwierzętami. W ten sposób buduje się podświadome zrównywanie człowieka i zwierzęcia pod każdym względem. Podświadome, czyli bez większego zastanowienia.

W sensie czysto biologicznym organizmy wielu zwierząt posiadają podobne funkcje i organy jak organizm człowieka. Jeśli jednak ktoś twierdzi, że człowiek jest zwierzęciem i kropka, to naprawdę nie wie, co mówi, oraz szkodzi sobie i innym. Zamiast dyskryminować zwierzęta, dyskryminuje bowiem ludzi.

Wytłumaczmy więc, jak komuś dobremu, jakie są różnice między człowiekiem a zwierzęciem, których pani Spurek chyba nie zna. Po pierwsze więc, kod genetyczny człowieka różni się od kodu genetycznego najwyżej rozwiniętych ssaków i to różni się bardziej od różnic między poszczególnymi osobnikami gatunku ludzkiego, nawet tymi, którzy mają się za zwierzęta. Kod genetyczny mniej rozwiniętych zwierząt różni się od ludzkiego bardziej i tu tkwi pewien problem. Jak bowiem zdefiniować granicę między „zwierzęciem pozaludzkim" i zwierzęciem zwykłym? Po której stronie umieścić fokę, nosorożca, guźca, aligatora, rekina, królika, mysz, mrówkę i pasikonika oraz czy któreś z tych zwierząt nie poczuje się dyskryminowane przez wykluczenie z pierwszej kategorii?

Jeśli jednak ktoś twierdzi, że człowiek jest zwierzęciem i kropka, to naprawdę nie wie, co mówi, oraz szkodzi sobie i innym. Zamiast dyskryminować zwierzęta, dyskryminuje bowiem ludzi

Po drugie, osobnik każdego gatunku zwierzęcego rozwija się w pewnych granicach, zdobywając doświadczenia i umiejętności typowe dla swego gatunku i nic więcej. Rozwój małpy może osiągnąć bardzo ciekawy poziom podstawowej komunikacji z człowiekiem, ale małpa nigdy nie napisze „Iliady" czy „Cierpień młodego Wertera". Niestety, obce są jej też pojęcia „wiara", „wiedza", „sumienie", „mądrość" czy „głupota". Małpa jest małpą i za to ją cenimy, nie osiągnie bowiem nigdy poziomu głupoty spotykanego u ludzi. Również najsympatyczniejszy szczeniak nie przekroczy z wiekiem poziomu doświadczonego psa. Nie zdobędzie doktoratu z filozofii, nawet jeśli dziś jest to łatwiejsze niż kiedykolwiek dla osób bezrozumnie puszczających wodze fantazji.

Po trzecie, człowiek ma umysł, który wytwarza różne idee, nawet tak głupie jak ta, że zwierzęta są równe ludziom. W 2014 r. sąd kasacyjny w Buenos Aires wydał orzeczenie, że orangutanica Sandy z tamtejszego zoo jest „osobą niebędącą człowiekiem", dzięki czemu można było ją z honorami przetransportować do Centrum Wielkich Małp na Florydzie. Nie wiadomo, czy otrzymała ona specjalne zaproszenie do tej podróży i czy wyraziła na nią zgodę na piśmie. Nie wiadomo też, dlaczego nie można było jej po prostu wpakować do klatki i przewieźć bez tych ceregieli. Nawet jednak zacnej Sandy nie przyszło chyba do głowy przedstawiać się jako „zwierzę pozaludzkie" i nazywać człowieka „zwierzęciem ludzkim".

Czy to ważne? Powiedział ktoś, że jeśli się komuś stale wmawia, że jest zwierzęciem, to zacznie się w końcu zachowywać jak zwierzę. Otóż jest jeszcze gorzej. Po czwarte bowiem, zwierzęta zachowują się w sposób z grubsza przewidywalny, jeśli poznamy ich zwyczaje i wyzwania, na które reagują. Ważnym kryterium ich zachowania jest potrzeba bezpieczeństwa, zaspokojenia głodu, pragnienia i pożądania. Człowiek natomiast ma fantazję nieograniczoną i dlatego nie bardzo wiadomo, co mu jeszcze przyjdzie do głowy, nawet jeśli to coś może zagrażać jego bezpieczeństwu. Dopiero kiedy zrozumie, że sobie zaszkodził, żałuje. Czy jakieś zwierzę żałowało absurdalnych poglądów i absurdalnego zachowania? ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

WIATRACZKI

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Wśród rządzących naszym światem (w tym Polską) są albo debile, albo cynicy – nikogo innego się nie dopuszcza. O co grają cynicy, trudno sprecyzować – oni mają cele ukryte, a debilizmy, które wykonują, są na pokaz – dla naiwnej gawiedzi.

Przykład: Jeżeli Barack Obama jest rzeczywiście i naprawdę przerażony podnoszeniem się poziomu oceanów, to czemu kupił sobie posiadłość na brzegu oceanu? Cynik i tyle. Gdyby wierzył w zmiany klimatu, kupiłby coś w górach Kolorado lub w stanie Wyoming – wysoko, daleko od morza, w strefie wolnej od „nieuniknionej fali huraganów, która będzie narastać". Kupił jednak na brzegu oceanu, bo wie, że ocean go nie zaleje, ale mimo to głosi klimatyczne bzdury i każe ludziom zaciskać pasa, zakazać węgla i ropy, latania samolotami i zjadania steków, bo krowy pierdzą, a krowie pierdy to CO_2.

Gdyby baron klimatyczny John Kerry wierzył w głoszone przez siebie tezy o emisji CO_2, „która doprowadzi nas do globalnej katastrofy", to nie latałby prywatnym odrzutowcem, lecz samolotami rejsowymi lub w ostateczności rządowymi, czyli razem z całą resztą oficjalnej delegacji, ale on woli samotnie prywatnym jetem i jego osobista emisja CO_2 go nie obchodzi.

Na zlotach klimatycznych w Davos stoją zaparkowane całe hektary prywatnych odrzutowców, którymi przylecieli ludzie „zatroskani o klimat". To wszystko cynicy.

***

A co z debilami u władzy?

Słowo „debil" jest obraźliwe, a nie ma powodu obrażać głupka za to, że jest głupi – nie jego wina, wyłącznie jego cecha. Jak więc nazwać debila, żeby go nie nazywać debilem? Może tak: Premier RP ma wiatraczki w głowie. Każe likwidować kopalnie, domowe piece i stawiać farmy wiatrowe, a udział „energii zielonej" zwiększać. Orlen – spółka rządowa – podpisał umowę z amerykańską firmą na produkcję farm wiatrowych, części mają być wytwarzane w Polsce i wszyscy się z tego cieszą. Debile albo cynicy.

Turbina wiatrowa wymaga 300 litrów oleju, żeby się nie zatarła i chodziła gładko. Nie może to być olej roślinny, czyli „zielony" – musi być syntetyczny, a żeby zrobić 300 litrów syntetycznego, trzeba zużyć tysiące litrów ropy naftowej, która jest be. Olej w wiatraczku wymienia się co roku i utylizuje, co jest kosztowne energetycznie (duża emisja CO_2). Można też wylać lub spalić albo cuś. Nie sądzę, by premier myślał tak daleko w przód, skoro ma wiatraczki w głowie. On kończy na etapie budowania farm wiatrowych, a nie na etapie „co potem robić z olejem i czy to w ogóle opłacalne".

***

Gdybyśmy chcieli zasilać Warszawę z turbin wiatrowych, trzeba by ich postawić ponad tysiąc (tych wielkich amerykańskich z Orlenu). Gdzie to zmieścić? Gdybyśmy chcieli wszystkie miasta w kraju zasilać z wiatraczków, może nam zabraknąć ziemi pod uprawy rolne. Wiatrak potrzebuje sporo pustej ziemi pod sobą i dookoła. I trzeba wyciąć wszystkie drzewa w okolicy, bo one zakłócają przepływ powietrza. Lub… zostawiamy istniejące lasy, bo nam szkoda drzew, ale za to zajmujemy ziemie orne. Coś zająć trzeba, do cholery, a wolnej pustej ziemi nie ma, bo wszędzie albo pola, albo lasy, albo domy.

To może zrezygnujmy z Warszawy i zasilmy Trójmiasto, a wiatraki postawimy na morzu. Tylko gdzie, skoro jeszcze trzeba gdzieś pływać statkami? No i obsługa farm na morzu kosztowna, czyli się nie opłaca.

***

A co, gdy wiatr nie powieje? Panele słoneczne? A co, gdy nie wieje i są chmury, i długie zimowe noce, a do tego turbiny wiatrowe zamarzły, tak jak wiosną w Texasie? Premier takich pytań nie stawia, tak daleko nie myśli.

Tysiąc turbin dla Warszawy oznacza 300 tys. litrów oleju rocznie – żeby się nie zatarły. „Czysta energia" wymaga strasznie dużo ropy naftowej – do produkcji oleju syntetycznego oraz na paliwo do maszyn służących do budowy i obsługi farm wiatrowych.

I jeszcze coś. Aby za pomocą „zielonej energii" produkowanej przez wiatraki zrównoważyć CO_2, które wypuścimy w powietrze w trakcie produkowania tych wiatraków (przez Orlen), każdy wiatrak musi pracować nieprzerwanie na 100 proc. swojej mocy przez lat 40. Niewykonalne, bo zdarzają się awarie oraz dni bez wiatru? Dobra, to w takim razie każdy wiatrak musi pracować na 75 proc. swojej mocy, ale przez lat 60 i wtedy dopiero odpracuje CO_2 wypuszczone na jego wyprodukowanie.

Kłopot w tym, że żywotność turbiny wiatrowej to 20 lat, a potem trzeba ją rozmontować i wywalić. Czyli? Czyli „zielona energia" z wiatraka nigdy nie zrównoważy energii „brudnej" zużytej do jego produkcji. Ale u premiera w głowie wiatraczki, a nie to, co będzie za lat 20 czy 40.

A może pan premier nie ma wiatraczków w głowie, lecz po prostu wie, że go tu za 20 lat nie będzie, bo wtedy już będzie inny premier… Hm. Co wolisz, premiera cynika czy premiera, który ma w głowie wiatraczki? Bo innej możliwości nie ma.

***

Najnowsze i najbardziej wydajne wiatraki wytrzymują 20 lat pracy. Co potem? Są wysoki słup i ogromne skrzydła z kompozytów. Nie wiemy, co będzie kiedyś, ale dzisiaj nie da się w opłacalny sposób wyremontować ani zutylizować takich wielkich skrzydeł. Można by je zemleć i zrobić z nich… Co? Torebki plastikowe, od których właśnie odchodzimy, bo zaśmiecają środowisko? Przerabianie zużytych skrzydeł jest nieopłacalne, więc na razie się je… SKŁADUJE. Zajmują sporo miejsca, a przecież składowisko też coś kosztuje. Jedno skrzydło ma 30 metrów, a są też dłuższe.

Premier pewnie uważa, że tym problemem martwić będziemy się dopiero za lat 20. Tak? A kiedy w Polsce stanął pierwszy wiatrak? I co ma w umowie na wynajem swojego terenu zapisane rolnik, który ucieszył się z dotacji i zezwolił na postawienie wiatraka? On ma w umowie wpisane (małym drukiem, ale bardzo wyraźnie), że wiatrak stawia firma X i robi to „darmo", ale po 20 latach za utylizację zużytego sprzętu i usunięcie go z pola odpowiada właściciel ziemi, na której wiatrak stoi. ©℗

eprasa.pl 491d86afd3

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

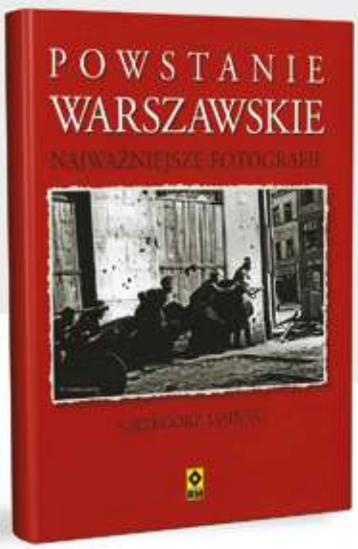

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

GRZEGORZ JASIŃSKI
„POWSTANIE WARSZAWSKIE.
NAJWAŻNIEJSZE FOTOGRAFIE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~716 ZŁ~~

313,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 403 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 491d86afd3

eprasa.pl 491d86afd3